

**CZARNA SERIA**

**HÅKAN  
NESSER**

**KOBIETA ZE ZNAMINIEM**

Śledztwa komisarza Van Veeterena

**KOBIETA ZE ZNAMieniem**



**HÅKAN  
NESSER**  
KOBIEȚA ZE ZNAMIEȚIEM

przełóżyła Małgorzata Kłos

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2013

Tytuł oryginału  
*KVINNA MED FÖDELSEMÄRKE*

Redakcja  
Małgorzata Denys

Projekt graficzny serii  
Magda Kuc

Projekt okładki  
Panczakiewicz Art.Design

Zdjęcia na okładce  
Andreiuc88/Shutterstock  
Warren Goldswain/Shutterstock  
Donvictorio/Shutterstock

Korekta  
Ewa Jastrun

DTP  
Marcin Labus

Copyright © Håkan Nesser, 1996  
First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden  
Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2013

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

ISBN 978-83-7554-562-3

Wydawnictwo

---

**CZARNA  
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
e-mail: [wydawnictwo@czarnaowca.pl](mailto:wydawnictwo@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51  
Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

*Dla Sanny i Johannesesa*

Ponadto istnieją oczywiście takie czyny,  
których nigdy nie uda nam się zostawić za sobą,  
od których nigdy się nie uwolnimy.  
Może nawet nie będziemy mogli prosić o wybaczenie.

W. Klimke, terapeuta

I  
23 grudnia–14 stycznia



# 1

Było jej zimno.

A przecież dzień zapowiadał się tak obiecująco. Z rana padał miękki śnieg, jednak jeszcze przed lunchem silny wiatr od morza zamienił go w najgorszy z możliwych, zacinający poziomo deszcz. Chłód przenikał na wskroś. Właściciele sklepików przy przystani zamknęli godzinę wcześniej niż zazwyczaj, a w pubie u Zimmermanna sprzedano trzykrotnie więcej porcji grogu niż w zwykły grudniowy dzień.

Jakby tego było mało, cmentarz leżał na południowo-zachodnim krańcu miasta, na niewielkim, bezdrzewnym wzgórzu wystawionym na wszystkie kaprysy pogody. Kiedy niewielka grupka doszła wreszcie do świeżo wykopanego w gliniastej ziemi grobu, przez głowę przemknęła jej pewna myśl.

Otóż przynajmniej tam w dole będzie lepiej. W grobie nie trzeba się uginać od wiatru i tego przekłętego deszczu. A to już jest coś. Zawsze to jakiś plus.

Ksiądz pociągał nosem, podczas gdy jego asystent walczył z parasolem. Starał się okryć nim zarówno księżą sutannę, jak i samego siebie, jednak podmuchy były tak nieprzewidywalne, że co sekundę musiał ustawiać parasol pod innym kątem. Mężczyźni niosący trumnę zaparli się obcasami w mokrym podłożu i spuścili ją do dołu. Bukiet, który wcześniej położyła na wieku, wyglądał jak pęk rozgotowanej zieleniny. Jeden z mężczyzn się zachwiał, ale udało mu się utrzymać równowagę. Ksiądz wydmuchał nos i zaczął odprawiać liturgię. Drugi asystent nerwowo ścisnął trzonek łopaty. Deszcz przybrał na sile.

Można się było tego spodziewać, pomyślała, zaciskając ręce w kie-

szeniach kurtki i tupiąc dla rozgrzewki.

Można się było tego, cholera, spodziewać. Ceremonia równie marna i nieudana, jak całe życie zmarłej. A więc godnego pochówku też jej poskapiono. Dzień przed Wigilią. Gdyby uchwycił się skrawek błękitnego nieba albo gdyby wciąż padał śnieg... Choćby tyle. Czy to naprawdę zbyt wiele?

Wychodziło na to, że tak. Najwidoczniej życie jej matki od początku do końca miało być pasmem nieszczęść i bolesnych porażek. Jeśli się zastanowić, przebieg pogrzebu wpisywał się idealnie w tę całość, można to było łatwo przewidzieć. Nagle zorientowała się, że musi zagryzać wargi, żeby się nie rozpłakać.

Ot, w pełni logiczne zakończenie. Życie i śmierć w jednej tonacji. Ale bez łez! Cokolwiek by się działo, nie becz na moim pogrzebie. Łzy nigdy w niczym nie pomogły, uwierz mi, swego czasu wylałam ich całe morze. Czyny, córeczko, czyny! Zrób coś nieprzeciętnego, tak, żeby mogła ci bić brawo tam, z góry.

Mówiąc to, matka chwyciła jej dłoń szorstkimi, słabymi rękoma i wpatrzyła się w nią przekrwionymi oczami. Było jasne, że tym razem mówi serio, że – jak nigdy wcześniej – o coś ją prosi. Późno, bo późno, i dość niezręcznie, ale bez względu na wszystko trudno było mieć co do tego wątpliwości. Chociaż, kto wie?

Pół godziny później zmarła.

Zrób coś, córeczko, działaj!

Ksiądz umilkł i spojrzał na nią spod ociekającego deszczem parasola. Zrozumiała, że i on oczekuje od niej jakiegoś działania. Ale co niby powinna zrobić? Nie miała pojęcia. Była już kiedyś na pogrzebie, miała wtedy osiem czy dziewięć lat i – zupełnie jak teraz – trafiła na niego przez matkę. Zrobiła kilka ostrożnych kroków do przodu. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości od grobu, żeby przypadkiem nie wpaść do środka i tym samym do reszty się nie skompromitować. Skrzyżowała ręce.

Pewnie myślą, do cholery, że się modlę. No to pa, mamusiu! Możesz na mnie liczyć. Wiem już, co zrobię. Będziesz tak klaskać tam w górze, u aniołów, aż rozbolą cię ręce.

Pogrzeb dobiegł końca. Ksiądz i jego asystent podeszli i wyciągnęli

do niej zmarznięte, mokre ręce. Dziesięć minut później stała pod przeciekającym daszkiem przystanku i marzyła o gorącej kąpieli i dużym kieliszku czerwonego wina.

Albo koniaku. Albo i tego, i tego.

Jeden żałobnik, pomyślała. W całym kondukcje znalazł się tylko jeden prawdziwy żałobnik. Ja. Tak to właśnie wyglądało.

Chociaż mam nadzieję, że wkrótce i inni poczują, co to żal.

Całkiem zgrabnie sformułowała tę myśl i kiedy tak stała, walcząc z zimnem, wilgocią i tłumionym płaczem, te słowa jakby roznieciły w niej mały płomyk. Wreszcie coś się w niej zapaliło, wreszcie coś pozwoli zaczęło rozgrzewać tę twardą, od dawna zmarzniętą skorupę okrywającą jej duszę.

Wkrótce ten ogień rozpali się mocniej, a jego płomienie ogarną innych... O tak, wielu innych zadrży przed tym morzem nienawiści, które w swoim czasie pochłonie ich wszystkich!

Uśmiechnęła się na tę myśl. Musiała to gdzieś przeczytać, a może – jak stwierdził jeden z jej pierwszych kochanków – miała talent. Czowała język, ten prosty, ale i ten poetycki.

Podobnie było z prawdą i pasją. Je też czuła. A może też z cierpieniem. Tak, zdecydowanie bardziej z cierpieniem niż pasją. Bo cierpiała nie raz. Może nie była w tym tak doświadczona jak jej matka, ale swoje przeszła.

Zimno mi, pomyślała. Niech ten cholerny autobus wreszcie przyjedzie!

Ale autobus się nie spieszył. Nic się nie spieszyło. I kiedy tak stała w mroku pod zapewniającą wątpliwe schronienie wiatą, przestępując z nogi na nogę, uświadomiła sobie, że właśnie tak wygląda całe jej życie. Bo jeśli się zastanowić, ta sytuacja podsumowywała wszystko.

Wyczekiwanie na coś, co nigdy się nie pojawi. Na autobus. Właściwego faceta. Porządną pracę.

Szansę. Jedną cholerną szansę, żeby sensownie poukładać sobie życie.

I oto stoi tu w ciemnościach, na wietrze i w deszczu, i wciąż czeka. Ale już jest za późno.

Ma dwadzieścia dziewięć lat i już jest za późno.

Ja i mama, pomyślała. Jedna rozpaczała nad grobem, druga w grobie. Równie dobrze mogłybyśmy się zamienić miejscami. Albo położyć się obok siebie. Na pewno nikt nie miałby nic przeciwko temu.

Nagle poczuła, że jej wewnątrz znów płonie. W jednej chwili wszystko w niej ożyło i napełniło się ciepłem. Mocnym, wyraźnie wyczuwalnym ciepłem, które sprawiło, że mimo żalu uśmiechnęła się i mocniej zacisnęła ręce w kieszeniach.

Po raz ostatni spojrzała w stronę zakrętu, ale nie wyglądało raczej na to, że za chwilę wyłonią się zza niego światła autobusu. Obróciła się więc na pięcie i ruszyła w stronę cywilizacji.

## 2

Minęło Boże Narodzenie.

Minął Nowy Rok. Jedna ulewa goniła drugą, szare dni płynęły monotonnie, jeden podobny do drugiego. Chorobowe dobiegło końca, wróciła na zasiłek dla bezrobotnych. W zasadzie nie sprawiło jej to większej różnicy.

Odłączyli jej telefon. Kiedy w październiku przysłali zawiadomienie, świadomie zignorowała niezapłacony rachunek. W końcu wyciągnęli konsekwencje. Cóż, wiadomo, boże młyny miały powoli...

Całkiem jej to odpowiadało. Nie tylko nie musiała spotykać ludzi, ale też ich słuchać. Choć, szczerze mówiąc, tych, których musiała unikać, nie było zbyt wielu. I niewątpliwie ubywało ich z biegiem lat. Przez te dwa tygodnie, które minęły od pogrzebu, rozmawiała zaledwie z dwoma znajomymi. Z Heinziem i z Gergilsem. Obu spotkała przypadkiem na rynku. Obaj już po trzydziestu sekundach próbowali wyciągnąć od niej trochę towaru. Trochę hery, trawki albo przynajmniej jakiegoś winiacza – cokolwiek, przecież w imię starej znajomości czymś mogła się z nimi podzielić. A potem prysznic i małe bzykanko, co ona na to?

Kiedy tylko Gergils odszedł, przez chwilę zastanawiała się, czy nie spędzić z nim choćby pół godziny. Ot tak, dla zabawy, ale też trochę po to, żeby pociągnąć go za sobą.

Chociaż nie miała żadnej gwarancji, że się uda. Przeciwnie. Szanse były nikłe. Zgodnie z tym, co podkreślali lekarze, wbrew temu, co się słyszy, wcale nie tak łatwo się zarazić. A jednak jej się wyjątkowo udało. Oczywiście wielu było takich, którzy jakoś tego uniknęli, mimo

że zdecydowanie częściej dopuszczali się tak zwanych ryzykownych zachowań.

Ryzykowne zachowania. Kretyńskie określenie. Czyż całe jej życie nie polegało na ciągłym podejmowaniu ryzyka? No ale chyba jest tak, jak to wiele lat wcześniej zwykł mawiać Lennie: jak się człowiek urodzi na becze z gównem, to nie ma wyjścia, od czasu do czasu musi mu się powinąć noga. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Po prostu trzeba się podnieść.

Trzeba, ale mało kto się podnosi. Większość tkwi w rynsztoku, a cała reszta to już tylko kwestia czasu.

Ale to w tej chwili nieistotne. Ona zdążyła to przepracować, przeboleć i zapomnieć. Bo październik sporo zmienił w jej życiu. Śmierć matki i cała reszta.

Nie tyle jej śmierć, co ta historia, którą opowiedziała. Którą niczym płód wyrzuciła z siebie po trzydziestu latach. Bo o ile to, czego się dowiedziała od lekarza, sprawiło, że zaczęła stronić od innych, o tyle opowieść matki dopełniła reszty. Ale też dodała jej sił i determinacji. Dzięki niej poczuła, że nagle coś stało się łatwiejsze. Po raz pierwszy w jej pogmatwanym życiu coś stało się jasne i oczywiste. Nabrała sił i chęci do działania, a uzależnienie narkotykowe zniknęło jakby samo z siebie, umarło śmiercią naturalną, tak więc odwyk nie kosztował ją ani trochę wysiłku. Koniec z twardymi narkotykami. Co najwyżej hasz, tylko trochę, lub winiacz od czasu do czasu, nic więcej. I przede wszystkim żadnych beznadziejnych spotkań z innymi nieudacznikami urodzonymi na beczkach z gównem. Zerwanie kontaktów okazało się łatwiejsze, niż myślała, poszło równie gładko jak z dragami. Zresztą oczywiście jedno wiązało się z drugim. Może rzeczywiście rację mieli wszyscy ci kuratorzy i doktorkowie, którzy przez lata powtarzali jej, że wszystko sprowadza się do wewnętrznej siły. Nie potrzeba niczego więcej.

Wystarczyły jej odwaga i determinacja.

I myśl o zadaniu, które ją czekało.

No właśnie, zadanie. Z początku nie była pewna, plan działania zaczął się klarować dopiero później. Trudno było go dokładnie opisać, nie wiadomo też, skąd się właściwie wziął. Czy to był pomysł matki,

czy jej? Nie żeby to miało większe znaczenie, ale warto było się nad tym zastanowić.

Nad genezą tego pomysłu, nad ewentualną odpowiedzialnością. Nad zemstą i znaczeniem wymierzenia sprawiedliwości. To, że matka miała schowane dziesięć tysięcy guldenów, oczywiście ją zaskoczyło, ale pieniądze okazały się dużą pomocą. To okrągła sumka, która niewątpliwie się przyda.

Właściwie już się przydała. Dwunastego stycznia właśnie wydała z tego dwa tysiące, ale bynajmniej nie wyrzuciła ich w błoto. Na szafce nocnej leżała już lista z nazwiskami, adresami i innymi danymi. Zdobyła też broń, a w Maardam czekał na nią umeblowany pokój. Czegóż więcej jej potrzeba?

Pokładów odwagi? Determinacji? Odrobiny szczęścia?

Wieczorem, dzień przed wyjazdem, odmówiła modlitwę do bliżej niesprecyzowanego boga. Prosiła go właśnie o te trzy dary i o wsparcie. Kiedy w końcu zgasiła światło, poczuła, że chyba nic na świecie nie jest w stanie jej powstrzymać.

Nic a nic. Tej nocy zasnęła z uśmiechem na ustach, bezpiecznie zwinięta w pozycji embrionalnej. Była pewna, że nigdy w życiu nie czuła się tak mocna.



### 3

Znalezienie pokoju właściwie nie wymagało od niej żadnego wysiłku. Odpowiedziała tylko na jedno ogłoszenie z „Neuwe Blatt”, ale kiedy dotarła na miejsce, zrozumiała, że lepiej nie mogła trafić.

Pani Klausner owdowiała wcześnie, bo na początku lat osiemdziesiątych, kiedy wkroczyła w cudowny okres wieku średniego. Jednak zamiast sprzedać starą, uroczą, dwupiętrową willę w dzielnicy Deijkstra, majorowa Klausner przerobiła ją, dostosowując do sytuacji, w jakiej znalazła się po nagłej śmierci męża. Zamieszkała z dwoma kotami na parterze, gdzie do dyspozycji miała ogródek i cztery tysiące książek. Natomiast pierwsze piętro, czyli dawne pokoje dzieci oraz sypialnie gościnne, przerobiono na pokoje do wynajęcia – łącznie cztery, z czego w każdym była bieżąca woda i niewielka kuchenka. A na korytarzu znajdowała się wspólna łazienka oraz prysznic. Na piętro wchodziło się osobnymi drzwiami. Umieszczone w szczycie budynku schody usytuowane były w bezpiecznej odległości od sypialni pani Klausner. Z początku, kiedy całe to przedsięwzięcie ruszyło, wdowa czuła się rzecz jasna trochę zaniepokojona, jednak szybko stwierdziła, że może sobie pogratulować tak świetnego pomysłu. Wynajmowała pokoje tylko samotnym kobietom i nigdy na dłużej niż pół roku. Często trafiały się jej studentki ostatniego semestru prawa czy medycyny, które potrzebowały spokoju do nauki. Albo pielęgniarki biorące udział w takim czy innym kilkumiesięcznym szkoleniu w szpitalu Gemejnte. Zazwyczaj latem jeden lub dwa pokoje stały puste, ale dochody z zimy i tak wystarczały na pokrycie jej potrzeb. Pani Klausner była pewna, że major nie miałby nic przeciwko tym zmianom, i czasa-

mi, kiedy stała w kolejce, żeby wpłacić pieniądze z czynszu na książeczkę oszczędnościową, widziała, jak tam w górze, na swoim ostatnim polu bitwy, jej mąż z zadowoleniem kiwa głową.

Nowa lokatorka zgodnie z umową pojawiła się czternastego stycznia. Dzień przed rozpoczęciem trzymiesięcznego podyplomowego kursu dla menedżerów. Zapłaciła z góry za sześć tygodni i po wysłuchaniu wszystkich reguł (przedstawionych bardzo przyjaźnie, i to nie dłużej niż w minutę) zajęła czerwony pokój. Pani Klausner świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że należy szanować prywatność gości, i jeśli tylko mogła spać i czytać w spokoju, a lokatorki się nie kłóciły, nie miała najmniejszego powodu, by wtykać nos w ich sprawy. Podstawową, choć niepisaną regułą było wzajemne poszanowanie i jak dotąd pani Klausner się na tym założeniu nie zawiodła, a w branży działała już trzynaście lat.

Ludzie są dobrzy, zwykła myśleć. A bliźni traktują nas tak jak my ich.

W części kuchennej nad niewielką umywalką wisiało lustro. Kiedy już rozpakowała walizki, wpatrywała się przez chwilę w swoje odbicie.

Zmieniła niby niewiele, ale rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Krótко obcięte brązowe włosy, zero makijażu, a do tego okulary w metalowych oprawkach – wyglądała jak bibliotekarka albo nauczycielka robótek ręcznych. Nikt jej nie rozpozna; przez chwilę, kiedy wypróbowała różne miny i spojrzenia, jej samej wydawało się, że jest kimś innym.

Nowy wygląd i nowe imię. Nowe miasto i plan, który pół roku wcześniej uznałaby za wymysł szaleńca albo żart.

A jednak tu jestem. Jeszcze raz, może już ostatni, spróbowała odnaleźć w sobie choćby cień wątpliwości, ale do któregośkolwiek zakamarka duszy by zajrzała, wszędzie trafiała na niezłomną pewność. Niewzruszoną niczym głąz. Zrozumiała więc, że czas zacząć działać.

I to na poważnie. Lista była kompletna pod każdym względem i choć trzy miesiące to wcale nie tak mało, nie było co zwlekać. Wręcz przeciwnie: każde nazwisko na liście wymagało przygotowania dokładnego planu, do każdego trzeba było podejść inaczej, zatem lepiej

od razu ruszyć z miejsca i tym samym zaoszczędzić sobie ewentualnych nerwów na koniec. Bo kiedy już zacznie działać, kiedy inni zorientują się, o co chodzi, będzie musiała liczyć się z trudnościami. Wszyscy będą się mieli na baczności: mieszkańcy miasta, policja i jej przeciwnicy.

Inaczej być nie może. Warunki są, jakie są, i tyle.

Ale już teraz wiedziała, że nawet to nie przysporzy jej przeszkód. Przynajmniej nie takich, które są nie do pokonania. Kiedy pierwszego wieczora leżała w łóżku, wpatrując się w broń, zrozumiała, że ewentualne wyzwania sprawią jedynie, że pokusa będzie nieco silniejsza.

Że rozgorzeje bardziej i będzie jeszcze przyjemniej.

Oszalałam, pomyślała. Już całkiem postradałam zmysły.

Ale było to szaleństwo pełne odwagi, nieznoszące sprzeciwu. I kto właściwie mógłby ją za to winić?

Popatrzyła na listę nazwisk. Przejrzała je dokładnie jedno po drugim. Już zdecydowała, kto będzie pierwszy, ale przez chwilę sama przed sobą udawała, że jeszcze się waha.

Potem odetchnęła z ulgą i zakreśliła upatrzone nazwisko podwójnym czerwonym kółkiem. Zapaliła papierosa i po raz kolejny zaczęła rozważać plan działania.

II  
18–19 stycznia

## 4

Picie dwóch solidnych porcji whisky przed posiłkiem bynajmniej nie należało do zwyczajów Ryszarda Malika, dzisiaj jednak miał powód, żeby się napić.

Nawet dwa powody. Tego popołudnia, mimo dwugodzinnych negocjacji telefonicznych, kontrakt z Winklersem został rozwiązany. Na dodatek, kiedy wreszcie Malik wyszedł z biura, okazało się, że nagły przymrozek pokrył mokre od deszczu ulice szklanką. I gdyby chodziło tylko o niego, nie byłby to żaden problem, w końcu Malik miał na swoim koncie trzydzieści lat za kółkiem i ani jednego punktu karne-go, a zdarzało mu się już prowadzić podczas gołoledzi. Ale niestety nie był sam na ulicy. Ruch z centrum w stronę willowych dzielnic i przedmieść trwał nieprzerwanie i tuż przed rondem na Hagmaar Allé stało się to, co musiało się stać. Biały mercedes na szwajcarskiej rejestracji nie dostosował prędkości do warunków pogodowych i ze ślizgiem wjechał w tył jego renault. Malik zaklął pod nosem, odpiął pas i wysiadł z samochodu, żeby ocenić szkody i zacząć negocjacje. Stłuczone prawe światło, solidnie wgnieciony zderzak i dwie widoczne rysy na karoserii. A potem kilka kiepskich wymówek, rozmowa prowadzona z wymuszoną grzecznością, wymiana wizytówek i kontaktów do ubezpieczycieli – wszystko to zajęło trochę czasu i dopiero po mniej więcej czterdziestu minutach Malik mógł ruszyć dalej.

A nie lubił wracać do domu późno. Wprawdzie jego żona rzadko wyrabiała się z przygotowaniem posiłku przed siódmą, ale godzinka, a najlepiej półtorej, spędzona w gabinecie z gazetą i whisky rozcieńczoną wodą była punktem dnia, z którego Malik niechętnie rezygno-

wał.

Z czasem stało się to jego zwyczajem, niemal nałogiem. Ta godzina była niczym śluza dzieląca sferę zawodową od prywatnej i z biegiem lat cenił ją sobie coraz bardziej.

Tego dnia w grę wchodził co najwyżej kwadrans. A że oczywiście trzeba było sobie jakoś zrekompensować brak zarówno cennych minut relaksu, jak i tylnego reflektora, Malik zignorował gazetę i całą swoją uwagę skupił na whisky.

No, niezupełnie całą. Bo myśli zaprzętała mu jeszcze ta historia z telefonem. Co to miało znaczyć, do cholery? *The Rise and Fall of Flingel Bunt*. Po co, na litość boską, dzwonić do kogoś i puszczać do słuchawki przebój z lat sześćdziesiątych? I to raz po raz.

To znaczy przynajmniej raz dziennie. Dwa razy odebrała Ilse, raz on. Zaczęło się przedwczoraj. Nie mówił jej, że wczoraj wieczorem znów był telefon. Nie ma co jej niepokoić. I nie ma co się przyznawać, że kojarzy tę melodię.

Wczesne lata sześćdziesiąte, o ile dobrze pamiętał. The Shadows. Chyba sześćdziesiąty czwarty albo sześćdziesiąty piąty. Zresztą, bez różnicy. Pytanie, co to, do diabła, miało znaczyć. O ile oczywiście cokolwiek znaczyło. I kto za tym stoi. Może po prostu jakiś szaleniak, jakiś bezrobotny wariat, który z braku lepszego zajęcia postanowił wydzwaniać do przyzwoitych ludzi i zatruwać im życie.

Może nie kryje się za tym nic więcej. Oczywiście, jeśli telefony będą się powtarzać, trzeba rozważyć powiadomienie policji albo powzięcie innych kroków. Niemniej jednak na razie ta sprawa po prostu go drażniła. Tym bardziej w taki dzień jak dziś.

Wrzód na tyłku, jak by powiedział Wolff. A do tego zarysowany lakier i zniszczony reflektor.

W tym momencie usłyszał wołanie żony. Pewnie obiad już stoi na stole. Malik westchnął, dopił resztę whisky i wyszedł z gabinetu.

– Nie ma się czym emocjonować.

– Wcale się nie emocjonuję.

– A to nowość.

– Bo ty zawsze myślisz, że się emocjonuję. Takie masz zdanie o ko-

bietach.

– Dobrze, dobrze. Może zmienimy temat. Całkiem niezły sos. Co do niego dodałaś?

– Kapkę madery. Jadłeś go już sto razy. Dzisiaj dłużej trzymałam słuchawkę przy uchu.

– I?

– Co najmniej z minutę. Ale nie usłyszałam nic innego.

– A co byś chciała usłyszeć?

– Jak to co? Głos. Większość ludzi korzysta z telefonu, żeby coś powiedzieć.

– Z pewnością da się to jakoś wytłumaczyć.

– Ach tak? A niby jak? Po co ktoś dzwoni i puszcza muzykę?

Malik wypił solidny łyk wina i zaczął się zastanawiać.

– Cóż... – powiedział. – Może chodzi o nową radiostację albo coś w tym stylu.

– W życiu nie słyszałam nic głupszego.

Malik westchnął.

– Jesteś pewna, że za każdym razem melodia była ta sama?

To pytanie zbiło ją z tropu. Palcem wskazującym zaczęła pocierać sobie skroń, zupełnie jakby nachodziła ją migrena.

– Tak mi się wydaje. Za pierwszym razem odłożyłam słuchawkę po paru sekundach. Mówiłam ci przecież.

– Nie przejmuj się tym. To pewnie po prostu pomyłka, nic więcej.

– Pomyłka? Jakim cudem?

Ożeż zamknij się, pomyślał Malik. Przestań zrzedzić albo cisnę ci kieliszkiem w twarz!

– Nie wiem – odpowiedział. – I nie mówmy już o tym. Miałem dziś mały wypadek.

– Wypadek?

– Nic poważnego. Ktoś mi wjechał w tył.

– Dobry Boże! Czemu nic nie mówiłeś?

– Bo to nic takiego. Nie ma o czym mówić.

– Nie ma o czym mówić? Zawsze to powtarzasz. Może więc wyjaśnisz mi, o czym według ciebie mamy mówić? Dostajemy tajemnicze telefony, ale każesz mi je zignorować. Masz wypadek samochodowy,



ale nie uważasz za słuszone wspomnieć o tym własnej żonie. Cały ty! Rozumiem więc, że chciałbyś, żebyśmy całymi wieczorami siedzieli tu w milczeniu. Tego sobie życzysz, tak? Cisza i spokój. Bo ze mną już nie warto o niczym rozmawiać.

– Bzdury pleciesz. Nie bądź śmieszna.

– A może jedno łączy się z drugim?

– Co się łączy? O co ci, do cholery, chodzi?

– Te telefony i wypadek. Mam nadzieję, że spisałeś jego numery?

Chryste Panie, pomyślał Malik i wlał w siebie reszkę wina. Zupełnie jej odbiło. Czysta paranoja. Nic dziwnego, że w hotelu chcieli się jej pozbyć.

– A Jacob przypadkiem się nie odzywał? – spróbował zmienić temat, ale od razu się zorientował, że nie był to celny strzał.

– Nie, nie odzywał się od dwóch tygodni. Wdał się w ciebie. Nie przyjdzie mu do głowy, że powinien zadzwonić. No chyba że akurat potrzebuje pieniędzy.

Założę się, że tak właśnie jest, pomyślał Malik i złośliwie uśmiechnął się w duchu, czego, miał nadzieję, nie było po nim widać. On sam w ostatnich dniach rozmawiał z synem dwa razy i wcale nie chodziło o wyłożenie kasy. I choć nigdy by się do tego nie przyznał, to według niego bierne oddalanie się od matki jest całkiem naturalną kolejną rzeczą.

– No tak – powiedział, ocierając usta serwetką. – Ach, ta dzisiejsza młodzież. Nie wiesz, czy jest dziś coś w telewizji?

Szczęście w nieszczęściu, że czwarty telefon odebrał on. Ilse oglądała jakiś węgierski film na czwórcę, więc w zaciszu sypialni mógł w dosadnych słowach posłać anonimowego żartownisia do diabła, nie ryzykując przy tym, że Ilse cokolwiek usłyszy. Zanim jednak otworzył usta, stwierdził, że to faktycznie *The Rise and Fall of Flingel Bunt*. Przyśłuchiwał się melodii przez pół minuty, po czym wreszcie rzucił kilka aż nadto jednoznacznych gróźb i odłożył słuchawkę.

Nie miał jednak pojęcia, czy po drugiej stronie ktoś go słucha.

Może ktoś tam był, a może nie. Nie wiadomo.

Ta melodia... zaczął się nad nią zastanawiać, ale w całym tym zde-

nerwowaniu w głowie kołatało mu tylko jakieś ulotne skojarzenie, bez żadnych konkretnych wspomnień.

– Kto to? – zapytała Ilse, kiedy znów zasiadł w rogu kanapy w salonie.

– Jacob – skłamał. – Kazał cię pozdrowić. I nie chciał ani grosza.

## 5

W piątek zajechał do warsztatu Williego, żeby dogadać kwestię naprawy. Wobec solennego zapewnienia, że auto będzie gotowe przed wieczorem, zdecydował się je zostawić i ruszył do biura na piechotę. Spóźnił się kwadrans i nie zastał już Wolffa, który, jak się okazało, pojechał negocjować umowę z nowo otwartą restauracją sprzedającą hamburgery. Malik usiadł przy biurku i zaczął przeglądać dzisiejszą pocztę, którą przyniosła mu panna deWiijs. Jak zwykle w większości były to reklamacje dotyczące tej czy innej kwestii oraz potwierdzenia umów i porozumień, które już i tak wcześniej potwierdzono faksem lub telefonicznie. Po dziesięciu minutach złapał się na tym, że nuci tę przeklętą melodię.

Przerwał natychmiast, zły na samego siebie. Poszedł po kawę do panny deWiijs i zagadnął ją o pogodę, ale rozmowa szybko zesłała na czworonożnych przyjaciół. Koty w ogóle, a w szczególności należąca do panny deWiijs kotkę syjamską o imieniu Melisande de laCroix. Mimo że delikatna Melisande prawie nigdy nie miała odwagi wytknąć nosa za drzwi i mimo że regularnie dostawała pigułki antykoncepcyjne, od tygodnia wszystko wskazywało na to, że spodziewa się małych.

W kwartale, w którym mieszkała pani deWiijs, był jeszcze tylko jeden kot: stary, wychudzony, bury łazęga. Pani deWiijs wiedziała, że dokarmia go kurdyjska rodzina, chociaż kocur najchętniej spędzał czas poza domem i to zarówno w dzień, jak i w nocy. O ile oczywiście pogoda sprzyjała. Jakim cudem kotu udało się dotrzeć do strachliwej Melisande de laCroix, pozostawało tajemnicą.

Zagadką, ale też niedorzecznością. Wprawdzie panna deWiijs nie

poszła jeszcze do weterynarza, więc wiadomość nie była potwierdzona, niemniej jednak wszystkie symptomy jednoznacznie te przypuszczenia potwierdzały. Niestety.

Malik lubił koty. Swego czasu mieli w domu dwa, ale Ilse za nimi nie przepadała, zwłaszcza za kotką. Kiedy więc okazało się, że Jacob jest uczulony na sierść, pozbyli się ich za pomocą bezbolesnych, jak ich zapewniono, zastrzyków.

Malik lubił też pannę deWiijs. Emanowało z niej spokojne, kobiece ciepło, które z biegiem lat nauczył się cenić. Malik nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, że żaden facet się z nią nie ożenił ani nawet jej nie tknął. Bo nic nie wskazywało na to, że jest inaczej, ani też na to, że coś się w tym względzie zmieni. W maju przypadły jej czterdzieste urodziny i Malik wraz z Wolffem już zaczęli się zastanawiać, jak najlepiej uczcić ten dzień. W końcu takie święto nie mogło przejść niezauważone. Panna deWiijs pracowała u nich ponad dziesięć lat i zarówno Malik, jak i Wolff wiedzieli, że dla firmy i jej dalszego funkcjonowania panna deWiijs znaczy więcej niż oni sami.

– I co pani robi, jeśli przypuszczenia się potwierdzą? – zapytał.

Panna deWiijs wzruszyła ramionami tak, że ciężkie piersi aż zakowały się pod sweterkiem.

– Co zrobię? No cóż, nie ma innego wyjścia, jak pozwolić naturze toczyć się swoim torem, a przy tym mieć nadzieję, że kociaków nie będzie zbyt dużo. Na syjamy łatwo znaleźć nabywców, nawet jeśli te będą tylko w połowie rasowe.

Malik pokiwał głową i dopił kawę. Potem splótł ręce na karku i przez chwilę zastanawiał się, co jeszcze musi dzisiaj zrobić.

– Jadę do Schaaltze – zdecydował w końcu. – Niech pani przekaże Wolffowi, że wrócę po lunchu.

Dopiero w windzie przypomniał sobie, że przecież nie ma samochodu. Po cichu puścił wiązanę, zdenerwowany własną bezmyślnością, i przez chwilę rozważał, czy nie wjechać z powrotem na górę. Uświadomił sobie jednak, że przecież może pojechać autobusem. Co prawda ostatnimi czasy rzadko korzystał z komunikacji miejskiej, kojarzył jednak, że Nielsen i Vermeer dojeżdżają z Schaaltze dwudziestkątrój-

ką. A skoro można dojechać stamtąd, to pewnie można i w drugą stronę.

Przystanek znajdował się obok centrum handlowego. Kiedy Malik był w połowie drogi, poczuł, że ktoś go śledzi.

Albo przynajmniej mu się przygląda. Przystanął i rozejrzał się. Na ulicy nie było tłumów, wokół kręciło się jednak zbyt wielu ludzi, żeby mógł wyszukać kogoś, kto zachowuje się podejrzanie. Przez kilka sekund się wahał, a potem ruszył dalej w stronę przystanku. Może tylko mu się wydawało, a nawet jeśli nie, to i tak lepiej nie okazywać zbyt wyraźnie, że czegoś się domyśla. Szybko odegnał wątpliwości, zwolnił nieco kroku i wyteńczył uwagę.

Jednocześnie nie mógł się nadziwić, że tak błyskawicznie i bez zastanowienia pogodził się z tą myślą. Jakby fakt bycia śledzonym był dla niego chlebem powszednim.

Ale po kiego licha ktoś miałby go śledzić? Jego, Ryszarda Malika! Kogo, do cholery, interesowała jego pospolita, nic nieznacząca osoba?

Pokręcił głową i wetknął ręce do kieszeni płaszcza.

Cóż to za nedorzeczny pomysł? To Ilse musiała go zarazić swoimi babskimi urojeniami, nie ma co do tego wątpliwości!

A jednak... jednak coś podejrzewał. Albo przynajmniej przeczuwał. Ktoś był za nim. Gdzieś w pobliżu. Ktoś, kto obserwował jego kroki. Może to ktoś, kogo minąłem, pomyślał nagle. Może widząc mnie, zawrócił i teraz jest jakieś dziesięć metrów z tyłu. Przecież taki manewr na pewno da się wychwycić, choćby podświadomie. A może ktoś był na ulicy przed wejściem do biura? Może czekał na niego? Cholera, to możliwe.

Doszedł na przystanek. Nie było na nim nikogo, wyglądało więc na to, że autobus dopiero co odjechał. Malik zatrzymał się i zaczął ukradkiem obserwować przechodniów. Większość szła przed siebie szybkim, zdecydowanym krokiem, niektórzy – wolnym. Od czasu do czasu ktoś dołączał do niego i przystawał pod w miarę chroniącą przed wiatrem wiatą, żeby zaczekać na autobus. Każdy przyjmował tę na wpół przyjazną, na wpół odpychającą postawę charakterystyczną dla obcych sobie ludzi, których połączył jakiś cel. Młody facet w pasiastym,

czarno-żółtym szaliku sięgającym ziemi. Dwie staruszki, obie z torbami i w wytartych płaszczach. Nieco młodsza kobieta z cienką skórzaną teczką i w niebieskim berecie. Nastolatek z tikami twarzy; cały czas drapał się po kroczu, nie wyciągając rąk z kieszeni.

Słowem, stwierdził obiektywnie Malik, żadnych poważnych kandydatów na podejrzanego. Kiedy autobus przyjechał, wsiedli do niego wszyscy z wyjątkiem jednej ze staruszek. Malik przepuścił ich przodem, niewprawnym ruchem podał kierowcy pieniądze za bilet i przecisnął się do wolnego siedzenia na końcu autobusu.

Żeby nikogo nie mieć za plecami, wytłumaczył sam sobie.

Podczas podróży – trwającej niespełna dziesięć minut, a więc, ku jego zaskoczeniu, niewiele więcej niż przejazd samochodem – jego rozum toczył nierówną walkę z niejasnym, ale przy tym uporczywym przecuciem.

Co to ma być? – pytał rozum. Toż to absurd. Czyste szaleństwo.

Chyba zaczynam wariować, podsumował rozum. Moje życie jest tak beznadziejnie monotonne, że chwytam się czegokolwiek, byle tylko zaznać trochę emocji.

Jesteś w niebezpieczeństwie, skontrowało przecucie. Doskonale o tym wiesz, ale nie masz odwagi się do tego przyznać.

Malik wyjrzał przez lepką od brudu szybę. Właśnie minęli monumentalną wieżę zegarową stadionu Richter.

Dlaczego rozum mówi „ja”, a przecucie „ty”? – zastanawiał się zdezorientowany Malik. To pewnie moje głęboko zakorzenione pojęcie męskości. Ilse na pewno powiedziałyby, że...

Nagle zorientował się, że znów w myślach nuci tę melodię. *The Rise and Fall of Flingel Blunt*. Za tym utworem coś się kryło. Coś się z nim łączyło, coś wyjątkowego. Jakieś wspomnienie z dawnych lat, które teraz leżało gdzieś na dnie, ukryte pod czarną powierzchnią odmętów niepamięci, przez co nie mógł go wyłowić.

Nie mógł, dopóki nie wysiadł i nie ruszył przez ulicę w stronę fabryki. Bo wtedy go nagle olśniło. Jednocześnie zrozumiał, że w najbliższym czasie lepiej będzie nie lekceważyć przecuć i innych sygnałów.

Na tym jednak kończyły się możliwości jego wyobraźni i intuicji.

Chociaż, jak skonstatował później jego syn, im mniej ojciec przeczuwał, tym chyba było dla niego lepiej.

Ryszardowi Malikowi nie dane było bowiem się dowiedzieć, jak zakończyła się kwestia domniemanej ciąży Melisande de laCroix oraz czterdziestych urodzin panny de Wuijs. Wkrótce obie te wątpliwości pogrążyły się w mrocznym niebycie, a wraz z nimi on sam.



## 6

Mimo że Ilse Malik złożyła wypowiedzenie w hotelu Kongers Palatz już półtora roku temu, jej życie towarzyskie jak dotąd za bardzo się nie ożywiło. Raz w tygodniu, we wtorek po południu, grała z koleżanką w tenisa. Odwiedzała też siostrę mieszkającą w Linzhuisen przynajmniej raz w miesiącu, to znaczy wtedy, kiedy jej szwagier wyjeżdżał w interesach. Należała do stowarzyszenia „Ocalmy lasy deszczowe”, zaś każdej wiosny i jesieni zapisywała się na kolejny kurs dla dorosłych, ale wszystkie rzucała po pierwszym spotkaniu.

I to by było wszystko. To znaczy, jeśli nie liczyć abonamentu teatralnego, który przysługiwał pracownikom hotelu, a z którego korzystała i ona, choć, formalnie rzecz biorąc, nie była już do tego uprawniona.

Ale ponieważ nie przejmowała się formalnościami, w ten piątek (na przedstawienia chodziła w piątki, tydzień po premierze) wybierała się na *Norę*. Widziała ją już wiele razy, sama nie pamiętała ile, ale to była jej ulubiona sztuka, zatem tylko coś wyjątkowego mogłoby ją powstrzymać przed pójściem do teatru.

A kto wie, może po przedstawieniu skusi się na lampkę wina. Do tego odrobina sera no i pogaduszki z Bernadette. Jedyłą – zarówno kiedyś, jak i teraz – koleżanką z hotelu.

*Norę* fenomenalnie wręcz zagrała młodziutka, ale bardzo obiecująca aktorka ściągnięta z Burgteater w Aarlach. Okazało się też, że niecały miesiąc temu w hotelu pojawił się nowy menedżer. Było zatem o czym rozmawiać i na jednej lampce się nie skończyło. Kiedy chwilę

przed wpół do dwunastej Ilse Malik wsiadała do taksówki przed barem (Bernadette mieszkała w pobliżu, wołała więc się przejść i zażyć trochę świeżego powietrza), czuła się niezwykle zadowolona z tego wieczoru, ale też z życia w ogóle, i bez zastanowienia zaczęła rozmawiać z kierowcą o filmie i teatrze. Niestety temat wyczerpał się już po kilku minutach, okazało się bowiem, że taksówkarz ostatnim razem był w teatrze trzydzieści pięć lat temu, kiedy to zmusił go do tego nadgorliwy nauczyciel z zawodówki. Natomiast jeśli chodzi o filmy, to żaden z tych, które widział ostatnimi laty, nie mógł się według niego równać z Tajemnicą Czarnej Laguny.

Temperatura podniosła się do przyzwoitych plus pięciu stopni i warunki jazdy były znakomite, tak więc równo za dwadzieścia dwunasta taksówka zatrzymała się przed willą Malików na Leufwens Allé. I chociaż rozmowa o kulturze nie okazała się najwyższych lotów, Ilse zaokrągliła należną sumę do pięćdziesięciu guldenów.

W domu było ciemno, co nieco ją zaskoczyło. Ryszard rzadko kiedy chodził spać przed dwunastą, a już na pewno nie w piątkowe wieczory, kiedy to miał cały dom dla siebie. Nie świeciło się nawet w gabinecie, ale jej mąż mógł, oczywiście, siedzieć po ciemku w pokoju telewizyjnym, którego okna wychodziły na ogród.

Chociaż naprawdę głupio zrobił, że zgasił światło w przedpokoju, skoro wiedział, że Ilse wróci późno. Szukając klucza w torbie, postanowiła, że wypomni mu to przy okazji. Z reguły nie zamykał drzwi, kiedy ona wychodziła, ale coś jej podpowiadało, że tego wieczoru zdarzyło się inaczej.

Przynajmniej później wydawało jej się, że właśnie takie myśli towarzyszyły jej w tamtej chwili.

Później, czyli wtedy, kiedy starała się zrekonstruować przebieg zdarzeń i kiedy to wszystko pogrążyło się w chaosie, zamieniło się w czarną dziurę.

Wsadziła klucz do zamka, ale nie mogła go przekreślić i ze zdziwieniem stwierdziła, że drzwi są otwarte. Wyciągnęła rękę i zapaliła światło w przedpokoju.

Leżał tuż przy drzwiach. Na plecach, nogi niemal sięgały wycieraczki. Koszula prawie cała była ciemnoczerwona, podobnie jak drewnia-

na, jasna podłoga pod zwłokami. Usta miał rozdziawione, a oczy wlepione w jakiś punkt na suficie. Lewe ramię wyciągał w stronę rzeźbionej mahoniowej komódki na szaliki i rękawiczki, zupełnie jakby podnosił rękę do odpowiedzi w szkole. Prawa nogawka spodni od garnituru była podciągnięta niemal do kolana i odsłaniała to jego brzydkie znamię o kształcie krokodyla, które tak strasznie jej się podobało przed ślubem. Niedaleko szafki na buty, tuż przy jego prawej ręce, w połowie zaciśniętej, leżała gazeta otwarta na stronie z krzyżówką. Częściowo rozwiązana. Wokół jego głowy krążyła mucha, chyba nieświadoma, że to styczeń i że przynajmniej jeszcze trzy miesiące powinna spać, schowana w jakiejś ciemnej dziurze.

Wszystkie te szczegóły Ilse Malik wychwyciła, wciąż stojąc w progu z kluczami w dłoni. Potem zamknęła za sobą drzwi. Nagle zakręciło jej się w głowie, instynktownie otworzyła usta, żeby łyknąć trochę tlenu, ale to nie wystarczyło. Już było za późno. Bezgłośnie osunęła się na ziemię, uderzyła czołem w ostry kant szafki z butami i upadła w poprzek na ciało męża. Jej krew, jeszcze jasna i ciepła, zmieszała się z jego – już zimną i zakrzepłą.

Ocknęła się lata świetlne później, takie przynajmniej miała wrażenie. Najpierw na darmo próbowała szarpaniem przywrócić Malika do życia, potem doczołgała się pięć metrów w głąb przedpokoju, znacząc przy tym śladami krwi podłogę, dywany oraz ściany, i zadzwoniła po karetkę.

Dopiero kiedy ta przyjechała, a ratownicy zorientowali się, co się wydarzyło, wezwali policję. Było wtedy sześć po pierwszej. Policjanci przystąpili do swoich działań jakieś pół godziny później, kiedy to Reinhart i Jung przybyli na miejsce wraz z lekarzem i grupą techników. Do tej pory Ilse Malik zdążyła na nowo stracić przytomność, tym razem po zastrzyku, który delikatnie, acz stanowczo zaaplikował jej jeden z dwóch ratowników, ten starszy i bardziej doświadczony.

Jeśli natomiast chodzi o Ryszarda Malika, to w tym momencie nie żył już od ponad pięciu godzin i kiedy Reinhart z lekką irytacją oznajmił: „Panowie, do świtu nie ogarniemy tego burdelu”, nikt nie uznał za stosowne się z nim nie zgodzić.

III  
20–29 stycznia

## 7

Mógłby przysiąc, że zanim poszedł spać, wyciągnął z kontaktu kabel od telefonu. Na cóż jednak zdałyby się teraz jego przysięgi? Telefon, ten wymysł szatana, terkotał na stoliku nocnym, okrutnie atakując korę mózgową falami dźwiękowymi.

Otworzył jedno zaspane oko i wpatrzył się w aparat, usiłując go uciszyć. Na darmo. Dzwonek nadal rozbrzmiewał z uporem. Sygnały jeden za drugim przecinały szare od świtu powietrze w sypialni.

Otworzył drugie oko. Zegarek ustawiony na rzeczonym stoliku wskazywał siódmą pięćdziesiąt pięć. Kto, do cholery, w wolną sobotę miał czelność dzwonić i budzić go przed ósmą? No kto?

I to w styczniu.

Jeśli istniał jakiś miesiąc, którego nienawidził, to był nim właśnie styczeń. Ciągący się w nieskończoność styczeń, kiedy to padało bez przerwy, a słonecznych chwil było tyle, co na lekarstwo.

O tej ponurej porze roku istniało tylko jedno przyzwoite zajęcie – spanie, spanie i tylko spanie.

Lewą ręką sięgnął po telefon.

– Van Veeteren.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

To Reinhart.

– Dlaczego, u licha ciężkiego, dzwonisz i budzisz mnie o wpół do szóstej rano w sobotę? Upadłeś na głowę?

Reinhart był jednak równie bezwzględny, jak strażnik wypisujący mandaty za złe parkowanie.

– Jest ósma. I jeśli ktoś nie życzy sobie telefonów, a przy tym z upo-

rem odmawia kupna automatycznej sekretarki, to powinien wyciągnąć kabel z gniazdka. Jeśli chcesz, mogę wyjaśnić, jak się to robi.

– Bez gadania! Do rzeczy.

– Z największą przyjemnością. Mamy zwłoki przy Leufwens Allé. Wygląda na zabójstwo. Ofiara to niejaki Ryszard Malik. Spotykamy się o trzeciej.

– O trzeciej?

– Tak, a co?

– Dojazd na komendę zajmuje mi dwadzieścia minut. Mogłeś do mnie zadzwonić o dwunastej.

Reinhart ziewnął do słuchawki.

– Miałem zamiar położyć się jeszcze na trochę. Dopiero stamtąd wróciłem. A zaczęliśmy o wpół do drugiej. Pomyślałem, że może będziesz chciał pojechać tam i się rozejrzeć?

Van Veeteren oparł się na łokciu i podniósł się do pozycji półsiedzącej. Spróbował wyrzeć przez okno.

– Jaka dziś pogoda?

– Pada i wieje. Jakies piętnaście metrów na sekundę.

– Świetnie. W takim razie zostanę w domu. Pojawię się o trzeciej, chyba że mój horoskop na dziś mówi coś innego. Kto się teraz zajmuje sprawą?

– Heinemann i Jung. Chociaż Jung nie spał już drugą noc z rzędu, więc trzeba mu dać parę godzin odpoczynku.

– Jakies poszlaki?

– Nie.

– Jak zginął?

– Ktoś go zastrzelił. Ale zebranie mamy o trzeciej, nie teraz. Coś mi się wydaje, że to będzie niełatwa sprawa, dlatego dzwoniłem. Adres to Leufwens Allé, gdybyś zmienił zdanie.

– Nie sądzę. – Van Veeteren odłożył słuchawkę.

Rzecz jasna później nie dało się już zasnąć na nowo. Za piętnaście dziewiąta poddał się i zrobił sobie kąpiel. Ułożył się w pianie i zaczął rozmyślać o wczorajszym wieczorze, który spędził w restauracji Mefisto wraz z Renate i Erichem.

Czyli z byłą żoną i z synem marnotrawnym (który, swoją drogą, nie wrócił jeszcze do ojca i bynajmniej nie miał takiego zamiaru). To był pomysł Renate. Od czasu do czasu, powodowana wyrzutami sumienia, organizowała takie spotkania, żeby odbudować rodzinę, która nigdy nie istniała. Jak łatwo sobie wyobrazić – z mizernym skutkiem. Każda rozmowa była jak stąpanie po cienkim lodzie pokrywającym ciemną toń. Erich wyszedł w połowie deseru, tłumacząc się ważnym spotkaniem z kobietą. Zostali więc sami, on – były mąż –i ona – była żona, nad deską pośledniej jakości serów i każde z nich męczyło się, żeby nie zranić drugiego bardziej niż to konieczne. Tuż po północy Van Veeteren wsadził Renate do taksówki, a sam wrócił do domu na piechotę, łudził się bowiem, że porywisty wiatr odegna wszystkie ponure myśli.

Ta metoda nie okazała się jednak szczególnie skuteczna, tak więc po powrocie do domu Van Veeteren zagłębił się w fotelu i przez godzinę słuchał Monteverdiego. Wypił przy tym trzy piwa i poszedł spać dopiero w pół do drugiej.

Słowem, zmarnowany wieczór. A przy tym typowy. Bardzo typowy. No ale przecież to styczeń, czegoż więc można się spodziewać?

Wyszedł z wanny. Przed lustrem w sypialni zrobił kilka niepewnych skłonów i wymachów. Ubrał się i przyrzadził sobie śniadanie.

Przysiadł nad gazetą rozłożoną na stole w kuchni. O morderstwie ani słowa. Nic dziwnego. Zapewne kiedy do niego doszło, prasy drukarskie pracowały już pełną parą... O ile oczywiście w dzisiejszych czasach wciąż używa się pras. Jak się nazywał ten facet? Malik?

Jaki adres wymienił Reinhart? Leufwens Allé? Van Veeteren miał ochotę zadzwonić do Reinharta i zadać mu kilka pytań, ale odezwało się jego nieco zapomniane lepsze ja i w końcu komisarz zrezygnował z tej myśli. Zresztą już wkrótce dowie się wszystkiego, czego będzie musiał. Nie ma co się spieszyć. Zanim cała machina ruszy, chyba lepiej wykorzystać te ostatnie godziny dla siebie. Nie mieli zabójstwa od początku grudnia, święta i Nowy Rok jakoś minęły spokojnie. Jeśli Reinhart miał rację, mówiąc, że to niełatwa sprawa, to pewnie czeka ich niezła katorga. Reinhart zazwyczaj wiedział, co mówi. Był w tym lepszy od reszty.

Van Veeteren nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i zaczął się zastanawiać nad cotygodniową łamigłówką szachową. Mat w trzech posunięciach to też niełatwa sprawa.

– No dobra – powiedział Reinhart i odłożył fajkę. – Podsumujmy fakty. Ostatniej nocy sześć po pierwszej kierowca karetki, Felix Hald, powiadomił nas o zwłokach w domu przy Leufwens Allé 14. Pogotowie pojawiło się tam po tym, jak wezwała ich Ilse Malik. Była w ciężkim szoku, nie zadzwoniła po policję, chociaż jej mąż był już zimnym trupem. Dostał cztery kulki – dwie w klatkę piersiową, dwie w krocze.

– W krocze? – zapytał inspektor Rooth z pełnymi ustami. Właśnie jadł kanapkę.

– W krocze. W małego, jeśli wolisz. Żona wróciła z teatru około dwunastej, może chwilę wcześniej, i znalazła go w przedpokoju. Tuż przy drzwiach. Broń to prawdopodobnie berenger 75, wszystkie łuski sprzątnięte. Oczywiście podejrzewamy, że broń była z tłumikiem, bo nikt nic nie słyszał. Ofiara to Ryszard Malik, lat pięćdziesiąt dwa. Współwłaściciel firmy produkującej i sprzedającej sprzęt kuchenny restauracjom i innym lokalom. Niekarany, nie miał do czynienia z policją, z tego co wiadomo, nie prowadził żadnych podejrzanych interesów. Nawet najmniejszych. To by było tyle. Heinemann?

Heinemann zdjął okulary i zaczął je czyścić krawatem.

– Nikt niczego nie zauważył – powiedział. – Rozmawialiśmy z sąsiadami, ale willa jest nieco schowana za żywopłotem. No i działki są tam duże. Słowem, wygląda na to, że ktoś po prostu podszedł do drzwi, zadzwonił i oddał strzał, kiedy Malik otworzył. Nie było żadnych śladów walki. Malik siedział sam w domu, rozwiązywał krzyżówkę i popijał whisky. Żona była w teatrze. No a potem zabójca zamknął drzwi i odszedł. Całkiem proste, jeśli spojrzeć na to z tej strony.

– Niezła metoda – wtrącił Rooth.

– Bez wątpienia – odparł Van Veeteren. – A co mówi wdowa?

Heinemann westchnął. Wskazał na Junga, który ewidentnie walczył ze sobą, żeby nie zasnąć.

– Nadal ani słowa. Właściwie nie ma z nią kontaktu. Ci z pogotowia



dali jej zastrzyk, widać całkiem skuteczny. Rano obudziła się na chwilę. Mówiła coś o Ibsenie, to zapewne jakiś pisarz. Była w teatrze, potwierdziła nam to przyjaciółka, która jej towarzyszyła, niejaka Bernadette Kooning. Tak czy inaczej, do Ilse Malik chyba jeszcze nie dotarło, że jej mąż nie żyje.

– Nam chyba też zaraz urwie się z tobą kontakt – powiedział Van Veeteren. – Od jak dawna nie spałeś?

Jung policzył na palcach.

– Chyba od czterdziestu ośmiu godzin.

– Jedź do domu i odpocznij – wtrącił Reinhart.

Jung wstał.

– A mogę zamówić taksówkę? Nie kojarzę już nawet, która to prawa, a która lewa.

– Jasne – odparł Reinhart. – Weź dwie, jeśli trzeba. Albo poproś któryś z radiowozów.

– Po co dwie? – Jung chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia. – Jedna wystarczy.

Na chwilę zapadła cisza. Heinemann próbował wyrównać zagniecenia na krawacie. Reinhart wpatrywał się w fajkę. Van Veeteren wetknął wykałaczkę między zęby i zapatrzył się na sufit.

– No tak – odezwał się wreszcie. – Sporo tego, nie da się zaprzeczyć. Ktoś poinformował Hillera?

– Wyjechał nad morze – odparł Reinhart.

– W styczniu?

– Chyba nie ma zamiaru się kąpać. W każdym razie zostawiłem mu wiadomość. O piątej będzie konferencja prasowa. Najlepiej, jeśli pan się tym zajmie, komisarzu.

– Dzięki. Jeśli o mnie chodzi, to wystarczyłoby mi pół minuty.

Van Veeteren się rozejrzał.

– Chyba w tej chwili nie ma po co ściągać tu więcej osób – stwierdził. – Za ile według was ocknie się żona? I gdzie ona właściwie leży?

– W Nya Rumford – odpowiedział Heinemann. – Po południu powinniśmy móc z nią porozmawiać. Moreno jest na miejscu i czeka.

– Dobrze. A krewni i znajomi?

– Syn studiuje w Monachium – powiedział Reinhart. – Już jest

w drodze do domu. I to tyle. Malik nie ma rodzeństwa, rodzice nie żyją. Ilse Malik ma siostrę. Ona też jest w szpitalu i czeka.

– Ciekawe tylko na co? – wtrącił Rooth.

– No właśnie – odparł Van Veeteren. – Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– Ależ proszę – odpowiedział Reinhart.

– Dlaczego? – zapytał Van Veeteren i wyciągnął wykałaczkę z zębów.

– Sam się nad tym zastanawiałem – powiedział Reinhart. – Może wrócimy do tego, jak będę wiedział.

– Zawsze można mieć nadzieję, że ktoś z własnej woli przyjdzie do nas i się przyzna – dodał Rooth.

– Cóż, nadzieję zawsze można mieć – odparł Reinhart.

Van Veeteren ziewnął. Było szesnaście po trzeciej w sobotę dwudziestego stycznia. Pierwsze zebranie w sprawie Ryszarda Malika dobiegło końca.

Münster zaparkował przed szpitalem Nya Rumford. W strugach deszczu dobiegł do wejścia. Szydełkująca recepcjonistka skierowała go na czwarte piętro, oddział czterdziesty drugi. Kiedy się wylegitymował i wyjaśnił cel swojej wizyty, kobieta odprowadziła go do pomalowanej na brudnożółty kolor poczekalni. Wypełniały ją twarde plastikowe krzesła, a ściany oblepione były plakatami biur podróży. Najwyraźniej personel starał się dać oczekującym pacjentom szansę na to, żeby pograżyli się w marzeniach. Słuszna idea, pomyślał Münster.

W poczekalni siedziały dwie kobiety. Młodsza, zdecydowanie ładniejsza, z gęstymi włosami i z książką na kolanach. Ewa Moreno. Przywitała go przyjaznym skinieniem. Druga, szczupła, lekko zgarbiona kobieta około pięćdziesiątki w okularach zakrywających pół twarzy nerwowo szukała czegoś w czarnej torebce. Münster domyślił się, że to Marlene Winther, siostra dopiero co owdowiałej Ilse Malik. Podszedł się przywitać.

– Münster.

Kobieta uściśnęła mu dłoń, nie wstając z miejsca.

– Rozumiem, że to dla pani trudna sytuacja, proszę jednak zrozu-

mieć, że musimy panie niepokoić.

– Pańska koleżanka już mi to wyjaśniła.

Ruchem głowy wskazała Ewę Moreno.

– Pani Malik jeszcze się nie obudziła?

Moreno zakasłała i odłożyła książkę.

– Obudziła się, ale najpierw lekarz chciał ją zbadać. Może...?

Münster przytaknął i oboje wyszli na korytarz, zostawiając panią Winther samą.

– Wygląda na to, że przeżyła silny wstrząs – wyjaśniła Moreno, kiedy już znaleźli ustronny kąt. – Niepokoją się o jej stan. Już wcześniej miała słabe nerwy, a ta historia jej nie pomogła. Nie wykluczają dalszego leczenia.

– Przesłuchałaś już siostrę?

Moreno skinęła głową.

– Oczywiście. Ona też jest raczej nerwowa. Musimy być delikatni.

– Wrogo nastawiona?

– Nie, właściwie nie. Daje się u niej zauważyć niezbyt silny syndrom starszej siostry, ale nic ponadto. Chyba jest przyzwyczajona do zajmowania się Ilse, więc pewnie i teraz się nią zaopiekuje.

– Ale z tą drugą jeszcze nie rozmawiałaś? To znaczy z panią Malik?

– Nie. Jung i Heinemann próbowali przed południem, ale z marnym skutkiem.

Münster przez chwilę się zastanawiał.

– A może ona wcale nie ma tak dużo do powiedzenia?

– Wygląda na to, że nie. Mam się tym zająć? Bo zaraz nas do niej wpuszczą.

Münster przytaknął z wdzięcznością.

– Pewnie będzie się czuła lepiej, rozmawiając z kobietą. To ja zaczekam tutaj.

Czterdzieści pięć minut później razem wyszli ze szpitala i wsiedli do samochodu Münstera. Moreno wyciągnęła notatnik i zaczęła odczytywać raczej skromne zapiski ze spotkania z Ilse Malik. Münster za to rozmawiał z doktorem Hübnerem, starszym, siwym lekarzem, który niejedno już widział i który powiedział mu, że może minąć jeszcze

kilka dni, zanim pacjentkę będzie można normalnie przesłuchać. O ile oczywiście okaże się to konieczne.

Ilse Malik doznała wstrząsu, wyjaśnił Hübner. Na razie przyjmuje silne leki, które później będą stopniowo odstawiane. Pacjentka wypiera to, co się wydarzyło. Nastąpiła tak zwana represja.

Nic dziwnego, pomyślał Münster.

– Co ci właściwie powiedziała? – zapytał.

– Niewiele – westchnęła Moreno. – Twierdziła, że ich małżeństwo było szczęśliwe. Wczoraj wieczorem Malik został w domu, ona poszła do teatru na *Norę*. Wyszła z domu około wpół do siódmej, a po przedstawieniu wypła kieliszek wina z przyjaciółką. Do domu wróciła tak sówką. Dalsza część zeznania to już bełkot. Mówi, że jej mąż się rozchorował i leżał w przedpokoju. Próbowowała mu pomóc, ale zorientowała się, że to poważna sprawa, więc zadzwoniła po karetkę. Z tego co zrozumiałam, musiała czekać na nich niemal godzinę. Sama również straciła przytomność i uderzyła się w głowę. Myśli, że jej mąż też leży w szpitalu, i dziwi się, że nie pozwalają jej go zobaczyć. Trudno cokolwiek jej wytłumaczyć. Jej siostra delikatnie sugerowała, co się stało, ale nie przyjmuje tego do wiadomości. Zaraz zmienia temat.

– Na jaki?

– Jakikolwiek. Na przykład mówi o sztuce. Najwidoczniej to było wspaniałe przedstawienie. I o synu. Twierdziła, że nie może teraz przyjechać, bo studiuje. Zdaje się, że ma zostać prawnikiem. Specjalizacja prawo bankowe czy coś w tym rodzaju.

– Powinien tu być za godzinę – powiedział Münster. – Biedak. Ale i nim zajmie się lekarz, jak sądzę.

Moreno przytaknęła.

– Na razie zamieszka u ciotki. Jutro możemy z nim porozmawiać.

Münster się zamyślił.

– Mówiła ci coś o groźbach albo wrogach i tym podobnych?

– Nie. Zagadnęłam ją o to, ale nic z tego nie wyszło. Zapytałam siostrę, ale ona o niczym takim nie wie. Raczej niczego przed nami nie ukrywa. To co robimy?

Münster wzruszył ramionami.

– Chyba trzeba będzie to omówić z innymi w poniedziałek. Parszy-

wa historia. Podwieźć cię gdzieś?

– Do domu – odparła. – Siedziałam tu siedem godzin, chyba pora pomyśleć o czymś innym.

– Niegłupi pomysł – zgodził się Münster i odpalił silnik.

Mauritz Wolff przyjął Reinharta u siebie. Mieszkał nad kanałem w ogromnym apartamencie z widokiem na Langgraacht i Megsje Bois. W pokoju roilo się od dzieci w przeróżnym wieku. Facet jest już solidnie po pięćdziesiątce, więc pewnie późno się ożenił, stwierdził Reinhart. A może to już kolejna żona. Wolff miał czerwoną twarz, z której nawet w sytuacjach takich jak ta nie schodził szczery uśmiech.

– Witam serdecznie – powiedział. – Co za okropna historia. Szczere mówiąc, sam nie mogę się otrząsnąć. Zupełnie tego nie pojmuję.

Wolff delikatnie odsunął dziewczynkę, która uczepiła się jego nogawki. Reinhart się rozejrzył. Zastanawiał się, czy to nie pora, żeby dołączyła do nich pani Wolff.

– Niczego sobie to pana mieszkanie – powiedział. – Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać w spokoju?

– Proszę za mną. – Wolff poprowadził go do pokoju, który najwidoczniej pełnił funkcję biblioteki i gabinetu. Zamknął drzwi na klucz. Wskazał Reinhartowi jeden z dwóch foteli stojących przy niedużej ławie, a sam ciężko usadowił się w drugim.

– Okropność – powtórzył. – Domyślcie się, kto mógł to zrobić?

Reinhart pokręcił głową.

– A pan?

– Pojęcia nie mam.

– Dobrze się znaliście?

– Jak łyse konie. – Wolff wyciągnął paczkę papierosów. Reinhart poczęstował się jednym. – A może się pan czegoś napije?

– Nie, dziękuję. Proszę mówić dalej.

– Cóż mogę powiedzieć. Pracowaliśmy razem, odkąd założyliśmy tę firmę, czyli od szesnastu lat. Ale znaliśmy się już wcześniej.

– Prywatnie też się spotykaliście?

– Ma pan na myśli spotkania z rodzinami?

– Tak.

– Nie, raczej nie. W każdym razie nie, odkąd poznałem Mette, moją obecną żonę. Swoją drogą to musiał być ogromny cios dla Ilse. Jak ona się czuje? Dzwoniłem, ale...

– Jest w szoku – odparł Reinhart. – Na razie leży w szpitalu.

– Rozumiem. – Wolff zrobił taktowną minę. Reinhart czekał. – Ilse ma bardzo słabe nerwy – wyjaśnił Wolff.

– Słyszałem. A jak idą interesy firmy?

– Tak sobie. Jakoś dajemy radę. Znaleźliśmy sobie niezłą niszę, choć lepiej nam szło w latach osiemdziesiątych. Jak wszystko zresztą. Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

– Czy to mogło mieć coś wspólnego z pracą? – zapytał Reinhart. – To znaczy z firmą?

Chyba źle sformułował pytanie, bo Wolff nie zrozumiał.

– Czy zabójstwo Malika mogło mieć jakiś związek z waszym przedsiębiorstwem? – sprecyzował Reinhart.

Wolff z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Z nami? Niby jaki związek?

– A co pan o tym sądzi? Może Malik miał kochankę? Może prowadził jakieś lewe interesy? Przecież pan znał go najlepiej ze wszystkich.

Wolff podrapał się po karku.

– Nie – odpowiedział po chwili. – Nic z tych rzeczy. Gdyby Malik miał kogoś na boku, wiedziałbym o tym. I nie wyobrażam sobie, żeby wdał się w coś nielegalnego.

– Słowem, uosobienie wszelkich cnót? – podsumował Reinhart. – Mówi pan, że jak długo się znaliście?

Wolf przeliczył ponownie.

– Pierwszy raz spotkaliśmy się jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Też zresztą zawodowo. Obaj pracowaliśmy dla Gündler & Wein, a po jakimś czasie odeszliśmy i rozkręciliśmy własny biznes. Na początku we trzech, ale ten trzeci zrezygnował po pół roku.

– Jak się nazywa?

– Merrinck. Jan Merrinck.

Reinhart zanotował.

– Czy ostatnio nie wydarzyło się nic niezwykłego? Czy Malik nie zachowywał się dziwnie?

Wolff się zastanawiał.

– Nie, nie przypominam sobie nic takiego. Przykro mi, ale chyba niewiele mogę pomóc.

Reinhart zmienił temat.

– A jak układało się małżeństwo?

– Malików?

– Tak.

Wolff wzruszył ramionami.

– Nieszczęśliwie, ale Malik jakoś to znosił. Moje pierwsze było gorsze. A Malik był silnym człowiekiem, można było na nim polegać. Może trochę nudziarz. A niech to, nie mam pojęcia, kto to mógł zrobić. Chyba jakiś szaleniec. Wariat, bo kto inny? Macie już jakiś trop?

Reinhart zignorował pytanie.

– O której wyszedł wczoraj z biura?

– Za piętnaście piąta – odparł Wolff bez zastanowienia. – Trochę wcześniej niż zwykle, ale miał odebrać samochód z warsztatu. Ja siedziałem w pracy do wpół do szóstej.

– I nie zachowywał się dziwnie?

– Nie. Mówiłem już, że nie.

– A niejaka Rachel deWiijs, która u was pracuje. Co może mi pan o niej powiedzieć?

– Rachel? To prawdziwy skarb. Bez niej nie przetrwalibyśmy nawet pół roku... – Wolff zagryzł wargę i zaciągnął się. – Choć oczywiście teraz wszystko się zmieni. A niech to.

– A więc Malik z nią nie romansował?

– Malik z Rachel? A skąd, tego może być pan pewien.

– Rozumiem. A pan? Miał pan jakiś powód, żeby pozbyć się Malika?

Wolff rozdziawił usta.

– Jak pan śmie?!

– Spokojnie. Proszę się nie unosić. Chyba pan rozumie, że muszę zadać to pytanie. Malika zamordowano, a zazwyczaj zbrodni dokonuje ktoś z kręgu znajomych ofiary. Pan znał go najlepiej, co do tego chyba jesteśmy zgodni?

– Był moim kumplem. Jednym z moich najlepszych przyjaciół...

– Rozumiem. Ale gdyby mimo wszystko miał pan jakiś powód, to lepiej, żebyśmy dowiedzieli się o tym od pana, a nie skądinąd.

Wolff przez chwilę siedział cicho i zastanawiał się.

– Nie – powiedział w końcu. – Jaki, do cholery, miałbym mieć powód, żeby zabić Malika? Jego udziały w firmie przechodzą na Ilse i Jacoba. Zresztą firma i tak upadnie. Musi pan zrozumieć, że dla mnie jego śmierć też jest szokiem. Może i wyglądam dość beztrosko, ale naprawdę go opłakuję. I to jak bliskiego przyjaciela.

Reinhart pokiwał głową.

– Rozumiem – powiedział. – Myślę, że na razie to wszystko, ale proszę się nas spodziewać ponownie. Chcemy złapać tego, kto to zrobił.

Wolff wstał i rozłożył ręce.

– Oczywiście. Zrobię, co mogę, żeby pomóc. Jestem do państwa dyspozycji.

– Świetnie – odparł Reinhart. – Jeśli coś sobie pan przypomni, proszę dać znać. A teraz proszę wracać do dzieci. Ile ich pan ma, tak na marginesie?

– Sześcioro. Troje starszych i troje młodszych.

– I rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię. To chyba sporo roboty, co? Chodzi mi o opiekę i te sprawy.

Wolff z uśmiechem pokręcił głową.

– Wcale nie. Granica to czworo, potem nie ma już znaczenia, czy ma się siedmioro, czy siedemnaścioro.

Reinhart pokiwał głową i postanowił, że zapamięta tę myśl.



## 8

Licząc na uwagę weekendowych czytelników, gazety nieco rozdmuchały historię zabójstwa Ryszarda Malika. Na czołówkach widniały ogromne tytuły i zdjęcia ofiary (za życia, w półuśmiechu) oraz Willi Malików, a „Neuwe Blatt” i „Telegraaf” poświęciły sprawie całe dwie strony. Sporo szczegółów i jeszcze więcej lania wody. Wszystko jednak było sprytnie wykalkulowane. Bo czy w wietrzny, deszczowy styczniowy dzień ludzie mają lepsze zajęcie niż siedzenie w domu i karmienie się doniesieniami o tym, że innym jest gorzej?

Van Veeteren dostawał gazetę do domu, nie musiał więc nigdzie wychodzić. Przez cały dzień nie wytknął nosa za drzwi. Czytał wybrane fragmenty *Słynnych partii szachowych* Rimleya i słuchał Bacha. Poprzedniego wieczoru wybrał się do Willi przy Leufwens Allé, stwierdził jednak, że niczego ciekawego tam nie znajdzie. Technicy i reszta ekipy przeczesał cały dom i ogród. Liczenie na to, że trafi na coś, co tamci przegapili, byłoby – delikatnie mówiąc – przecenianiem własnych możliwości. Choć, po prawdzie, zdarzało mu się to wcześniej.

Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle jest po co zaprzętać sobie tym głowę. To Hiller zdecyduje, kogo przydzielić do sprawy, kiedy w poniedziałkowy poranek wróci znad morza. Może wystarczy, jeśli to Reinhart i Münster będą pociągać za sznurki. Kusząca wizja. O coś takiego warto się modlić, pomyślał. Gdyby miał możliwość wybrać sobie jeden miesiąc, kiedy to mógłby pograć się w zimowym śnie albo poddać hibernacji, to bez wątplenia wybrałby styczeń.

A gdyby miał możliwość wybrać dwa, to dorzuciłby i luty.

W poniedziałek zastrajkował mu samochód. Pewnie gdzieś dostała

się wilgoć. Musiał przejść cztery przecznice, zanim przemoczony do suchej nitki złapał wreszcie taksówkę na Rejmer Plejn. Na zebranie spóźnił się dziesięć minut.

Reinhart, który miał je poprowadzić, dotarł minutę później. Zebranie okazało się zresztą niezbyt owocne.

Dostali już ekspertyzy, ale nie wniosły one nic nowego do sprawy. Nadal wiedzieli tyle, co wcześniej. To znaczy: Ryszarda Malika zabito między wpół do ósmej i wpół do dziewiątej. Strzelano z berengera kaliber 7.65. Ponieważ nikt z sąsiadów nic nie słyszał, wyszli z założenia, że sprawca użył tłumika.

– Ile sztuk takiej broni może być w mieście? – zapytał Münster.

– Le Houde szacuje, że około pięćdziesięciu – odparł Rooth. – Ale każdy, kto jako tako orientuje się w miejscowych układach, mógłby zdobyć taką broń w pół godziny. Tak więc nie ma co iść tym tropem.

Van Veeteren kichnął, a Reinhart przeszedł do opisywania specyfiki poszczególnych ran, kąta padania strzałów i tym podobnych ponurych szczegółów. Prawdopodobnie zabójca strzelił z odległości jednego do półtora metra, co oznaczało, że nawet nie próbował wejść do środka. Drzwi otwierały się do wewnątrz, możliwe więc, że kiedy Malik chwycił za klamkę, on już był gotowy do ataku. A potem oddał dwa strzały w klatkę piersiową, każdy z nich śmiertelny – jeden prześzył lewe płuco, drugi trafił w aortę, stąd to nadzwyczaj obfite krwawienie.

A później dwa strzały w krocze, z bliższej odległości.

– Ale dlaczego? – zapytał Van Veeteren.

– No właśnie. Co o tym sądzicie? – Reinhart rozejrzał się wokół stołu.

Nikt nie odpowiedział. Heinemann sam zerknął na własne krocze.

– Robota profesjonalisty? – odezwał się Münster.

– Że co? – nie zrozumiał Reinhart. – Ach, mówisz o tych śmiertelnych strzałach. Nie, niekoniecznie. Z odległości metra nawet dziecko mogłoby trafić. O ile oczywiście ktoś jest przygotowany na odrzut. Słowem, to mógł być każdy. Ale te strzały w krocze wydają się wymowne, nie sądzicie?

– Owszem – przytaknął mu Rooth.

Przez kilka sekund milczeli.

– No śmiało, mówcie – powiedziała Moreno.

– Może to przypadek – zaproponował Münster.

– Nie ma czegoś takiego jak przypadek. Jest tylko nieznaną przyczyną – stwierdził Reinhart.

– Zatem najpierw padły strzały w klatkę piersiową? – zapytał Heinemann, marszcząc czoło.

– No tak – westchnął Reinhart. – Te dwa pozostałe oddano, kiedy leżał. To już ustaliliśmy. Masz problemy ze słuchem?

– Chciałem się tylko upewnić – odparł Heinemann.

– Niezbyt to sprytne odstrzelić komuś jaja po tym, jak się go zabiło – wtrącił Rooth. – Brzmi trochę jak dzieło szaleńca. W pewnym sensie to chore.

Reinhart mu przytaknął. Van Veeteren znów kichnął.

– Czyżby panu komisarzowi było zimno? – zapytał Reinhart. – Może ktoś powinien przynieść koc?

– Jeśli już, to wolałbym grog – westchnął Van Veeteren. – Skończyliście już omawiać kwestie techniczne? Domyślam się, że nie znaleźli żadnych odcisków palców ani niedopałków?

– Nic a nic – odpowiedział Reinhart. – Może w takim razie zajmijmy się przesłuchiwaniem? Zaczynamy od wdowy?

– Nie, od ofiary – odparł Van Veeteren. – Chociaż obawiam się, że facet miałby niewiele do powiedzenia.

– A, przepraszam. – Reinhart wyciągnął z notatnika luźną kartkę. – A więc... Ryszard Malik miał pięćdziesiąt dwa lata. Urodził się w Chadowie, ale od około 1960 roku mieszkał w Maardam. Skończył Szkołę Handlową. W 1966 roku zaczął pracować w Gündler & Wein. W 1979 wraz z Mauritzem Wolffem i Janem Merrinckiem założyli własną firmę, ale Merrinck szybko zszedł z pokładu. Firmę nazwali Aluvit F/B, choć cholera wie co to znaczy. Żona Malika to Ilse, z domu Moener. Pobrali się w 1968 roku. Syn Jacob urodził się w 1972. Od kilku lat studiuje prawo i ekonomię w Monachium. I to w sumie byłoby wszystko.

Reinhart wetknął kartkę z powrotem.

– A mamy go w kartotece? – zapytał Rooth.

– A skąd – odparł Reinhart. – To znaczy, jak dotąd nic nie znaleźliśmy. Wygląda na to, że był przeciętnikiem. Nudne małżeństwo, nudna robota, nudne życie. Urlopy w Blankenbirge i na Rodos. Nie wykazywał żadnych zainteresowań poza krzyżówkami i kryminałami, i to tymi nie najwyższych lotów... Pozostaje zagadką, dlaczego ktoś chciałby go zabić. Na razie to jedyna niewiadoma, jaką mamy.

– Niesamowite – odparł Van Veeteren. – A wdowa? Przynajmniej ona musiała być nieco bardziej pełnokrwista?

Münster wzruszył ramionami.

– Niewiele z niej wyciągnęliśmy – powiedział. – Wciąż nie doszła do siebie i nie przyjmuje do wiadomości, co się wydarzyło.

– Może coś ukrywać – zauważył Heinemann. – Zgrywanie wariata to stara sztuczka. Przypomina mi się historia jednego duńskiego księcia, który...

– Nie wydaje mi się – przerwał mu Münster. – Lekarzom też nie. Dowiedzieliśmy się już co nieco od jej siostry i syna, ale nie ma to wiele wspólnego z zabójstwem. Ot, niewesołe życie i tyle. Słabe nerwy. Od czasu do czasu była na lekach. Kilka razy zaliczała terapię. Najwidoczniej kontakt z innymi stanowi dla niej problem. Z tego powodu skończyła pracę w hotelu Kongers Palatz, chociaż nikt nie powiedział tego wprost. Widocznie firma Malika wystarcza na utrzymanie rodziny. To znaczy, wystarczała.

Van Veeteren rozgryzł wykałaczkę.

– Słowem codzienność jeszcze bardziej szara niż pogoda za oknem. Moreno, ty też nic nie masz?

Ewa Moreno nieznacznie się uśmiechnęła.

– Cóż, w każdym razie ich syn jest dość miły. To znaczy, zważywszy na okoliczności. Chyba dość wcześnie wyrwał się z domu. Wyprowadził się, kiedy tylko skończył liceum, i nie utrzymywał zbyt bliskich kontaktów z rodzicami, a już na pewno nie z matką. Najczęściej odzywał się, kiedy potrzebował pieniędzy, wcale tego nie ukrywa. O siostrze też mam opowiedzieć?

– A masz na jej temat coś godnego uwagi? – zapytał Reinhart.

– Nie – odparła Moreno. – W zasadzie nie. Ona też żyje w stałym, nieco nudnym związku. Pracuje na pół etatu w domu starców. Jej

mąż jest przedsiębiorcą. Oboje mają alibi na noc zabójstwa, zresztą to dość nieprawdopodobne, żeby któreś z nich było w to zamieszane... Nawet nie tyle dość, co całkiem nieprawdopodobne.

Na chwilę zapadło milczenie. Rooth wyciągnął z kieszeni marynarki ciastko czekoladowe. Heinemann próbował paznokciem zeskrobać jakąś plamę ze stołu. Van Veeteren zamknął oczy i nie było wiadomo, czy śpi, czy nie.

– No tak – powiedział Reinhart. – W takim razie chciałbym wiedzieć jeszcze jedno. Kto go zabił, do cholery?

– Jakiś wariat – odparł Rooth. – Ktoś postanowił wypróbować swojego berengera i zobaczył, że akurat u Malików pali się światło.

– Do licha, obstawiam, że masz rację – wtrącił Heinemann.

– Nie – powiedział Van Veeteren, nie otwierając oczu.

– A ty skąd wiesz? – zapytał Reinhart.

– Czuję to przez skórę – odparł komisarz.

– Że niby co? – nie zrozumiał Heinemann.

– Może pójdziemy zrobić kawę? – zaproponował Rooth.

Van Veeteren otworzył oczy.

– Mówiłem już, że wolałbym grog.

Reinhart zerknął na zegarek.

– Dopiero jedenasta, ale ja się chętnie napiję. Gówniana historia i tyle.

Wracając do domu w ten ponury poniedziałek, Reinhart zatrzymał się w centrum handlowym Merckx na Bossingen. Właściwie kupowanie w takich świątyniach konsumpcji wypełnionych kupcami było wbrew jego zasadom, ale tego dnia się poddał. Czuł, że po mozolnym grzebaniu się w przeszłości Ryszarda Malika nie ma siły na bieganie po sklepikach w centrum miasta.

W pół godziny udało mu się kupić homara, dwie butelki wina i jedenaście róż, a do tego trochę innych drobiazgów. Stwierdził, że tyle wystarczy, opuścił to zakupowe pandemonium i po piętnastu minutach był już w swoim mieszkaniu na Zuyderstraat. Rozpakował torbę, segregując produkty jak należy, po czym sięgnął po telefon.

– Cześć. Mam homara, wino i róże. Wszystko będzie twoje, jeśli do-

trzesz tu w godzinę.

– Ale dziś poniedziałek – odpowiedziała jego rozmówczyni.

– Jeśli czegoś z tym nie zrobimy, to przez całe życie będzie poniedziałek – odparł Reinhart.

– No dobrze. Przyjadę.

Winnifred Lynch w jednej czwartej była Aborygenką, urodzoną w Perth w Australii, ale wychowaną w Anglii. Mając na koncie dyplom filologii angielskiej z Cambridge oraz bezdzietne, nieudane małżeństwo, zrobiła doktorat na uniwersytecie w Maardam. Kiedy w połowie listopada spotkała Reinharta w klubie jazzowym, miała 39 lat. Reinhart – 49. Odprowadził ją do domu, po czym kochali się przez cztery dni (od czasu do czasu robiąc przerwy), jednak później – ku obopólnemu zaskoczeniu i wbrew ich dotychczasowym doświadczeniom – romans się nie skończył. Nadal się spotykali. To tu, to tam: na koncercie, w restauracji, w kinie, a przede wszystkim – rzecz jasna – w łóżku. Już na początku grudnia Reinhart zrozumiał, że w tej smagłej, inteligentnej kobiecie jest coś wyjątkowego. Kiedy na Boże Narodzenie wyjechała do Anglii, poczuł tęsknotę, jakiej nie doświadczył już od niemal trzech dziesięcioleci. Nagle przypomniał sobie, jak to jest, kiedy kogoś się traci. Kiedy ktoś jest dla ciebie ważny.

To uczucie bez wątpienia go przestraszyło, było niczym ostrzeżenie, jednak kiedy wróciła po trzech tygodniach, nie mógł się powstrzymać i pojechał po nią na lotnisko. Czekał z różami, mocno ją uściskał, no i zaczęło się na nowo.

Tego dnia mijało pięć, może siedem tygodni od jej powrotu. Choć kiedy po chwili policzył dokładnie, zrozumiał, że to zaledwie dziesięć dni.

A więc to nie przelewki.

– Dlaczego zostałeś policjantem? – zapytała, kiedy już poleżeli wyciągnięci wygodnie w łóżku. – Obiecałeś, że kiedyś mi powiesz.

– Ale dla mnie to traumatyczne wyznanie – odparł po chwili zastanowienia.

– Przecież jestem człowiekiem.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedziała, ale Reinhartowi wydawało się, że chyba wie, o co jej chodzi.

– No dobrze. To przez kobietę. Czy raczej dziewczynę. Miała dwadzieścia lat.

– Co się stało?

Zawahał się. Zaciągnął się dwa razy papierosem i dopiero wtedy zaczął:

– Ja miałem dwadzieścia jeden lat. Studiowałem filozofię i antropologię, jak już wiesz. Byliśmy ze sobą od dwóch lat. Chcieliśmy się pobrać. Ona studiowała filologię. Pewnego wieczoru, kiedy wracała do domu z wykładów, jakiś szalenciec dźgnął ją nożem w Wollerimsparken. Zmarła w szpitalu, zanim dojechałem na miejsce. Policji pół roku zajęło znalezienie sprawcy, do tego czasu zdążyłem już zacząć policyjną karierę.

Jeśli jest na tyle mądra, żeby nic nie mówić, to chcę z nią być, pomyślał nagle.

Winnifred Lynch położyła mu rękę na piersi. Przez kilka sekund delikatnie go głaskała, po czym wstała i wyszła do łazienki.

To przesądziło sprawę, stwierdził Reinhart ze zdziwieniem.

Nieco później, kiedy znów leżeli i odpoczywali po kolejnym razie, nie mógł się powstrzymać i zapytał:

– Co byś powiedziała o sprawcy, strzelającym dwa razy w podbrzusze ofiary, która leży nieżywa?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Ofiara to mężczyzna?

– Tak.

– W takim razie według mnie zabójcą jest kobieta.

A niech to, pomyślał Reinhart.

## 9

Najwidoczniej weekendowy pobyt nad wzburzonym sztormami morzem wlał w szefa nowe siły, tuż po swoim powrocie w poniedziałek rano Hiller zarządził bowiem, że sprawa Malika ma ruszyć pełną parą.

Innymi słowy, oznaczało to, że wszystkich sześcioro śledczych, z Van Veeterenem na czele, jak również wszyscy podwładni, którzy akurat byli do dyspozycji, mieli pracować nad dochodzeniem na pełnych obrotach. Poza komisarzem sprawę nadzorować mieli także Reinhart, Münster, Rooth, Heinemann i Moreno. Jung, po wszystkich nieprzespanych nocach, rozłożył się na gripę, wyglądało więc na to, że przez parę dni nie włączy się do gry. Natomiast deBries był na urlopie.

Van Veeteren osobiście nie spodziewał się wiele po obsadzeniu sprawy taką liczbą personelu. Problem tkwił bowiem w tym, że nie mieli żadnego rozsądnego tropu, którym można by podążyć. Van Veeteren wiedział, że szukanie narzędzia zbrodni poprzez sieć policyjnych informatorów działających w półświatku to syzyfowa praca. Z jego rachuby wynikało, że gdyby chciało się zwiększyć szansę powodzenia takiego planu do dwudziestu pięciu procent, pewnie trzeba by zaangażować stu policjantów na sto dni. A do tego należałoby dać im sowite dodatkowe wynagrodzenie. Takie środki wchodziły w grę tylko w przypadku zabójstwa premiera. A z tego, co jak dotąd ustalił ich wydział, wypływał wniosek, że Ryszard Malik premierem jednak nie był.

Trzeba było więc postawić na żonę. Czuwanie nad Ilse Malik i jej stopniowym wyjściem ze stanu półświadomości komisarz powierzył



Moreno i Heinemannowi. Uznał, że teraz, kiedy to wyjątkowo jest tylu ludzi do dyspozycji, można sobie pozwolić, żeby w szpitalu non stop był ktoś od nich. W końcu nigdy nie wiadomo, a jeśli w tej sprawie ktokolwiek mógł sobie coś przypomnieć, to właśnie Ilse Malik.

No i pozostawało im łowienie na haczyk. Bo tę metodę zawsze da się zastosować: można odwiedzać wszystkich, którzy mieli jakiś związek z Malikiem – sąsiadów, znajomych z pracy, dawnych oraz obecnych kolegów – i zadawać im pytania zgodnie z regułą świni poszukującej trufli. Otóż jeśli tylko odpowiednio długo i wytrwale grzebie się w ziemi, to prędzej czy później trafi się na coś przydatnego.

To dość monotonne zadanie Van Veeteren przydzielił na początek Roothowi i Reinhartowi (choć dał im do dyspozycji co najmniej trzech stażystów wykazujących się mniejszą lub większą efektywnością). Van Veeteren wiedział dobrze, że Reinhartowi nie trzeba mówić, czym ma się zająć, ale że Hiller w przypiływie służbowego zapału zażyczył sobie, by we wtorek raport wylądował na jego wypolerowanym do czysta biurku, komisarz jednak sporządził odpowiedni dokument.

Sam zaś, mimo dokuczliwego przeziębienia, wybrał się z Münsterem na badminton. O tym jednak nie wspomniał w raporcie.

W piątek, kiedy to na skutek zbrojnego napadu w podmiejskich Borowicach (jedna ofiara śmiertelna) trzeba było na nowo podzielić zespół, okazało się, że niewiele udało im się osiągnąć. Pod nadzorem Rootha i Reinharta, a potem także i Münstera przeprowadzono około siedemdziesięciu przesłuchań. Wynikło z nich jedynie to, że dotychczasowy wizerunek Malika jako osoby nijakiej, ale przy tym godnej zaufania i odpowiedzialnej potwierdził się i utrwalił w ich świadomości. Osiemdziesięciokilowe uosobienie przyzwoitości z dwiema lewymi półkulami, jak to wyraził Reinhart.

Co do Ilse Malik, która wciąż leżała w szpitalu, to zgodnie z zapowiedziami doktora Hübnera jej świadomość zaczęła wreszcie wpływać na wody rzeczywistości, choć rzecz jasna nie w zawrotnym tempie. W każdym razie już w środę pani Malik zrobiła postęp i przyjęła do wiadomości, że jej męża zamordowano. Wspomnienia z piątkowego wieczoru nabrały nieco wyrazistszych kształtów, co więcej, Ilse Malik

zrelacjonowała wreszcie w miarę sensownie, co sama robiła tamtego dnia. Oczywiście od czasu do czasu wybuchała histerycznym płaczem, ale przecież tego można się było spodziewać. Syn, Jacob, prawie cały czas był u jej boku i jeśli faktycznie, tak jak mówiła Moreno, nieco zbyt szybko wyrwał się spod skrzydeł matki, to teraz chyba starał się jakoś jej to wynagrodzić. Bo też nie miał innego wyboru, jak odnaleźć się w tej nowej sytuacji.

W czwartkowe przedpołudnie Ilse Malik przypomniała sobie nowy szczegół. Prawdopodobnie – jak zaznaczył jej syn w rozmowie z Moreno i Heinemannem, którzy także czuwali przy jej łóżku bez przerwy, jeśli nie oboje, to na pewno jedno z nich – był to zapewne kolejny przejaw paranoi. Jacob już wcześniej słyszał podobne historie, dlatego też zdecydowanie radził policji, żeby nie przykładała do tego zbyt dużej wagi.

Ilse Malik twierdziła mianowicie, że już kilka dni przed feralnym piątkiem ktoś czyhał na życie jej męża. Po pierwsze, odebrali dziwny telefon, i to dwa razy, z tego, co pamiętała, we wtorek i w czwartek. Ktoś dzwonił i nie odzywał się ani słowem, w słuchawce słychać było tylko muzykę. Ilse na darmo dopytywała kto to. Nie domyślała się, co to była za muzyka i co mogła ewentualnie oznaczać, ale wydawało jej się, że za każdym razem była to ta sama melodia.

Nie wiedziała, czy jej mąż też odbierał podobne telefony. Nic o tym nie wspominał.

Kolejny zamach na życie Ryszarda Malika wydarzył się, kiedy Malik wracał z pracy. Kierowca białego mercedesa chciał go zabić, próbując rozjechać jego renault. Z braku laku sprawdzili i ten trop, jednak zważywszy na nieznaczące uszkodzenie samochodu Malika, zarówno Heinemann, jak i Moreno stwierdzili, że nie ma co drażnić tematu. Właścicielem samochodu okazał się zresztą sześćdziesięciodwuletni profesor limnologii z Genewy, a wymiana wiadomości ze szwajcarską policją nie potwierdziła, by wjeżdżając w tył samochodu Malika, profesor miał zbrodnicze zamiary.

Natomiast co do innych zeznań pani Malik, to dały się one streścić jako dość monotonna relacja z monotonnego życia w monotonnym małżeństwie. Dlatego też w związku z nowym podziałem zadań wśród

pracowników Van Veeteren zrezygnował z dyżurów w szpitalu. Zarówno Moreno, jak i Heinemann mieli ich już zresztą tak serdecznie dosyć, że zgłosili się na ochotnika do sprawy napadu na bank, nad którą nadzór objął Reinhart. On też, przynajmniej na razie, został wyłączony ze sprawy Malika. Do ich zespołu przeniesiono także Junga i Rootha, mimo że zwłaszcza ten drugi zgłaszał wyraźny sprzeciw wobec konieczności pracowania w weekendy, a na to się zanosilo.

Przy sprawie Malika ostali się zatem tylko Van Veeteren i Münster.

Nie mieli wyjścia, musieli dojść do czegoś, co przypominałoby wyniki śledztwa.

– Jakie pan komisarz ma pomysły? – odważył się zapytać Münster, kiedy siedzieli nad piątkową kolejką piwa w Adernaar.

– Żadnych – wymamrotał Van Veeteren wpatrzony w deszcz uderzający o szyby. – Zazwyczaj w styczniu nie mam żadnych pomysłów. Poczekamy, zobaczymy.

– No tak, racja – odparł Münster. – Tak czy inaczej, to dziwna historia. Reinhart twierdzi, że zrobiła to kobieta.

– Bardzo możliwe – westchnął komisarz. – Zawsze trudniej znaleźć kobietę. Wiem to z własnego doświadczenia.

Biorąc pod uwagę okoliczności, taki komentarz w ustach van Veeterena zabrzmiał niemal jak odważny dowcip. Münster musiał zakasłać, żeby ukryć uśmiech.

– Przynajmniej weekend mamy wolny – powiedział. – Dobrze, że nie musimy zajmować się tym złodziejem. Upiekło się nam.

– Może. Ale jemu też.

– Przecież i tak go złapią. – Münster napił się z kufła. – Są świadkowie. No nic, muszę się zbierać. Synn zaczęła pracować, a opiekunce płacimy za godziny.

– A niech to – odparł Van Veeteren. – Zawsze coś.

W poniedziałek okazało się, że przecucia Münstera się sprawdziły. Złodziej – obecnie bezrobotny, wcześniej wartownik parkingowy – wpadł w ręce Rootha i Heinemanna już w niedzielny poranek. A to dzięki wskazówkom pewnej kobiety, którą w sobotę wieczorem pod-

jęto niesłychanie uprzejmie w jednej z najlepszych restauracji w mieście. Sprawca przyznał się po godzinie przesłuchania bardzo efektywnie prowadzonego przez Rootha, który z jakiegoś powodu spieszył się do domu.

W sprawie Malika przez weekend nie wydarzyło się nic, nie licząc powrotu Jacoba Malika na studia do Monachium. Jego matka gościła z krótką wizytą u siostry, miała tam zostać do pogrzebu, który zaplanowano na trzeci lutego. Do policji spłynęło około dwudziestu doniesień dotyczących zabójstwa Malika, ale żadne z nich nie okazało się istotne dla śledztwa. Podczas zebrania w gabinecie szefa, po wysłuchaniu sprawozdań, postanowiono, że od teraz przy sprawie pracować będzie tyle osób, co przy innych zabójstwach, natomiast nadzór będzie sprawował Van Veeteren. W sobotę wydarzył się napad na sklep jubilerski w centrum, na szczęście tym razem obyło się bez ofiar, co więcej, banda rasistów zrobiła rundę po zamieszkaną przez imigrantów dzielnicę w pobliżu Zwille, wyrządzając przy tym pewne szkody, natomiast w nocy z niedzieli na poniedziałek jakiś nieszczęśliwy farmer z Korim zastrzelił swoją żonę i dwanaście krów. Rzecz jasna do każdej z tych spraw potrzeba było ludzi.

W tym momencie Ryszard Malik nie żył już od niemal dziesięciu dni i na temat tego, kto pozbawił go życia, wiedzieli mniej więcej tyle samo, co na początku.

Czyli nic.

A styczeń trwał dalej.

## 10

Poczucie satysfakcji było większe, niż się spodziewała.

Bardziej dogłębne i trwałe, niż mogła sobie wyobrazić. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu znalazła sens i harmonię, przynajmniej tak jej się wydawało. Nie umiała sprecyzować, skąd bierze się to przekonanie, ale czuła je całą sobą. Było w skórze i w rozluźnionych mięśniach. Przypominało swego rodzaju upojenie rozlewające się po nerwach niczym delikatna piana i nieprzerwanie utrzymujące jej świadomość w stanie uniesienia. Niezależność i spokój połączone z uczuciem bycia wielką. Naprawdę wielką. Orgazm ciągnący się w nieskończoność. Albo przynajmniej kończący się powoli i przyjemnie, rozplywający się leniwie w oczekiwaniu na następną okazję. I jeszcze następną.

Zabić.

Zabić ich wszystkich.

Kilka lat temu zwróciła się w stronę doznań religijnych. Niewiele brakowało, a wstąpiłaby do jednej z tych sekt, które w dzisiejszych czasach wyrastają jak grzyby po deszczu. Teraz tamto uczucie wróciło. Różnica polegała jednak na tym, że wtedy szybko minęło. Trzy, cztery dni ekstatycznego uniesienia, a potem poczucie winy i kac jak po zwykłym pijaństwie.

Ale nie teraz. Nie tym razem. Po dziesięciu dniach wciąż się tak czuła. Całe ja wypełniała moc, każdemu działaniu towarzyszyły determinacja i poczucie sensu. Każdemu, nawet najmniejszemu, jak zjedzenie jabłka, obcięcie paznokci czy stanie w kolejce do kasy. We wszystkim była świadomość i zorientowanie na cel. Każdy drobiazg, którego

się podejmowała, jednocześnie był kolejnym małym krokiem, ogniwem w łańcuchu prowadzącym do tego, by zabić ponownie.

Znowu i znowu. I stopniowo zamknąć to koło, jakim była historia jej matki i jej własne życie. To było jej zadanie. Wreszcie wszystko miało sens.

O swoim pierwszym dokonaniu przeczytała w gazetach. Kupiła zarówno „Neuwe Blatt”, jak i „Telegraaf” oraz kilka innych, a później rozłożyła się w pokoju i zaczęła śledzić wszystkie spekulacje. Zdziwiło ją, że poświęcili tej historii tyle uwagi. Ile w takim razie napiszą po następnej zbrodni? I po jeszcze następnej?

Irytowało ją nieco, że nie ma telewizora. Zastanawiała się, czy nie kupić sobie jakiegoś małego, ale w końcu zrezygnowała. Przynajmniej na jakiś czas. Bo może następnym razem nie będzie się mogła powstrzymać, żeby nie posłuchać o sobie w wiadomościach telewizyjnych. Czas pokaże. Oczywiście mogła iść do kawiarni, w której mieli telewizor, ale jakoś jej to nie kusiło. Kawiarnia nie dawała poczucia prywatności.

Bo cokolwiek by powiedzieć, cała ta historia była jej prywatną sprawą. Jej i jej matki.

Jej, matki i tych osób z listy.

Właśnie zakreśliła kolejne nazwisko. Narysowała wokół niego czerwone kółko. Późnym wieczorem w poniedziałek zdecydowała, że czas zakończyć fazę przygotowań. Scenariusz był jasny. Wzór ułożony. Pora znów ruszyć na łowy. Najpierw preludium, potem akt.

Śmierć.

Uczucie przyjemności rozeszło się pod skórą i kiedy zamknęła oczy, pokazała się jej twarz matki za złotawą, migotliwą poświatą.

Jej zmęczone, ale nieustępliwe spojrzenie.

Działaj, córko.

IV

30 stycznia–1 lutego

Kiedy Rickard Maasleitner obudził się we wtorkowy poranek, w uszach wciąż rozbrzmiewały mu słowa dyrektora. Prawdopodobnie śnił o nich całą noc.

– Musisz zrozumieć, że dostałeś to zwolnienie lekarskie wcale nie ze względu na twoje problemy z alergią. To ma być dla ciebie czas na przemyślenie pewnych spraw. Chcę, żebyś rozważył – dokładnie rozważył – czy nadal chcesz u nas pracować!

Mówiąc to, spuścił okulary na czubek nosa i pochylił się nad biurkiem. Starał się okazać cholerną wyrozumiałość i wyglądać po ojcowsku, mimo że byli niemal rówieśnikami i znali się od lat. Razem zaczęli w szkole, i to jeszcze za czasów Van Breukelena.

– Masz chyba dostatecznie dużo czasu – dodał, kiedy Rickard już wychodził z gabinetu. Do tego położył mu rękę na ramieniu i wymamrotał jeszcze parę słów o ideałach i wychowywaniu. To było niesmaczne.

Dostatecznie dużo czasu?

Obrócił się na drugi bok i zerknął na budzik stojący na regale. Za piętnaście dziesiąta.

Za piętnaście dziesiąta rano w styczniowy wtorek. A on jeszcze w łóżku. Dziwne uczucie, mówiąc delikatnie. Dostał trzytygodniowe zwolnienie z racji alergii. Taka była oficjalna wersja, a naprawdę odsunęto go od nauczania, ponieważ na szkolnym korytarzu wytargał za uszy pyskatego piętnastolatka i kazał mu iść do diabła. Czy też wrócić tam, skąd pochodził, ale to na jedno wychodziło. A potem zdzielił przez głowę innego.



I wcale tego nie żałował.

W tym właśnie tkwił problem. Nie prosił o wybaczenie. Odmówił kajania się. Oba incydenty wydarzyły się na początku grudnia, kiedy to w całej szkole odbywały się testy i było dość nerwowo. No i cała machina ruszyła.

Uczniowie protestowali. Komitet rodzicielski też. W prasie pojawiło się kilka doniesień na ten temat. Wiedział, że przez cały ten czas miał jeszcze szansę odwrotu, że wszyscy zaangażowani byli w stanie zapomnieć o sprawie, gdyby tylko wziął winę na siebie i przeprosił.

Gdyby wyraził żal.

Wszyscy oczekiwali, że tak właśnie zakończy się cała historia. Bo wiadomo, Maasleitner powinien się opamiętać, pochylić głowę ze wstydu i ustąpić. Jeśli nie przed przerwą świąteczną, to po niej. Jasna sprawa. Spokojnie przemyśli wszystko i sam zrozumie.

Tak się jednak nie stało. Zamiast tego Maasleitner doszedł do końca. Ale już na początku wiedział, że tym razem nie ustąpi. Wcześniej mu się to zdarzało; brał winę na siebie, przeproszał za sytuacje, co do których wiedział na sto procent, że postąpił słusznie.

Tym razem wszystko było jasne jak nigdy dotąd. I to w obu przypadkach. Tych dwóch młodocianych macho dostało tylko namiastkę tego, co im się naprawdę należało. Choć raz poznali, co to sprawiedliwość. Ale to jego zawiesili. Na razie pod pozorem choroby i bez odbierania mu pensji, ale wiadomo, że to tylko kwestia czasu, że potem sprawy przybiorą oficjalny obrót. Czyli po prostu go wywalą.

Za trzy tygodnie, mówiąc dokładniej. Rickard Maasleitner znał reguły gry. Rozumiał je, ale bynajmniej nie popierał. I to nigdy. Bydlaki i debile były pod ochroną. Cholera, pomyślał, skopując z siebie kołdrę. Taka to sprawiedliwość!

Ledwo wstał z łóżka, zadzwonił telefon.

Jeśli to ktoś ze szkoły, odłożę słuchawkę, postanowił.

Jednak to nie był nikt ze szkoły. W słuchawce odezwała się kobieta o niskim, nieco surowym głosie.

– Poznajesz tę melodię? – zapytała.

Tylko tyle. A potem rozległa się muzyka. Chyba wersja instrumentalna jakiejś piosenki. Może dłuższy wstęp do jakiegoś kawałka.

Z pewnością nie najnowszego. Całkiem miła melodia.

– Halo? – zapytał po dziesięciu sekundach. – Czy to jakiś quiz?

Żadnej odpowiedzi. Wciąż tylko muzyka.

Odsunął słuchawkę od ucha i zastanawiał się przez chwilę.

– Jeśli myślicie, że mnie zdenerwujecie takimi żartami, to się grubo mylicie! – rzucił w końcu i odłożył słuchawkę.

Kanalie, pomyślał. Dokąd zmierza to społeczeństwo?

Potem założył szlafrok i ruszył do kuchni, żeby zjeść śniadanie.

W ciągu dnia odebrał jeszcze co najmniej osiem takich telefonów – stracił rachubę już wczesnym popołudniem.

Ta sama melodia. Chyba jakiś instrumentalny kawałek z lat sześćdziesiątych. Wydawało mu się, że go kojarzy, ale nie mógł dokładnie zidentyfikować ani wykonawcy, ani tytułu.

Oczywiście nie raz przyszło mu do głowy, żeby wyciągnąć wtyczkę od telefonu i położyć kres tym wygłupom, jednak z jakiegoś powodu dał sobie spokój. I za każdym razem, gdy rozlegał się dzwonek, odrywał się od lektury bądź od pracy nad indeksem podręczników. Odbierał, a potem słuchał, spoglądając przy tym na dachy i ciemne, zmarznięte drzewa i zastanawiając się, o co w tym wszystkim, do cholery, może chodzić. Po trzeciej rozmowie sam przestał cokolwiek mówić do słuchawki.

Z początku był przekonany, że ma to coś wspólnego ze szkołą, że pewnie stoi za tym któryś uczeń. Jednak im dłużej to trwało, tym bardziej zaczynał wątpić. Co dziwne, nagle cała irytacja zniknęła. Zastąpiło ją coś innego, ciekawość pomieszana z uczuciem, którego wolał nie precyzować. Nie chciał przyznać przed samym sobą, że ogarnął go strach.

Bo było w tym coś nieprzyjemnego. Coś, czego nie potrafił zrozumieć. Czy to po prostu wymyślny żart? Kobięcy głos, który słyszał przy pierwszej rozmowie, już się nie odzywał, rozbrzmiewała tylko muzyka. Ten sam instrumentalny utwór... w całkiem niezłym wykonaniu, co do tego nie było wątpliwości, i – o ile dobrze mu się wydawało – z początku lat sześćdziesiątych.

Chociaż kobieta już nic więcej nie mówiła, to Maasleitner pamiętał

jej słowa:

– Poznajesz tę melodię?

Powinien ją kojarzyć. Chyba o to jej chodziło? Ta muzyka coś oznaczała i, rzecz jasna, on powinien wiedzieć co. Chyba tak to było pomyslane?

A niech to, wymamrotał, kiedy odłożył słuchawkę po raz piąty czy szósty. O co tu chodzi?

Jednak miało minąć jeszcze trochę czasu, zanim Rickard Maasleitner zrozumiał. A wtedy wszystko stało się aż nadto jasne.

## 12

Enso Faringer się denerwował. Sprawa nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Kiedy tylko usiedli przy stoliku u Freddy'ego, tym co zawsze, Enso zaczął się wiercić i drapać po wysypce, która jak każdej zimy szpeciła mu szyję. Szybko wypił łyk piwa i zanim kelner przyniósł jedzenie, wypalił już dwa papierosy.

Rozmowa toczyła się z przerwami i Maasleitner widział, że jego kolega nie wie, na której nodze stanąć czy też raczej na którym stołku usiąść. Maasleitner próbował go wyciągnąć już we wtorkową noc, ale wtedy w odpowiedzi usłyszał jedynie zgrabną wymówkę. Stary przyjaciel miał przyjechać do Ensa z wizytą, czy coś w tym stylu.

Jakby Enso Faringer miał jakichś przyjaciół. Maasleitner miał wtedy ochotę poprosić, żeby Enso opowiedział nieco więcej o wizycie, ale zrezygnował i przełknął kłamstwo bez słowa. Teraz też zastanawiał się, czy nie podpuścić kolegi, ale dał spokój. Nie chciał być złośliwy. W końcu Faringer był dla niego tylko łącznikiem. Kimś, kto wie, co się dzieje w szkole, choć oczywiście Faringer sam nie potrafił wyciągnąć z takiej wiedzy wniosków. No i nie umiał opowiedzieć się za jedną bądź drugą stroną.

Jednak poza Faringerem Maasleitner nie miał już innych znajomych. Nie miał nikogo, komu mógłby ufać. A w takiej sytuacji nie ma co kręcić nosem.

Zjedli szaszłyki, jak zwykle, i Faringer z pewną dozą ostrożności opowiedział o wspólnych uczniach i o kolegach z pracy, których, jak było mu wiadomo, Maasleitner nie darzył sympatią. Wspomniał też o swoim akwarium i o ojcu, który już od lat był pacjentem szpitala

psychiatrycznego, a który za nic nie chciał umrzeć, mimo że skończył już dziewięćdziesiąt pięć lat. Enso odwiedzał go średnio cztery razy w tygodniu.

Oczywiście cała ta gadanina też była oznaką zdenerwowania. Szczęki Faringera poruszały się jak gdyby same z siebie. Zupełnie jakby rozmawiał ze swoimi rybkami albo jakby prowadził lekcję i nie musiał myśleć o tym, co mówi. Już po dziesięciu minutach Maasleitner zrozumiał, że ma dość.

– A ty po czyjej jesteś stronie? – zapytał, kiedy Faringer upił pierwszy łyk z trzeciego tego dnia piwa.

– Co masz na myśli?

– Przecież wiesz.

– No... może. Chociaż nie, musisz sprecyzować, bo nie do końca wiem, o co ci chodzi.

– Za trzy tygodnie dostanę wymówienie. Dokładniej mówiąc, za dwa i pół tygodnia. Co ty na to?

Faringer przełknął ślinę.

– Chyba nie mówisz tego poważnie? Mimo wszystko sprawy nie zajdą chyba tak daleko. Muszę porozmawiać z...

Nagle zamilkł.

– No z kim?

– Sam nie wiem. Ale ty sam nie zrezygnujesz? Przecież prędzej czy później ta historia jakoś się wyjaśni.

– Bzdura. Nie udawaj, że nie wiesz, jak się sprawy mają. Przecież wszystko jest jasne, do cholery.

– Ależ...

– Wywalą mnie za to, że pokazałem tym łobuzom, na co zasługują, nie rozumiesz? Więc co mi tu pleciesz i udajesz, że nie wiesz, o co chodzi? Tylko na tyle cię stać?

Złość ogarnęła go szybciej, niż się spodziewał. Po Faringerze było widać, że się przestraszył. Maasleitner spróbował więc nieco łagodniej.

– Przecież w pokoju nauczycielskim na pewno pojawiają się różne głosy. Czy wszyscy mają zamiar zaakceptować taki obrót spraw, czy ewentualnie mogą oczekiwać jakiegoś wsparcia? Co mówią inni? Tyl-

ko to mnie interesuje.

– Aha.

Faringerowi chyba ulżyło.

– Gdybyś więc mógł trochę poobserwować i posłuchać tego i owego. Kto jak kto, ale ty potrafisz dobrze wyczuć sytuację. Bo nie ukrywajmy, jesteś bardziej spostrzegawczy od innych.

Nie był to zbyt wyrafinowany komplement, ale najwidoczniej poskutkował. Enso Faringer rozparł się w krześle i zapalił papierosa. Oczy zwęziły mu się w szparki, chyba próbował pokazać całym sobą, że intensywnie myśli.

A może faktycznie właśnie to robi, przemknęło przez głowę Maasleitnerowi.

– Zatem chcesz, żebym przeprowadził małe rozpoznanie?

Maasleitner przytaknął.

– I żebym zorganizował niewielki lobbing?

– Cóż...

Najwidoczniej piwo zaczęło już uderzać Faringerowi do głowy. Maasleitner zrozumiał nagle, w jak absurdalnej sytuacji się znalazł. Bo oto musi liczyć na poparcie takiego typa jak Enso Faringer! Musi tu teraz siedzieć i prosić o przysługę właśnie jego – ignorowanego przez wszystkich głupka, istną ofiarę losu. *Herr Fräulein*, jak zwykli mawiać o nim uczniowie.

Sam zresztą nie wiedział, co chce na tym ugrać. Może po prostu musiał to z siebie wyrzucić. Dać upust irytacji i poczuciu niesprawiedliwości. Czy naprawdę przyjdzie mu skończyć karierę z łatką uparte-go buca? Poczuł, że powoli, acz nieubłagane zmęczenie i bezsens zaczynają go przytłaczać. I kiedy zobaczył, jak ten niewyrośnięty belfer od niemieckiego marszczy czoło i wyciąga z wewnętrznej kieszeni pióro kulkowe, poczuł, że to wszystko składa się na jakiś teatr absurdu.

Na farsę.

Czyżby Faringer chciał rozrysować na serwetce kolejne punkty strategii? Albo spisać zarys manifestu?

A niech to, pomyślał Maasleitner. Z kim ja się zadaję?

A może gdyby innym pozdejmować maski, też by się tacy okazali?

Cóż, pytanie stare jak świat. W sumie to nawet nie pytanie.

Raczej stwierdzenie.

Potrzebuję więcej piwa, pomyślał. Chyba lepiej będzie, jak przestanę widzieć wyraźnie. O upojenie, przyjdź!

Kiedy dużo, dużo później chwiejnym krokiem wychodzili z restauracyjnej piwniczki, nastroje mieli zdecydowanie lepsze. Maasleitner musiał wręcz objąć kolegę za plecy, żeby mu pomóc pokonać schodki prowadzące na ulicę. Faringerowi stopa ześlizgnęła się ze stopnia, chwycił się więc poręczy i zarechotał na całe gardło. Kiedy wreszcie udało im się zatrzymać taksówkę, okazało się, że Faringer zostawił portfel w knajpie na stoliku. Maasleitner po niego wrócił, podczas gdy jego kolega rozłożył się na tylnym siedzeniu i śpiewał sprośną piosenkę średnio ubawionemu, ale zapewne uodpornionemu na takie sytuacje kierowcy.

Spoglądając na światła taksówki znikające za rogiem, Maasleitner zastanawiał się, jak, u licha, Enso Faringer zdoła jutro rano stanąć za katedrą.

Dla niego akurat teraz takie problemy nie istniały. Co więcej, dzięki upojonej słodyczy alkoholu rozplywającej się po ciele poczuł, że mimo wszystko cała ta sytuacja go cieszy. Jutro rano czekała go przyjemność porannego wylegiwania się w łóżku, potem może wybierze się na jakąś przejażdżkę... może do Weimarn? Czemu nie. O ile, oczywiście, pogoda będzie znośna.

Akurat teraz się na to zanosilo. Deszcz ustał. Na ulicy czuć było delikatny powiew wiatru i kiedy tak Maasleitner, zmierzając na Weijskerstraat, przemierzał dobrze sobie znane, wąskie uliczki, rosło w nim przekonanie, że właściwie nie ma co za bardzo niepokoić się o przyszłość.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl z cienia położonego w głębi ulicy kościoła Keymerkyrkan wyłoniła się jakaś postać.

Cicho i ostrożnie ruszyła za Maasleitnerem, trzymając się jakies trzydzieści kroków z tyłu. Najpierw po wytartych kocich łbach, potem przez Wilhelmsgraacht i przez Weijskerstraat aż do wejścia do budynku. Maasleitnera zaskoczyło, że drzwi na klatkę są otwarte i że coś

jest nie tak z zamkiem. Mimo stanu lekkiej euforii przystanął na chwilę i zaczął pomrukiwać z niezadowolenia. W tym czasie jego cień schował się na progu domu po przeciwnej stronie wąskiej ulicy. W końcu Maasleitner wzruszył ramionami, wszedł do budynku i wjechał windą na czwarte piętro.

Ledwo wszedł do mieszkania, nie zdążył nawet się rozebrać, kiedy rozległ się dzwonek. Zegar nad kuchenką wskazywał kilka minut po północy. Zmierzając do drzwi, zastanawiał się, kto to, u licha, może czegoś od niego chcieć o tej porze. Nagle przyszło mu do głowy, że to na pewno Enso Faringer, któremu w pijanym widzie coś wpadło do głowy. Otworzył więc z wyrozumiałym uśmiechem.

Równo szesnaście godzin później te same drzwi otworzyła jego siedemnastoletnia córka i gdyby okoliczności były nieco bardziej sprzyjające, może dostrzegłaby na jego ustach ślad tego właśnie uśmiechu.



V  
1-7 lutego

## 13

– Zatem nie ma żadnych wątpliwości? – zapytał Heinemann.

– Żadnych – odparł Münster. – Taka sama amunicja. 7,65 milimetra. Technicy zarzekali się, że broń najpewniej też była ta sama, ale potwierdzenie dostaniemy jutro rano.

– Dwa strzały w pierś, dwa w krocze – podsumował Rooth, spoglądając na zdjęcia leżące na stole. – Prawie identycznie jak z Ryszardem Malikiem, do cholery. Kopia tamtego zabójstwa.

– To jasne, że chodzi o tego samego sprawcę – powiedziała Moreno. – Przecież gazety nie wspominały o strzale w krocze.

– Racja – wymamrotał Van Veeteren. – Czasami dziennikarzy udaje się zakneblować.

Spojrzał znad kartki, którą właśnie skończył czytać. Był to wstępny raport patologa, który doręczyła im panna Katz. Wynikało z niego, że najprawdopodobniej Rickard Maasleitner zginął pomiędzy jedenastą a drugą w nocy ze środy na czwartek. Przyczyną zgonu była kula, która przebiła mięsień serca. Pozostałe strzały nie były śmiertelne, przy najmniej nie każdy z osobna, ponieważ wszystkie razem, zważywszy na upływ krwi – mogły być.

– Strzał w serce – powiedział Van Veeteren i podał raport Münsterowi, który siedział najbliżej.

– Ofiara wyszła od Freddy’ego chwilę po północy – zauważyła Moreno. – Dojście na Weijkerstraat zajmuje co najmniej kwadrans. Zatem zabójca nie mógł zaatakować przed dwunastą.

– W takim razie między dwunastą a drugą – podsumował Rooth. – Cóż, trzeba sprawdzić, czy ktoś coś widział.

– Albo słyszał – dodał Heinemann.

Rooth wetknął palec do ust, po czym wyciągnął go, wydając przy tym głuchy dźwięk.

– Słyszałeś? – zapytał. – Jeśli ktoś używa tłumika, to robi mniej więcej tyle samo hałasu. A musiał użyć tłumika, inaczej cała kamienica zerwałaby się na równe nogi.

– Dobrze. W takim razie ograniczymy się do sprawdzenia, czy ktoś coś widział – odparł Heinemann.

Van Veeteren przełamał wykałaczkę i zerknął na zegarek.

– Niedługo północ – zauważył z westchnieniem. – Chyba najlepiej będzie, jeśli pójdziemy do domów i się prześpimy, a jutro weźmiemy się do roboty. Tym razem mamy parę tropów, więc nie ma co się ociągać. Im szybciej rozwiążemy tę sprawę, tym lepiej.

Zrobił krótką pauzę, ale nikt nic nie dodał. Na twarzach kolegów Van Veeteren widział tę samą mieszankę zmęczenia i koncentracji, którą on sam miał w głowie. Przyda im się parę godzin odpoczynku, bez wątplenia. Zresztą nie ma większego sensu nachodzić ludzi w środku nocy i zadawać im pytania. Policja ma już i tak wystarczająco kiepską opinię, więc lepiej jej nie pogarszać.

– Plan na jutro jest następujący – zaczął znów komisarz. – Reinhart i deBries ciągną przesłuchania sąsiadów. Z całego kwartału, jeśli zdążą. Zresztą, na dziś jeszcze nie skończyli. No i dobrze. Może chociaż jedna osoba coś widziała, to by wystarczyło. Przecież zabójca musiał tam być dwa razy. Za pierwszym razem, żeby uszkodzić zamek, i za drugim, żeby zabić. Niewykluczone, że i tutaj przemknął niezauważony, ale zobaczymy... Heinemann. Ty zajmiesz się przeszłością ofiary. Życiorys Malika mamy już rozpracowany, sprawdź, czy ich drogi kiedyś się przecięły. Musi być między nimi jakiś związek.

– Miejmy nadzieję, że jest – odparł Heinemann.

– Münster i Rooth, wy zajmiecie się rodziną, to znaczy była rodzina. Tutaj mam listę. Moreno i Jung, wy pojedziecie do szkoły.

– Mój Boże, chodziłem do tej budy – powiedział Jung.

Van Veeteren uniósł brwi.

– Kiedy? – zapytał.

Jung zaczął liczyć.

– Osiemnaście lat temu – odparł. – Tylko jeden semestr w ostatniej klasie, bo przeprowadziliśmy się na wiosnę. Nie pamiętam prawie żadnego nauczyciela, ale Maasleitnera na pewno nie miałem.

– A to szkoda – stwierdził Van Veeteren. – I tak porozmawiaj z dyrektorem i resztą grona, tylko ostrożnie. Nauczyciele bywają przewrażliwieni na punkcie takich szkolnych wspominków. Pamiętasz chyba Bungego?

– Racja – wtrącił się Münster. – Lepiej się nie wychylaj, to moja rada.

– Będę pamiętał – odparł Jung.

– Ale możesz pominąć tego Faringera – dodał Van Veeteren. – Jego chciałbym na chwilę dostać w swoje ręce.

– Dziwny z niego typ – zauważył Münster.

– Oczywiście – wymamrotał Van Veeteren. – To przez ten zawód. Nawet ci, którzy na początku są normalni, dziwaczejają z biegiem lat.

Włożył rękę do kieszeni i rozejrzał się wokół stołu.

– Jakieś pytania?

Rooth ziewnął, ale nikt się nie odezwał.

– To by było na tyle – podsumował komisarz i zaczął zbierać swoje papiery. – Sprawozdania przedstawicie jutro na spotkaniu o trzeciej. Wykorzystajcie dobrze ten czas. Tym razem musimy go dorwać.

– Albo ją – powiedział Münster.

– Tak, tak – zgodził się Van Veeteren. – *Cherchez la femme*, jeśli chcesz.

Po powrocie do domu, kiedy już położył się do łóżka, uświadomił sobie, że zmęczenie jeszcze nie do końca pokonało stan napięcia. Przed oczami w równych odstępach przesuwały mu się zdjęcia podziurawionego kulami ciała Rickarda Maasleitnera. Starał się zasnąć, ale po dziesięciu minutach bezskutecznych prób poddał się, wstał i poszedł do kuchni. Wyciągnął piwo z lodówki, włączył Dvořáka, po czym owinięty kocem rozsiadł się w fotelu i zanurzył w ciemności. I chociaż wiedział, że będą się musieli zmierzyć z tymi dwiema zbrodniami, to zamiast zmartwienia i grozy opanowało go zupełnie inne uczucie.

Poruszenie. Instynkt myśliwski. Świadomość, że polowanie się za-

częło. Czuł, że zwierzyna kryje się gdzieś w miejskim zgiełku i że wkrótce wbije się w nią zębami. To tylko kwestia czasu. Zabójca zostanie schwytany.

Cholera, pomyślał i pociągnął tęgi łyk piwa. Chyba się zapominam. Gdybym nie był policjantem, może skończyłbym jako morderca.

Oczywiście była to tylko luźna myśl, ale jego pokrętny umysł dał mu do zrozumienia, że na rzeczy jest coś więcej, niż chciałby przyznać. Chodzi o to polowanie...

Przynajmniej na początku.

Właściwie tylko na początku. Bo potem pojawiają się różne perypetie, zwroty akcji i kiedy wreszcie – najczęściej po długim, długim czasie – dopada się wreszcie zwierzynę, czyli zbrodniarza, czuje się już tylko wstręt. A ekscytacja istnieje tylko w teorii.

I tylko na początku.

Bo kiedy człowiek nurza się w smutnej rzeczywistości, myślał dalej, kiedy sięga gruntu zbrodni, widzi jedynie ponure, czarne dno. Samo źródło. Poskręcane, toczone przez robactwo korzenie społeczeństwa.

Widzi drugą stronę.

Nie uważał bynajmniej, by właśnie to społeczeństwo miało lepszą czy też gorszą kondycję moralną niż inne. Warunki są, jakie są, i dwa lub trzy tysiąclecia kultury i systemu prawnego niczego tu nie zmienia. Cała ta politura cywilizacji w każdej chwili może zacząć pękać, obnażając skrywaną pod spodem ciemność. Niektórzy może uwierzyli, że Europa po 1945 roku zmieniła się w chroniony zakątek, ale nie Van Veeteren. No i potem wszystko potoczyło się jak zwykle. Sarajevo, Srebrenica i tak dalej, i tak dalej.

Zresztą, jego instynkt myśliwski najpewniej też miał swoje źródło właśnie w tej ukrytej warstwie ciemności. W każdym razie dla niego praca policjanta nie miała wiele wspólnego z byciem rycerzem światła. Chodziło w niej raczej o Nemezis. Nieugiętą boginię zemsty z zębami ociekającymi krwią. O tak, takie porównanie jest o wiele trafniejsze.

I zawsze w którymś momencie zabawa przeistaczała się w polowanie na serio.

W tym przypadku potrzeba było dwóch zabójstw, żeby wreszcie po-

czuć zaangażowanie. To przez otepienie? – zastanowił się. Jak w takim razie będzie za kilka lat? Czego wtedy będzie trzeba, by słynny komisarz Van Veeteren ruszył pełną parą?

Rozerwanych ciał kobiet i dzieci?

Masowych grobów?

Kiedy cynizm i zmęczenie życiem na dobre pokonają chęć walki? Jak długo jeszcze moralny imperatyw będzie na tyle mocny, by krzyknąć w mrokach jego duszy?

Dobre pytania. Poczucie pogardy wobec samego siebie nasiliło się i przerwało tok rozważań. To zapewne ta okropna styczniowa aura otepiła go na początku. Ale już był luty. Drugi dzień lutego, dokładniej rzecz biorąc. O co więc chodziło z tym Maasleitnerem?

Myślami wrócił do wydarzeń z popołudnia.

Zgłoszenie przyszło dokładnie w chwili, kiedy zbierał się do domu. Było wpół do piątej. Kwadrans później on i Münster niemal równocześnie z technikami i ekipą z pogotowia znaleźli się na Weijskerstraat. Rickard Maasleitner leżał dokładnie tak samo jak Ryszard Malik te dwa... Kiedy to właściwie było? Dwa tygodnie temu? Tak, zgadza się.

Już na pierwszy rzut oka wydawało się oczywiste, że to dzieło tego samego sprawcy. I że sposób działania był identyczny.

Dzwonek do drzwi, a kiedy tylko ofiara otworzyła, padł strzał.

Niezła metoda, jak zauważył Rooth.

Niewątpliwie. Po skończonej robocie wystarczyło tylko zamknąć drzwi i odejść. Ile czasu potrzebował zabójca? Dziesięć sekund? Chyba nie więcej. W niektórych sytuacjach wystarczy pięć sekund, żeby oddać cztery strzały z berengera.

Dopił ostatni łyk piwa.

A co było potem?

Cóż, potem ruszyła cała machina. Założyli taśmy policyjne, przeszukali teren, zajęli się nieszczęsną córką, która znalazła ciało ojca, i tak dalej.

Pytania.

Pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź i tak w nieskończoność, a przecież to dopiero początek.

Ale jeśli dokładniej się przyjrzeć całej sprawie, to ucześcić się można

tylko jednej rzeczy. Przynajmniej na razie. Otóż ryzyko towarzyszące każdej z tych zbrodni było zupełnie inne.

W przypadku zabójstwa Malika szansa na to, że ktoś zauważy sprawcę, była minimalna, ale wczoraj, u Maasleitnera, wystarczyło przecież, żeby któryś z sąsiadów wyszedł wyrzucić śmieci albo wyjrzał przez wizjer.

Wprawdzie była noc, ale mimo wszystko.

Ergo:

Może znajdzie się jakiś świadek, choć wcale nie musi.

I może ktoś, może nawet kilka osób, zwrócił uwagę na sprawcę podczas jednej z jego dwóch wizyt w domu. Kiedy to majstrował przy zamku (bo przecież chyba trzeba założyć, że to jego sprawka?) albo przy okazji zbrodni, kiedy wchodził lub wychodził.

A może stał i czekał.

Konkluzja brzmi zatem: może tak, a może nie. Jeśli Reinhart i deBries skończą robotę, jutro powinni już wiedzieć. A jeśli sąsiedzi lub też Reinhart i deBries czegoś nie dostrzegli, to i tak jest jeszcze szansa. Około dziesiątej wysłali komunikat, który miał się pojawić we wszystkich ważniejszych gazetach, ale też w porannych wiadomościach w radiu i telewizji. Każdy, komu wydawało się, że coś widział albo po prostu był w pobliżu Weijskerstraat około północy w środę, proszony był o natychmiastowy kontakt z policją.

Zatem istniała nadzieja.

W tym miejscu Van Veeteren się poddał i zapalił papierosa. Potrzebował czegoś ekstra, bo oto nadszedł czas na najważniejsze pytanie.

Dlaczego?

Dlaczego, do cholery, ktoś krąży po mieście, dzwoni do drzwi i strzela do tego, kto otwiera?

Jaki jest motyw?

Co wspólnego mieli ze sobą Ryszard Malik i Rickard Maasleitner?

I dalej: co by się stało, gdyby drzwi otworzył ktoś inny? Czy zabójca wiedział na sto procent, kto mu otworzy? Czy zbrodnie poprzedzały skrupulatne przygotowania, czy też sprawca stawiał raczej na przypadek?

Przypadki nie istnieją, mawiał Reinhart i w zasadzie miał rację.

Mimo wszystko niektóre powody różniły się niebotycznie od innych. Tak samo motywy.

Dlaczego to właśnie Malik i Maasleitner padli ofiarą zabójcy?

Dvořák ucichł i Van Veeteren poczuł, że ogarnia go zmęczenie. Dogaśił papierosa i wstał z fotela. Wyłączył odtwarzacz i poszedł do łóżka. Podświetlony na krwistoczerwono zegarek na radiu wskazywał dwadzieścia jeden po drugiej. Van Veeteren uświadomił sobie, że zostało mu niecałe pięć godzin snu.

Cóż, bywało i pewnie będzie bywać jeszcze gorzej.

Dwadzieścia minut później pod kołdrę w swoim dużym, metalowym łóżku wpełzł Reinhart. Mimo pory i tak zastanawiał się, czy nie zadzwonić do panny Lynch i nie zapytać, czy przypadkiem ma ochotę wpaść z wizytą.

Albo żeby przynajmniej zamienić parę słów, przypomnieć jej, że ją kocha. Jednak coś – podejrzewał, że dobre wychowanie i ogólna przyzwoitość – go powstrzymało. Zamiast tego przez chwilę rozmyślał, co udało im się zrobić minionego wieczoru, jak i o niskim poziomie intelektualnym innych ludzi.

O ich głupocie, jak by powiedzieli niektórzy.

O braku bystrości bez względu na sytuację. W dobrze utrzymanej kamienicy z lat trzydziestych przy Weijskerstraat, w której zamordowano Rickarda Maasleitnera, mieszkały siedemdziesiąt trzy osoby. W czasie zbrodni w tej samej klatce co ofiara znajdowało się siedemnaścioro lokatorów. W momencie, gdy zabójca oddawał strzały, co najmniej ośmioro z nich nie spało (przy założeniu, że zbrodnia nastąpiła przed pierwszą). Pięcioro przebywało nawet na tym samym piętrze. Jeden wrócił do domu za dziesięć dwunasta.

I nikt niczego nie zauważył.

Jeśli zaś chodzi o zamek w drzwiach na klatkę, okazało się, że morderca wetknął blaszkę pomiędzy zasuwę i cylinder. Trzy osoby zorientowały się, że coś jest nie tak, ale żadna z nich nie wyciągnęła wniosków.

Cholerni idioci, pomyślał Reinhart.

Jednocześnie świetnie zdawał sobie sprawę, że to nie do końca



sprawiedliwy osąd. On sam nie miał pojęcia, co wieczorami robią jego sąsiedzi. Nawet nie bardzo kojarzył ich z nazwiska. Jednak po siedmiu godzinach przesłuchiwania domniemanych świadków można chyba się było spodziewać nieco lepszych rezultatów.

Czy też raczej jakichkolwiek rezultatów.

Ale nie.

Udało im się za to ustalić dokładnie czas poszczególnych zdarzeń. Drzwi do kamienicy przy Wejskerstraat 26 zamykały się automatycznie o godzinie dwudziestej drugiej. Żeby zablokować zamek, tak jak to zrobił zabójca (czy też zabójczyni, jak to sugerowała Winnifred Lynch), musiał poczekać do tej godziny. Możliwe, że skrył się w budynku... A potem, kiedy już mechanizm zadziałał, spokojnie otworzył drzwi i wetknął do zamka blaszkę. Niewykluczone też, że sprawca schował się w krzakach przed wejściem i zakradł do budynku, kiedy któryś z lokatorów wchodził lub wychodził. No ale to byłoby dość ryzykowne, a więc mało prawdopodobne rozwiązanie, deBries i Reinhart byli co do tego zgodni.

Oczywiście nie wiedzieli, co zabójca robił później, ale kiedy około dwunastej Maasleitner wrócił do domu po popijawie z Faringerem, sprawca nie czekał zbyt długo z naciśnięciem spustu. Wszystko wskazywało na to, że Maasleitner był w domu zaledwie od paru minut, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

A potem padły cztery strzały. Dwa w pierś, dwa w krocze. Tak samo jak za pierwszym razem. Sprawca zamknął drzwi i zniknął. Żadnych świadków.

A niech to, pomyślał Reinhart i wzdrygnął się. Oto jak łatwo można kogoś zamordować.

Wyciągnął rękę, żeby zgasić światło, i w tym momencie przypomniał sobie, że jest jednak kilka wątków, których mogą się chwycić. Dwóch lokatorów z klatki było w domu w noc zabójstwa, ale akurat nie udało ich się złapać w czasie przesłuchań. Co więcej, jeden z nich, niejaki Malgre, mieszkał przez ścianę z Maasleitnerem. Z braku lepszych tropów Reinhart największe nadzieje wiązał właśnie z jutrzejszym przesłuchaniem Malgrego. Zaplanowali je na godzinę dwunastą, kiedy to Malgre zdąży już wrócić z konferencji w Aarlach. Przesłucha-

nie przypadło w udziale deBriesowi.

Skoro Malgre to typ, który jeździ po konferencjach, pomyślał Reinhart, to chyba jego poziom intelektualny jest dość wysoki. Chyba nie jest pierwszym lepszym przygłupem.

Jednocześnie w głowie zapaliła mu się lampka ostrzegająca przed tak stereotypowym myśleniem. Jednak w tym momencie zmęczenie wzięło górę. Reinhart obrócił się na bok i zasnął.

Wskazówki zegara zdążyły już dojść do trzeciej dwanaście. A jak do tej pory Reinhart nie poświęcił ani sekundy na rozważenie motywu zbrodni.

Ta kwestia musiała zaczekać do rana.

Dzisiaj pracował. Mózgu zacznie używać jutro.

Baushejm leżało o rzut beretem od osiedla, na którym mieszkał Münster, tak więc w piątkowy poranek najpierw wybrał się właśnie tam. Uznał, że jeśli nic z tego spotkania nie wyjdzie, to przynajmniej zaoszczędzi czas. Wanda Piirinen, dawniej Maasleitner, miała sporo zajęć – była sekretarką w jednej z renomowanych kancelarii adwokackich – i mimo że zabito jej byłego męża, nie miała zamiaru zwalniać się z pracy na czas dłuższy niż to konieczne. A za taki uznała pół dnia.

Dzieciom – trójce w wieku lat siedemnastu (córka, która znalazła wczoraj ciało ojca), trzynastu i dziesięciu – pozwoliła jednak na długi weekend. Kiedy więc Münster wszedł do wysprzątane go szeregowca, dzieci już nie było. Miały spędzić dwa dni z kuzynami z Dikken, dokąd zabrała je ze sobą ciotka.

– Rozwiedliśmy się osiem lat temu – wyjaśniła Wanda Piirinen. – To nie był udany związek, a stosunki między nami po rozwodzie wcale się nie poprawiły. Właściwie nie czuję żalu, choć wiem, że powinnam.

– No tak, przecież mieli państwo trójkę dzieci – powiedział Münster, myśląc o dwójce swoich pociech.

Pani Piirinen przytaknęła i dłonią wskazała mu stojący na stoliku dzbanek z kawą. Münster sobie nalał.

– Tylko z tego powodu utrzymujemy jeszcze kontakty... to znaczy utrzymywaliśmy.

Münster wypił łyk kawy i ukradkiem spojrzął znad filiżanki na panią Piirinen. Kobieta z klasą, co do tego nie było wątpliwości. Miała około czterdziestu pięciu lat, mimo pory roku była opalona i zadbana.

Ale było w niej też coś hardego, czego nie potrafiła ukryć.

A może wcale nie chce tego ukrywać, pomyślał Münster. Może lubi, kiedy inni od razu zauważają jej samodzielność i siłę.

Żeby przypadkiem mężczyznom nie przyszły do głowy zdrożne myśli i żeby nie pozwolili sobie na zbyt wiele. Pani Piirinen miała gęste, popielatoblond włosy splecione w misterny warkocz, a na twarzy – elegancki, acz dyskretny makijaż. Münster domyślał się, że poranna toaleta zajmuje jej sporo czasu. Paznokcie miała długie i zadbane i właściwie trudno było sobie wyobrazić, że ta kobieta sama zajmuje się trójką dzieci. Ale taki właśnie wygląd jest pożądany w kancelarii adwokackiej. Efektywność i umiejętność właściwego spożytkowania sił tworzyły wokół Wandy Piirinen aureę. Münster zrozumiał, że ma oto do czynienia ze zjawiskiem, które Reinhart określał jako nowoczesna kobieta.

A może postnowoczesna?

– A zatem? – zapytała. Münster zorientował się, że nieco za bardzo pograżył się w rozmyślaniach.

– Proszę go opisać.

– Rickarda?

– Tak.

Otaksowała go wzrokiem.

– Wolałabym nie.

– Dlaczego?

– Bo miałabym o nim do powiedzenia same złe rzeczy. Nie bardzo mam ochotę zdradzać moje uczucia wobec byłego męża, którego dopiero co zamordowano. Wybacz pan.

Münster pokiwał głową.

– Rozumiem. A jak wyglądały jego kontakty z dziećmi? To znaczy między nim a dziećmi?

– Źle – odpowiedziała po chwili wahania. – Z początku mieszkały u niego od czasu do czasu. Co drugi weekend, czasami w tygodniu. W końcu żyjemy w tym samym mieście. Wydawało się, że to powinno się udać, ale po roku stwierdziłam, że najlepiej będzie, jeśli zamieszkają ze mną na stałe. Potrzebowały jednego domu, nie dwóch.

– Czy mąż protestował?

– W zasadzie nie. Może trochę dla podtrzymania pozorów. Dla niego ich obecność w domu była przede wszystkim uciążliwa. On ma... to znaczy miał takie podejście do większości ludzi.

– Co ma pani na myśli?

– Przecież pan rozumie. Jeśli zapytacie jego kolegów z pracy, będziecie mieć jasność. No i jego przyjaciół, jeśli w ogóle jeszcze jakichś miał.

– Z pewnością zapytamy – przytaknął Münster.

Rozejrzał się po nowocześnie urządzonej kuchni. Trudno było dostrzec jakieś ślady tego, że przed chwilą cztery osoby jadły tu śniadanie. Ale na pewno i na poranny rozgardiasz pani Piirinen miała jakieś sposoby.

Dlaczego jestem taki agresywny? – zastanowił się z lekkim zdziwieniem. Co się ze mną dzieje?

Przecież przed wyjściem z domu zdążył kochać się z Synn, wziąć prysznic i zjeść śniadanie. Skąd więc w nim tyle złośliwości? Przecież pani Piirinen chyba nie jest aż tak groźna?

– A co pani o tym sądzi? – zapytał.

– O zabójstwie?

– Tak.

Rozparła się w krześle i wyjrzała przez okno.

– Sama nie wiem. – Po raz pierwszy w jej głosie dało się wyczuć wahanie. – Wiadomo, że wielu ludzi nie lubiło Rickarda, ale żeby go zabijać... Tego bym się nie spodziewała.

– A dlaczego go nie lubili?

Przez chwilę się zastanawiała, starając się znaleźć właściwe słowa.

– Dla niego liczył się tylko on sam – powiedziała. – Jeśli ktoś lub coś nie przypadło mu do gustu, był złośliwy. Jeśli ktoś myślał inaczej niż on – też.

– Czyli?

– Proszę?

– Jak myślał pani były mąż?

Znów się zawahała.

– Sądzę, że jego sposób myślenia wynikał z wychowania. Odkąd skończył dziesięć lat, był jedynym dzieckiem w rodzinie. Jego starszy

brat utonął w wieku czternastu lat. Od tamtej pory rodzice całą miłość przelali na Rickarda, byli przy tym zupełnie ślepi na jego wady i błędy. Tak, to stąd wszystko się wzięło.

– Dlaczego pani za niego wyszła? – zapytał Münster, zastanawiając się, czy pytanie nie zabrzmiało nazbyt impertynencko.

Jednak pani Piirinen po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Ot, kobieca słabość. On był przystojny, ja młoda.

Napiła się kawy i przez kilka sekund trzymała filiżankę w dłoni.

– Miał cechy prawdziwego mężczyzny – powiedziała po chwili. – A to robi wrażenie tylko na początku. Po czterdziestce człowiek już inaczej na to patrzy. Mam nadzieję, że pana nie uraziłam?

– Ależ skąd – odparł Münster. – Wprawdzie mam czterdzieści trzy lata, ale skupmy się na zbrodni. Zatem nie ma pani żadnych podejrzeń?

Pokręciła głową.

– On o niczym nie wspominał?

– Nie. Ale mało ze sobą rozmawialiśmy. Dzwoniliśmy do siebie może raz na tydzień. Miał swoje życie.

– A co robiła tam pani córka? To znaczy wtedy, gdy go znalazła?

– Chciała odebrać jakieś książki. Ona miała z nim najlepszy kontakt. Umieli ze sobą rozmawiać, no i jej szkoła leży zaledwie parę przecznic od Wejskerstraat. Czasami chodziła do niego się uczyć. Na przykład w trakcie okienek.

– Miała klucze?

Wanda Piirinen przytaknęła.

– Tak, niestety dla niej. Minie sporo czasu, zanim dojdzie do siebie. Straszne, że to ona musiała go znaleźć. – Zagryzła wargę. – Jeśli okaże się, że trzeba ją jeszcze przesłuchać, to mam nadzieję, że będziecie delikatni. Ostatniej nocy niewiele spała.

Münster skinął głową.

– Wczoraj rozmawialiśmy z nią dość długo. To rozsądna dziewczyna.

Nagle Wandzie Piirinen łzy stanęły w oczach. Münster poczuł, że niesprawiedliwie ją osądził. Zrozumiał też, że czas się zbierać.

– Jeszcze tylko jedno – powiedział. – Ryszard Malik, zna pani to na-

zwisko?

– To jego zastrzelono poprzednio?

– Tak.

Pokręciła głową.

– Nie. Zapewniam pana, że nigdy wcześniej o nim nie słyszałam.

– Dobrze, w takim razie bardzo pani dziękuję. – Münster wstał. – Mam nadzieję, że odezwie się pani do nas, jeśli przypomni sobie pani coś, co może mieć dla nas znaczenie.

– Oczywiście.

Odprowdziła go do wyjścia. Z jakiegoś powodu stała w progu, dopóki nie wsiadł do samochodu. Kiedy włączył silnik, uniosła rękę w niepewnym geście pożegnania, po czym zniknęła we wnętrzu domu.

No i tak, pomyślał Münster. Kolejny raz wszedłem z butami w czyjeś życie. Nagle, kiedy wykręcał na pustej ulicy, poczuł, jak mroczne przygnębienie wbija w niego swoje szpony.

– Cholera – wymamrotał. – To chyba przez tę porę roku.

– Mieli go wylać! – powiedział Jung. – Właśnie miał dostać wypowiedzenie. Wyobrażasz sobie? Do licha, a myślałem, że nauczycieli nigdy nie wylewają.

Wracali właśnie na komendę. Wizyta w szkole zajęła im ponad trzy godziny, ale przyniosła nie najgorsze wyniki. Po krótkiej rozmowie wstępnej z dyrektorem Greitzenem resztę czasu spędzili z gronem pedagogicznym, trzema kobietami i trzema mężczyznami, dzięki czemu wizerunek Rickarda Maasleitnera zaczął bez wątpienia nabierać ostrzej zarysowanych konturów.

Tak jak Jung się domyślał, Maasleitner był jednym z tych nauczycieli, którzy powinni byli wybrać inny zawód. Taki, w którym nie mieliby możliwości wykorzystywania swojej władzy. Wykorzystywania i nadużywania.

Incydenty z grudnia nie były wcale nowością. Wręcz przeciwnie. Trwająca już ćwierć wieku kariera nauczycielska Maasleitnera przepleciona była podobnymi wstawkami. Źle pojęty duch solidarności zawodowej oraz interwencje dyrektora i innych pozwoliły mu zachować

posadę, ale nie dało się zaprzeczyć, że wiele osób miało już Maasleitnera dość. Może nawet wszyscy.

– Są dwa typy nauczycieli – wyjaśnił im dyrektor. Wyglądał na zmęczonego życiem i odpalał jednego papierosa od drugiego. – Tacy, którzy rozwiązują konflikty, i tacy, którzy je wywołują. Niestety Maasleitner należał do tych drugich.

– Należał? – zapytała z lekką ironią jedna z nauczycielek. – On był ich niekoronowanym przywódcą. Nie potrafił przejść przez szkolne podwórko, żeby się z kimś nie pokłócić, choćby to był tylko maszt na flagę.

Moreno zastanawiała się, czy Maasleitner faktycznie nie miał żadnego poparcia wśród kolegów. Ciekawiło ją też, jak potoczyłaby się sprawa jego zwolnienia, gdyby los w pewnym sensie sam jej nie rozwiązał. Oczywiście całe grono dyskutowało o problemie, w końcu ich zadaniem było zajmowanie się właśnie takimi delikatnymi kwestiami jak wyczyny Maasleitnera. Wszyscy byli zaskakująco zgodni co do tego, że należało pozwolić sprawom toczyć się dalej. Uważali, że Maasleitner sam, tak jak uzna to za słuszne, powinien się wykaraskać z tego galimatiasu, którego narobił.

Ich jednomyślność dość dobitnie świadczyła o całej sytuacji i o Maasleitnerze.

– Ale musiał chyba mieć jakichś sprzymierzeńców? – dopytywał Jung.

Nie padło jednak ani jedno nazwisko. Może w ten sposób chcieli okazać, jak są zwarci, pomyślał potem Jung. To chyba całkiem naturalne, choć trochę dziwne. Przecież Maasleitnera zamordowano. A o zmarłych lepiej dobrze niż wcale i tym podobne... W tym przypadku było jakby na odwrót.

Przykra sprawa, stwierdził. Skoro ludzie, z którymi Maasleitner pracował na co dzień – z niektórymi już od ponad dwóch dekad – po jego śmierci potrafią rzucać pod jego adresem tylko obelgi, oznacza to, że, delikatnie mówiąc, facet nie był najpopularniejszy.

Porozmawiali też z kilkorgiem uczniów. Dokładnie z sześciorgiem, z każdym osobno. Wśród młodszych respekt wobec śmierci był nieco bardziej zauważalny. Oczywiście Maasleitner był dla nich utrapie-



niem, ale żeby tak wziąć i go zastrzelić, to już przesada. Jak to wyraził jeden z nastolatków: wywalić go z roboty – o tak! Zabić – w żadnym razie. Kilka dziewczyn starało się nawet znaleźć jakieś pozytywne, godne podziwu cechy ofiary. Dało się jednak wyczuć, że to wymuszone pochwały.

Zdolny, czasami dość sprawiedliwy, nikogo nie faworyzował – to była chyba jego lepsza strona (najwidoczniej o wszystkich miał równie złe zdanie, dodał Jung w myślach).

Na koniec wrócili do dyrektora Greitzena, który zaprosił ich na kawę i zapytał, czy nie potrzebują jakichś dodatkowych wyjaśnień. Bo jeśli tak, to może najlepiej będzie to załatwić po lekcjach.

W tym momencie ani Moreno, ani Jung nie mieli już za bardzo o co pytać. Nurtowały ich tylko podstawowe wątpliwości, czyli kto i dlaczego. Jednak w odpowiedzi dyrektor pokręcił głową.

– Czy domyślam się, kto chciał go usunąć? Cóż, nie sądzę, żeby chodziło o jakiegoś młodocianego zabójcę. Nasi najstarsi uczniowie mają po szesnaście lat. A co do personelu, trudno mi wyobrazić sobie, żeby ktoś... Nie, to wykluczone. Nie był lubiany, ale to wykluczone.

– I co sądzisz? – zapytała Moreno, kiedy stali na czerwonym świetle.

– Cóż, nie chciałbym być dyrektorem, który będzie musiał wygłosić parę słów nad trumną.

– W kościele nie powinno się kłamać.

– No właśnie.

– No i Malik ze szkołą nie miał żadnego związku. Chyba możemy ich zostawić w spokoju, niech się dalej uczą.

Jung przez chwilę milczał.

– Może skoczmy gdzieś na lunch? – zapytał, kiedy pojawił się przed nimi budynek komendy. – W końcu do zebrania zostały jeszcze dwie godziny.

Ewa Moreno zawahała się.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Przynajmniej nie będziemy wchodzić innym w drogę.

DeBries włączył dyktafon, jeszcze zanim Alwin Malgre zdążył na do-

bre się usadowić na krześle.

deB: Dzień dobry, panie Malgre. Chciałbym panu zadać kilka pytań dotyczących środowej nocy.

M: Domyślam się.

deB: Zatem nazywa się pan Alwin Malgre i mieszka pan przy Weijskerstraat 26B?

M: Tak.

deB: Czy byłby pan tak miły, żeby mówić nieco głośniej?

M: A dlaczego?

deB: Ponieważ nagrywam rozmowę na dyktafon.

M: No proszę.

deB: Jak pan wie, w środę około jedenastej, dwunastej w nocy w kamienicy doszło do zabójstwa.

M: No tak, u Maasleitnera. Straszna sprawa.

deB: Mieszkał pan z nim przez ścianę. Mógłby pan zatem opowiedzieć, co robił pan przedwczoraj?

M: Oczywiście. Byłem w domu i czytałem.

deB: Mieszka pan sam?

M: Tak.

deB: I nikogo wtedy u pana nie było?

M: Nie.

deB: Proszę mówić dalej.

M: Cały wieczór czytałem. To znaczy przygotowywałem się. Miałem przecież jechać na to seminarium, bo okazało się, że Van Dock nie może.

deB: Kim jest Van Dock?

M: To mój szef.

deB: A czym się pan zajmuje? I co to była za konferencja? Bo wczoraj był pan na konferencji, tak?

M: Tak, w Aarlach. Pracuję w Centrum Filatelistycznym. Van Dock jest moim szefem. W zasadzie pracujemy tam tylko my. Jestem jego asystentem.

deB: Sprzedajecie znaczki?

M: I skupujemy. Interesuje się pan filatelistyką, panie... panie...?

deB: DeBries. Nie. I co to była za konferencja?

M: To raczej seminarium. Połączone z aukcją. Omawialiśmy sytuację na rynku filatelistycznym po upadku Związku Radzieckiego. Tym razem zajmowaliśmy się przede wszystkim znaczkami drukowanymi w krajach bałtyckich. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, jaki chaos pojawił się w filatelistyce po ustanowieniu nowych państw... A z drugiej strony to prawdziwa kopalnia złota. Zależy, czy ktoś jest spekulantem, czy nie.

deB: No tak. Może porozmawiamy o tym przy innej okazji. Zatem środa w nocy...

M: Cóż, nie wiem, co powiedzieć. Przyszedłem do domu około wpół do siódmej. Zjadłem kolację i zacząłem czytać. Około wpół do dziesiątej wypilem herbatę, obejrzałem wiadomości. No i siedziałem tak gdzieś do wpół do dwunastej.

deB: Zasnął pan o wpół do dwunastej?

M: Nie, czytałem do za kwadrans pierwsza, tak mi się wydaje. To znaczy czytałem w łóżku. Tamtego popołudnia Van Dock zdobył dwie nowe książki, a ja nie chciałem jechać do Aarlach nieprzygotowany. Miałem wprowadzić chwilę w pociągu, ale mimo wszystko...

deB: Czy coś przykuło pana uwagę?

M: Proszę?

deB: Czy tamtego wieczora zauważył pan coś niezwykłego?

M: Nie.

deB: Niczego pan nie słyszał koło północy?

M: Nie... Wtedy już leżałem w łóżku. A sypialnia jest od strony podwórka.

deB: Więc nie słyszał pan, kiedy Maasleitner wrócił do domu?

M: Nie.

deB: I niczego pan nie słyszał o tej porze?

M: Nie.

deB: A czy normalnie z mieszkania Maasleitnera słychać jakieś dźwięki?

M: Nie. Ściany mają dobrą izolację.

deB: Na to wygląda. Czy znał pan bliżej swojego sąsiada?

M: Maasleitnera?

deB: Tak.

M: Nie, wcale. Mówiliśmy sobie tylko dzień dobry, jeśli akurat spotkaliśmy się na schodach.

deB: Rozumiem. A czy słyszał pan lub widział cokolwiek innego, co według pana może mieć związek z zabójstwem?

M: Nie.

deB: Więc nie zauważył pan niczego, o czym powinniśmy wiedzieć?

M: A cóż by to mogło być?

deB: Cokolwiek. Czy na przykład ostatnio nie wydarzyło się nic niezwykłego?

M: Nie, nie przypominam sobie niczego takiego.

deB: Nie wie pan, czy Maasleitnera ktoś odwiedzał w ostatnich dniach?

M: Nie mam pojęcia. Lepiej zapytajcie innych sąsiadów. Ja raczej nie jestem spostrzegawczy.

deB: W zasadzie nie możemy od pana tego wymagać. Dziękuję, panie Malgre. Jeśli coś pan sobie przypomni, prosimy niezwłocznie się z nami skontaktować.

M: Oczywiście. Dziękuję. To była bardzo ciekawa rozmowa.

I niesamowicie owocna, stwierdził deBries, kiedy już Malgre znalazł się za drzwiami. Zapalił papierosa, stanął przy oknie i wyjrzał na miasto.

Trzysta tysięcy ludzi, pomyślał. A jednak wygląda na to, że oddzielają ich wysokie mury. Kiedy do jednego ktoś strzela, jego sąsiad leży sobie dziesięć metrów dalej i czyta o estońskich znaczkach.

Chociaż chyba właśnie na tym ma polegać prywatność.

Van Veeteren już po minucie wiedział, że lunch połączony z rekonstrukcją zdarzeń nie był najlepszym pomysłem. Kiedy wszedł przez wysokie drzwi do pubu u Freddy'ego, Enso Faringer już siedział przy właściwym stoliku, a jego zdenerwowanie emanowało na cały lokal.

Van Veeteren usiadł i zaproponował mu papierosa. Faringer wyciągnął jednego z paczki, po czym upuścił go na podłogę.

– No dobrze – zaczął komisarz. – Skoro już tu jesteśmy, możemy coś zjeść.

– Ja dziękuję.

– To tutaj spędziliście środowy wieczór?

Faringer skinął głową i poprawił okulary, które co rusz zsuwały się po jego wąskim nosie.

– Uczy pan niemieckiego?

– Tak. Ktoś przecież musi to robić.

Van Veeteren nie był pewien, czy to żart.

– Dobrze znał pan Maasleitnera?

– Nie... raczej nie.

– Ale spotykaliście się?

– Sporadycznie. Od czasu do czasu szliśmy na piwo.

– Tak jak w środę?

– Tak, tak jak w środę.

Van Veeteren na chwilę zamilkł, żeby Faringer mógł coś powiedzieć sam z siebie, ale nic z tego. Oczy za grubymi szklami zwracały się to w tę, to w drugą stronę. Faringer wiercił się i poprawiał węzeł krawata.

– Dlaczego się pan tak denerwuje?

– Denerwuję się?

– Mam wrażenie, że pan się czegoś boi.

Faringer krótko się zaśmiał.

– Ależ skąd, zawsze się tak zachowuję.

Van Veeteren westchnął. Kelner przyniósł im menu, chwilę zajęło im podjęcie decyzji. W końcu wybrali danie dnia.

– O czym rozmawialiście w środę?

– Nie pamiętam.

– Jak to?

– Nie przypominam sobie. Trochę za dużo wypiliśmy, a mnie zdarzają się czasami luki w pamięci.

– Ale coś chyba pan pamięta?

– Tak, kojarzę, że Maasleitner pytał mnie o sytuację w szkole. Był przecież w tarapatach. Prosił mnie o pomoc.

– Jak to?

Faringer podrapał się w szyję, na której miał jakieś uczulenie.

– No nie wiem. Chyba chciał, żebym miał oczy szeroko otwarte.

- Nie chciał, żeby pan zainterweniował?
- Nie. Niby jak miałbym zainterweniować?

Faktycznie, to nie wchodziło w grę, pomyślał Van Veeteren. Enso Faringer nie był typem człowieka, który mógłby interweniować.

Lunch trwał czterdzieści pięć minut, mimo że Van Veeteren skusił się też na kawę i deser. Kiedy już ponownie wsiadał do samochodu, był pewien jednego. Faringer mówił prawdę. Ten chuderławy nauczyciel niemieckiego najzwyczajniej w świecie nie pamiętał, o jakich to ważkich kwestiach dyskutowali z Maasleitnerem w noc zabójstwa. Van Veeteren porozmawiał też z personelem pubu. Nikt nie widział nic niezwykłego w tym, że „chudy Niemiec” miał lukę w pamięci. Wręcz przeciwnie.

To był po prostu jeden z takich wieczorów.

I to tyle, pomyślał Van Veeteren. W głębi ducha dziękował za to opatrności, bo wysłuchanie sprawozdania Enso Faringera z całej popijawy z pewnością nie byłoby przyjemnym przeżyciem.

W połowie drogi do komendy myśli zaprzątnęło mu coś innego. Znow się rozpadało i Van Veeteren zrozumiał, że jeśli wreszcie nie wymieni tej przeklętej wycieraczki, to się w końcu doigra.

Jednocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że jak tylko naprawi jedną rzecz, zaraz zepsuje się coś innego.

Bo tak to już jest.

Podobnie zresztą jak w życiu.

– Dlaczego to Heinemannowi kazałeś badać przeszłość ofiary? – zapytał Reinhart. – Przecież jemu załatwienie się zajmuje tydzień.

– Możliwe – odparł Van Veeteren. – Ale przynajmniej jest dokładny. Zaczniemy bez niego. Nalej kawę, panna Katz obiecała, że coś nam przyniesie.

– Cudownie.

– Najpierw nauki ścisłe – ciągnął komisarz i puścił w obieg kserówkę. – Ośmielę się stwierdzić, że nie mamy żadnych sensacyjnych wieści.

Wszyscy siedmioro przeczytali po kolei krótkie raporty od patologa i od techników (wszyscy z wyjątkiem Van Veeterena, który zrobił to już wcześniej, i Reinharta, który w tym czasie nabijał sobie fajkę), po czym stwierdzili, że istotnie nie zawierają one niczego nowego. Potwierdzały tylko to, co już wiedzieli: przyczynę i czas zgonu (co do czasu, sprecyzowano go do przedziału między dwudziestą trzecią czterdzieści pięć a pierwszą piętnaście) oraz broń (berenger kaliber 7,65, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach ten sam, którego użyto do zabójstwa Ryszarda Malika). Nie natrafiono na żadne odciski palców ani żadne niezwykle ślady. Blaszka, którą zablokowano zamek, była wykonana z nierdzewnej stali, którą znaleźć można wszędzie, w związku z czym nie dało się zbadać jej pochodzenia.

– No dobra – powiedział Van Veeteren. – Nagrywamy. Hiller będzie miał czego słuchać do poduszki w weekend.

Włączył dyktafon.

– Zebranie w sprawie zabójstwa Rickarda Maasleitnera, piątek, dru-

gi lutego, godzina piętnasta piętnaście. Obecni: Van Veeteren, Münster, Rooth, Reinhart, Moreno, deBries i Jung. Reinhart i deBries, zaczynacie.

– Pas – powiedział Reinhart.

– Niczego nie znaleźliśmy – sprecyzował deBries. – Przesłuchaliśmy siedemdziesiąt osób spod dwudziestki szóstki i z kamienicy naprzeciwko. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Lampa nad wejściem do klatki 26B była zepsuta, więc i tak na portret pamięciowy nie było co liczyć.

– Ją też uszkodził? – zapytała Moreno.

– Raczej nie, ale nie wiadomo. Była zepsuta od sześciu dni.

– To wszystko? – zapytał Van Veeteren.

– Nie – odparł Reinhart. – Jeśli potrzebujecie zabójczo nudnej lektury na weekend, to protokoły z przesłuchań są do waszej dyspozycji.

– Wspaniale – odpowiedział Van Veeteren. – Świetna robota.

– Dziękuję – odparł deBries.

Reszta spotkania przebiegła w podobnej atmosferze. Odczytano kilka sprawozdań jednogłośnie opisujących charakter ofiary, wyrażających powszechną opinię na jej temat. Wynikało z nich jasno, że Rickard Maasleitner był łajdakiem, narwańcem i samolubnym przemądrzałem najgorszego sortu. Mimo to trudno było znaleźć kogoś, kto miałby bezpośredni powód, żeby go zabić. Nikt nic nie wiedział o żadnym romansie, najprawdopodobniej Maasleitner w ogóle nie był z nikim, odkąd się rozwiódł osiem lat temu. Niewykluczone, że czasami korzystał z usług prostytutek, ale to stanowiło tylko przypuszczenie, którego nie dało się ani potwierdzić, ani mu zaprzeczyć. Długów nie miał. Wierzyicielem też nie był. Żadnych podejrzanych interesów.

I nikt nie przestawał z nim blisko.

Jego była żona nie miała o nim do powiedzenia niczego dobrego, inni też nie. Dzieci, rzecz jasna, były nieco zszokowane, ale – jak orzekli zarówno profesjonaliści, jak i amatorzy – na pewno skutecznie poradzą sobie z ewentualnym zalem.

Rodzice Rickarda Maasleitnera nie żyli. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można było stwierdzić, że jedyną wspierającą go osobą była



zmarła trzy lata wcześniej matka.

– Co za dupek! – podsumował Reinhart rys charakterologiczny ofiary. – Aż chciałoby się go spotkać.

Van Veeteren wyłączył dyktafon.

– To dobre na zakończenie – wyjaśnił.

– Czy na pewno nie da się sprawdzić, skąd pochodzi broń? – zapytał Jung.

Van Veeteren pokręcił głową.

– DeBries, opowiedz, jak zdobywa się broń. Badałeś to przecież.

– Z przyjemnością – odparł deBries. – To dość proste. Nawiązujesz kontakt z kimś, po kim widać, że jest w konflikcie z Temidą. Na przykład z jakimś oberwańcem z Dworca Centralnego albo z placu Grote. Mówisz, że potrzebujesz broni. Typ prosi, żebyś zaczekał, a po kwadransie przychodzi z kopertą. Dajesz mu stówkę za fatygę, wracasz do domu i zaglądasz do koperty. Tam masz spisane instrukcje. Musisz wysłać pieniądze na poste restante, powiedzmy, że jakieś tysiąc guldów. Na przykład na nazwisko Müller, poczta główna w Maardam. Wysyłasz, a po tygodniu dostajesz kopertę z kluczem do schowka bagażowego na dworcu. Jedziesz, otwierasz schowek i wyciągasz walizkę z bronią.

– A potem wystarczy już tylko zebrać się w sobie i kogoś zabić – dodał Van Veeteren.

– Niezła metoda – zauważył Rooth.

– Łatwizna – stwierdził Reinhart. – Chociaż i tak Stauff i Petersén muszą to sprawdzić na wszelki wypadek.

Van Veeteren pokiwał głową. Sięgnął przez stół po papierosa z paczki deBriesa.

– To co teraz robimy? – zapytał Münster.

– Jung – odparł komisarz, kiedy już mu podpalili papierosa. – Mógłbyś się przejść i poszukać Heinemanna. Szkoda, gdyby dziś ani jeden koń nie miał przebiec mety.

– Oczywiście – odparł Jung i wstał. – A gdzie może być?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Pewnie gdzieś w budynku – odparł. – Jeśli będziesz miał szczęście, znajdziesz go w jego pokoju.

Dziesięć minut później Jung powrócił z Heinemannem.

– Przepraszam – powiedział Heinemann i usiadł na wolnym krześle.

– Trochę mi zeszło.

– No co ty? – odparł Reinhart.

Heinemann położył na stole dużą kopertę.

– Co tam masz? – zapytał Münster.

– Związek – odpowiedział Heinemann.

– Jak to? – nie zrozumiał Roth.

– Przecież miałem znaleźć związek, nie?

– A i owszem – wtrącił deBries.

Heinemann otworzył kopertę i wyciągnął powiększone zdjęcie. Podał je Van Veeterenowi.

Przez kilka sekund komisarz przyglądał mu się ze zdziwieniem.

– Wyjaśnij – powiedział w końcu.

– Oczywiście – odparł Heinemann i zdjął okulary. – To zdjęcie jednego z roczników sztabowej szkoły podoficerskiej. Rok 1965. Trzeci mężczyzna z lewej w pierwszym rzędzie to Ryszard Malik. A pierwszy z prawej w środkowym to Rickard Maasleitner.

W pokoju zapadło milczenie. Van Veeteren puścił w obieg zdjęcie przedstawiające trzydziestu pięciu wyprostowanych młodych mężczyzn w zielonoszarych mundurach. Wszyscy mieli szczery wyraz twarzy.

– Rok 1965, mówisz? – zapytał Münster, kiedy już zdjęcie okrążyło pokój.

– Dokładnie – odpowiedział Heinemann. – Zaczęli w kwietniu 1964 roku. Do cywila wrócili ostatniego maja 1965. Tyle znalazłem. No i jeszcze to, że obaj mieli takie same inicjały, ale to już pewnie zauważyliście.

– Że co? – nie załapał Roth. – A niech to...

– R.M. – powiedział Reinhart. – No tak, ale to pewnie bez znaczenia.

– Masz nazwiska ich wszystkich? – zapytał Van Veeteren.

Heinemann zaczął przeszukiwać kopertę i wyciągnął z niej jakąś kartkę.

– Na razie mam tylko nazwiska i daty urodzenia, ale Krause i Wil-

lock nad tym pracują. To zajmie trochę czasu, rozumiecie chyba.

– Najważniejsza jest dokładność – wtrącił Reinhart.

Znów zapadła cisza. Münster wstał i podszedł do okna, odwracając się plecami do innych. Van Veeteren rozparł się w krzesło i wciągnął policzki. Moreno kolejny raz wpatrzyła się w zdjęcie.

– Cóż – powiedział po chwili deBries. – Warto się nad tym zastanowić.

– Możliwe – odparł Van Veeteren. – Robimy przerwę, muszę chwilę pomyśleć. Wróćcie za pół godziny, zdecydujemy, co dalej. DeBries, zostawisz mi papierosa?

– Gdzie właściwie jest ta szkoła podoficerska? – zapytała Moreno, kiedy już zebrali się na nowo.

– Teraz w Schaabe – odparł Heinemann. – Przenieśli ją z Maardam na początku lat siedemdziesiątych. Mieściła się na Löhr.

– I nie znalazłeś żadnych innych punktów wspólnych? – zapytał Münster.

– Nie, jak dotąd nie. Ale wydaje mi się, że ten wątek to jest to. Jeśli są inne, to pewnie z odleglejszej przeszłości.

– To co robimy? – zapytał Rooth.

Van Veeteren podniósł wzrok znad listy nazwisk.

– Robimy tak – powiedział i szybko policzył wszystkich zgromadzonych. – Jest nas ośmioro. Każde weźmie po cztery nazwiska i zajmie się nimi przez weekend. Przynajmniej dwóch z czterech powinno dać się znaleźć. Trzeba będzie zapytać Krausego i Willocka o adresy. I to od nich dostaniecie nazwiska. Na poniedziałek rano chcę mieć dokładne raporty, a jeśli traficie na coś wcześniej, dajcie znać.

– Niezły plan – zauważył Reinhart.

– Z ust mi to wyjąłeś – dodał Rooth. – Kiedy Krause i Willock skończą?

– Będą pracować cały wieczór – odparł Van Veeteren. – Wezwaliśmy też Joensuu i Klempje. Możecie wrócić do domu, późnym wieczorem albo jutro rano zadzwońcie po nazwiska. Jakies pytania?

– Chyba zapomniałeś o jednym – odezwał się Reinhart.

– No tak. – Van Veeteren postukał palcem w zdjęcie. – Tylko bądź-

cie ostrożni. Niewykluczone, że to któregoś z nich szukamy. Nie zapominajcie o tym!

– Powiadomimy opinię publiczną? – zapytał Münster.

Van Veeteren zastanawiał się przez trzy sekundy.

– Myślę, że musimy się z tym wstrzymać – powiedział. – Pamiętajcie o tym, zadając pytania. Nie zdradzajcie więcej niż trzeba. Hiller raczej by się nie ucieszył, gdyby nagle trzydzieści trzy osoby zgłosiły się z prośbą o ochronę policyjną.

– Chciałbym zobaczyć jego minę – wtrącił Reinhart.

– Ja też – odparł Van Veeteren.

Rosyjska ruletka? – zastanawiał się Münster, kiedy godzinę później siedział z dziećmi na kolanach i oglądał bajki. Dlaczego wciąż przychodzi mi na myśl rosyjska ruletka?

Może to przypadek, pomyślał Van Veeteren, kiedy już ułożył się w kąpiele. Na sedesie ustawił świeczkę, a w wygodnej odległości od wanny piwo. Czysty przypadek, choć oczywiście Reinhart zaraz by zaprotestował. Możliwe, że chcąc nie chcąc, dwóch ludzi z jednego miasta prędzej czy później musi się znaleźć na jednym zdjęciu.

Chyba nie ma w tym nic nadzwyczajnego?

Chociaż cholera wie, pomyślał Van Veeteren. Jeszcze się okaże.

Sobota trzeciego lutego powitała go południowo-zachodnim wiatrem oraz zdradziecko bezchmurnym niebem. Van Veeteren już wcześniej postanowił wybrać się na pogrzeb Ryszarda Malika i kiedy około dziewiątej stanął w drzwiach balkonowych, żeby sprawdzić pogodę, zrozumiał, że natura jest po jego stronie.

Jednocześnie starał się zrozumieć, co skłoniło go do podjęcia takiej decyzji. Dlaczego uznał za konieczne wybrać się na ceremonię na cmentarzu Östra? Z przerażeniem stwierdził, że to przez stare filmy. Dokładniej rzecz biorąc, przez początkową scenę, w której to grupka ubranych na czarno postaci gromadzi się nad trumną, którą pracownicy pogrzebowi powoli spuszczają do grobu. A gdzieś na uboczu dwóch śledczych w przyciasnych trenczowych płaszczach przygląda się żałobnikom. Stawiają kołnierze i zaczynają szeptem rozmawiać o zgromadzonych. Kim jest ta odwrócona bokiem kobieta w woalce, dlaczego wdowa nie płacze i kto z nich wymierzył pocisk w głowę bogatego jak cholera lorda Ffolliot-Pyma.

Też sobie znalazłem powód, pomyślał Van Veeteren, zamykając drzwi balkonowe. Czysta perwersja! Chociaż, czego to ludzie nie robią.

Jednak potencjalnych zabójców na wietrznym cmentarzu nie zgromadziło się zbyt wielu. Najdziwniej ze wszystkich zachowywał się okazałych rozmiarów mężczyzna ubrany w zielony płaszcz i czerwone kalosze, ale akurat on znalazł się tam z polecenia komisarza.

Konstabl Klaarentoft miał opinię najlepszego fotografa w policji.

Tym razem jego zadanie polegało na zrobieniu tylu zdjęć, ile tylko zdoła. Taki trik Van Veeteren zaczerpnął z jeszcze innego filmu, dokładniej mówiąc z *Powiększenia* z połowy lat sześćdziesiątych. Chyba Antonioniego. Oczywiście chodziło o to, żeby wśród wszystkich twarzy, które powoli wyłonią się na odbitkach w policyjnej ciemni, znalazło się także oblicze zabójcy.

Zabójcy Ryszarda Malika i Rickarda Maasleitnera.

Fabula była kiepska i pogmatwana, ale Van Veeteren oglądał film trzy razy, po to tylko, żeby zobaczyć scenę, w której twarz zabójcy wyłania się na tle bujnej zieleni jakiegoś angielskiego parku.

To z pewnością też swego rodzaju perwersja, ale Klaarentoft raczej nie widział filmu. Ganiał między grobami i robił zdjęcia z potrzeby serca, ignorując zupełnie polecenie Van Veeterena, który kazał mu nie zwracać na siebie uwagi.

Do tego udało mu się zrobić ponad dwanaście zdjęć pastora odprawiającego pogrzeb, tak więc chyba nie do końca zrozumiał ideę całego przedsięwzięcia.

Z drugiej strony orszak towarzyszący Ryszardowi Malikowi w ostatniej drodze był dość skromny, tak więc Klaarentoftowi brakowało obiektów. Van Veeteren naliczył czternaście osób, łącznie z nim i Klaarentoftem, a w trakcie ceremonii udało mu się zidentyfikować wszystkich z wyjątkiem dwójki dzieci.

Nie zauważył też żadnych czających się z boku obserwatorów (kilka osób odwiedzających inne groby przechadzało się po rozległym cmentarzu, ale nikt nie zachowywał się dziwnie i nie wzbudził jego najmniejszych podejrzeń). Kiedy się rozpadało i kiedy udało mu się dyskretnie dać znać Klaarentoftowi, żeby fotografował coś innego, uświadomił sobie, że nie jest już tam potrzebny.

Kiedy godzinę później barman postawił przed nim grzane wino, Van Veeteren zrozumiał, że przeziębienie, z którym jak dotąd skutecznie udawało mu się walczyć, na nowo chwyciło wiatr w żagle.

Następny pogrzeb będzie mój, stwierdził.

– Przecież dziś sobota. Musisz się tym dziś zajmować? – zapytał.

– Muszę to zrobić dziś albo jutro. Chyba lepiej, jeśli skończę jak

najszybciej, prawda?

– No tak – przytaknął i odwrócił się na drugi bok. – Widzimy się wieczorem.

Taka wymiana zdań nie była niczym nadzwyczajnym ani niespodziewanym. Kiedy jechała autobusem, jego słowa nie dawały jej spokoju niczym zły omen. Była z Clausem Badherem od piętnastu miesięcy... a może szesnastu. Zależy, jak liczyć. Może to najlepszy związek, w jakim kiedykolwiek była. Tak, bez wątpienia. Kochali się i szanowali, dzielali wartości, zainteresowania i całą resztę.

Spokój połączony z radością. Po prostu szczęście. Wszyscy ich znajomi twierdzili, że powinni zrobić kolejny krok. Zamieszkać razem i tak dalej, i tak dalej. Claus też tak sądził.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to lekkie poczucie irytacji. To ziarenko, które wzbudzało w niej strach. Które mogło się wziąć z pogardy i które w związku z tym musiało wyrosnąć. Pogardy dla jej pracy. Oczywiście Claus był na tyle ostrożny, żeby nie okazywać tego wprost. Może sam jeszcze nie był tego świadomy, jednak ona czasami nie mogła tego nie zauważyć. To poczucie wpływało na powierzchnię, po czym znów znikalo, ale ona wiedziała, że tam jest. Pojawiało się choćby podczas takich właśnie rozmów. Do tej pory nie miały one większego znaczenia, ale czuła, że z biegiem lat staną się coraz bardziej złowrogie.

Że staną się zagrożeniem dla równości między nimi i dla jej życia.

Claus Badher pracował w dziale walutowym banku, niedługo czekał go awans. Ona pracowała w wydziale śledczym i sama nie wiedziała, co ją czeka.

Westchnęła. Na razie czekała ją rozmowa w willi w Dikken, gdzie miała spotkać pięćdziesięciodwuletniego prawnika i zapytać go, co robił w woju.

Brzmi absurdalnie? Bo to jest absurd. Czasami jej samej się wydawało, że Claus ma rację. O ile oczywiście on tak właśnie myślał.

Wysiadła z autobusu i przeszła do położonej sto metrów dalej willi. Otworzyła furtkę. Dwa małe boksery powitały ją wściekłym szczekaniem i machaniem ogonów. Zatrzymała się na żwirowej ścieżce, żeby je pogłaskać. Spojrzała na duży, dwupiętrowy dom z ciemnej cegły,

z zielonymi okiennicami. Za rogiem widać było basen i siatkę, jak się domyślała, tenisową.

Proszę, proszę, pomyślała. Gdybym nie miała wyjścia, to może jakoś bym wytrzymała w takim domu.

– Ewa Moreno. Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałam tylko zadać kilka pytań.

– Ależ nic nie szkodzi. Jestem do dyspozycji.

Jan Tomaszewski miał na sobie coś, co wyglądało na tużurek. W ogóle sprawiał wrażenie, jakby był z innej epoki. Albo z jakiegoś filmu. Ciemne, napomadowane włosy równiutko zaczesane do tyłu, smukła sylwetka... było w nim coś niezaprzeczalnie arystokratycznego. Kogoś przypomina. Lesliego Howarda? – przyszło jej do głowy. Tomaszewski pochylił się nad szklanym stolikiem w kolorze dymu i nalał jej herbaty z misternie zdobionego srebrnego dzbanka.

Inny świat, pomyślała. Chyba lepiej, żebym zaczęła, zanim zemdleję z wrażenia.

– Dziękuję. Jak mówiłam, chodzi o szkołę podoficerską w Löhr. Jak rozumiem, uczęszczał pan do niej w latach 1964–1965?

Tomaszewski przytaknął.

– Zgadza się. A jak to się stało, że policja się tym interesuje?

– Niestety nie mogę udzielić panu wyjaśnień w tej sprawie. I jeśli chodzi o naszą rozmowę, to prosiłabym pana o dyskrecję. Może później, jeśli będzie pan chciał wiedzieć więcej, będziemy mogli do tego wrócić.

Wcześniej obmyśliła sobie tę kwestię. Okazało się, że zadziałało.

– Rozumiem.

– Interesują nas przede wszystkim dwaj pana koledzy ze szkoły. Ryszard Malik i Rickard Maasleitner.

Wyciągnęła z teczki zdjęcie i podała je Tomaszewskiemu.

– Może ich pan wskazać?

Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni po okulary. Przez pół minuty wpatrywał się w zdjęcie.

– Maasleitnera poznaję – powiedział. – Prawie przez cały ten czas mieszkaliśmy razem w koszarach, na jednej sali. Ale Malika nie je-



stem pewien, chociaż wydaje mi się, że to on.

Wskazał na zdjęcie. Moreno przytaknęła.

– Zgadza się. Co może pan o nich powiedzieć?

Tomaszewski zdjął okulary i rozparł się w krześle.

– Malika prawie w ogóle nie pamiętam – powiedział po chwili. – Nie byliśmy razem w grupie ani nie spędzaliśmy razem wolnego czasu. Był trochę zamknięty w sobie, no i nie rzucał się w oczy. Cóż, nie będę udawać, że nie domyślałam się, o co chodzi.

Moreno skinęła głową.

– Zatem myślicie, że właśnie to ich łączyło?

– Sprawdzamy kilka tropów jednocześnie – wyjaśniła Moreno. – To tylko jeden z nich. Ale oczywiście musimy zbadać wszystkie ewentualności.

– Oczywiście. Cóż, w każdym razie Maasleitnera lepiej kojarzę. Chodziliśmy razem na niektóre zajęcia. Z telegrafii, zarządzania sztabem i tym podobne. Nie mogę powiedzieć, żebym darzył go sympatią. Lubił dominować, jeśli wie pani, o co mi chodzi.

– W jakim sensie? – zapytała Moreno.

– No... – Tomaszewski rozłożył ręce. – Pyskaty. Młody i arogancki. Trochę niezrównoważony, ale chyba niegroźny.

– Inni też go nie lubili?

Tomaszewski chwilę się zastanawiał.

– Tak sędzę. Nie żeby to był jakiś problem. Po prostu potrafił być męczący. Ale wiadomo, że w tak dużej grupie musi się trafić przynajmniej jeden taki typ.

– Spędzaliście razem czas wolny?

Tomaszewski pokręcił głową.

– Mówiłem już, nigdy.

– A Malik i Maasleitner?

– Nie mam pojęcia. Nie wydaje mi się, ale głowy nie dam.

– Kojarzy pan kogoś, kto bardziej się z nimi kolegował? To znaczy kogoś z tego zdjęcia.

Tomaszewski znów obejrzał fotografie. Moreno wyciągnęła listę z nazwiskami i podała mu ją. Podczas gdy się zastanawiał, napiła się herbaty i sięgnęła po czekoladowy herbatnik. Rozejrzała się po bia-

łych ścianach, na których rzędem wisiały obrazy o wyrazistych barwach, jeden przy drugim. Najwidoczniej gospodarz był kimś w rodzaju kolekcjonera. Zastanowiła się nawet, ile pieniędzy, razem wzięwszy, wisi w pokoju.

Pewnie wcale niemało.

– Niestety, obawiam się, że nie bardzo mogę pomóc. Nie mam pojęcia, co mogło ich łączyć. Jeśli chodzi o Malika, to nie wiem, z kim się zadawał. A Maasleitner kolegował się trochę z tymi tutaj. Tak mi się wydaje.

Wskazał na dwie twarze w ostatnim rzędzie.

– Z Van Der Heukkenem i Biedersenem? – Moreno odczytała nazwiska z listy.

Tomaszewski przytaknął.

– Tyle pamiętam. Bo chyba sama pani rozumie, to było ponad trzydzieści lat temu.

Moreno się uśmiechnęła.

– Tak, rozumiem. Ale wydawało mi się zawsze, że służba wojskowa zostawia niezatarty ślad w pamięci wszystkich młodych mężczyzn.

Tomaszewski się skrzywił.

– Na pewno niektórych – powiedział. – Ale większość stara się o tym jak najszybciej zapomnieć.

Czysta przyjemność. Tak zapamiętała wizytę u Tomaszewskiego. Ot, dyskretny urok burżuazji. Wiadomo, że w tych okolicznościach mogła trafić gorzej i nie tak miło spędzić godzinę sobotniego przedpołudnia.

I bynajmniej nie spodziewała się, że wizyta w Dikken wniesie coś do śledztwa. Tak samo zresztą jak kolejna, u niejakiego Pierre’a Borsensa.

Kiedy wysiadła z autobusu w centrum miasta, udało jej się przynajmniej odegnąć ponure myśli z rana. Postanowiła zajść na halę targową i kupić kilka gatunków dobrego sera na wieczór. Pierre Borsens mieszkał zaledwie przecznicę dalej, a było dopiero wpół do pierwszej.

Mężczyzna, który siadł z nim do stolika, roztaczał wokół zapach, którego Jung nie umiał zidentyfikować. Było w nim coś intensywnie

kwaśnego, jak w kocich sikach, ale do tego czuło się wyraźną woń morza. Jakby zgniłych wodorostów schnących na słońcu. A może jakimś cudem połączył ze sobą te dwa składniki.

I to w dużej dawce. Jung szybko odsunął krzesło o pół metra do tyłu i zapalił papierosa.

– Calvin Lange to pan? – zapytał.

– Zgadza się. – Mężczyzna wyciągnął w jego stronę brudną dłoń. Jung się pochylił i ją uściskał.

– W domu mam akurat bałagan – wyjaśnił Lange. – Dlatego pomyślałem, że lepiej będzie spotkać się tutaj.

Uśmiechnął się, obnażając dwa rzędy brązowych, spróchniałych zębów. Jung dziękował opatrności za taki bieg spraw. Nie miał raczej ochoty oglądać tego bałaganu na własne oczy.

– Napije się pan piwa? – zapytał retorycznie.

Lange przytaknął i zakasłał. Jung pomachał ręką w kierunku baru.

– Papierosa?

Lange skorzystał. Jung dyskretnie westchnął, zrozumiał, że lepiej szybko to załatwić. Rzadko kiedy udaje się dostać zwrot za piwo i papierosy, to wiedział już od dawna.

– Poznaje pan?

Lange chwycił zdjęcie i zaczął je studiować, chciwie zaciągając się papierosem.

– To ja. – Wskazał brudnym paluchem na obiecująco wyglądającego młodzieńca w ostatnim rzędzie.

– To wiemy – odparł Jung. – A pamięta pan, jak nazywali się ci dwaj?

Wskazał długopisem dwie postacie.

– Nie wszystko naraz – powiedział Lange.

Kelnerka przyniosła dwa kufle.

– Na zdrowie. – Lange opróżnił jeden z nich.

– Na zdrowie – odparł Jung i znów wskazał długopisem na zdjęcie.

– Zobaczmy. – Lange zmrużył oczy. – Nie, tego nie kojarzę. A gdzie był ten drugi?

Jung wskazał mu Maasleitnera.

– Wygląda znajomo. – Lange podrapał się pod pachą. – Chyba go

poznaję, ale nie pamiętam nazwiska.

Beknął i z żalością popatrzył na pusty kufel.

– A przypomina pan sobie nazwisko Malik albo Maasleitner?

– Malik i kto?

– Maasleitner.

– Maasleitner?

– Tak.

– To on?

Wskazał na Malika.

– Nie, to akurat Malik.

– Cholera. A co takiego zrobili?

Jung zgasił papierosa. Przesłuchanie idzie nadzwyczaj dobrze, pomysłał.

– Pamięta pan cokolwiek z czasów służby wojskowej?

– Służby wojskowej? A dlaczego pan o to pyta?

– Niestety nie mogę wdawać się w szczegóły. Ale interesuje nas tych dwóch mężczyzn. Szkoła podoficerska, rok 1965. Zgadza się?

Znów wskazał na zdjęcie.

– A niech to. – Lange zakasłał. – To ze szkoły podoficerskiej. Myślałem, że to z klubu piłki ręcznej. Nawet się zdziwiłem, że jakoś nas tu za dużo.

Jung wahał się przez trzy sekundy. Potem wetknął zdjęcie z powrotem do teczki i wstał.

– Dziękuję bardzo – powiedział. – Może pan wypić moje piwo.

– Skoro pan nalega.

Mahler zrobił ruch. Van Veeteren kichnął.

– Jak się czujesz? Znów jesteś podziębiony?

– Troszkę. Przedwczoraj na cmentarzu trochę za długo stałem w deszczu.

– To nierozsądne – odparł Mahler.

– Wiem – westchnął Van Veeteren. – Ale nie mogłem ot tak sobie odejść. Jestem na to zbyt taktowny.

– Rozumiem. Mówisz o pogrzebie Malika, jak mniemam. Jak tam śledztwo? W gazetach sporo o tym piszą.

– Kiepsko.

– Znaleźliście już jakiś wspólny mianownik?

Van Veeteren pokiwał głową.

– Chociaż nie jestem pewny, czy to właściwy trop. Zresztą na razie i tak niewiele z tego wyniknęło. To tak, jakbym szukał kamienia, a trafił na brukowany rynek.

– Że co? – nie zrozumiał Mahler.

Van Veeteren znów kichnął.

– A niech to – powiedział. – No więc szukam gwiazdy, a znalazłem galaktykę? Teraz rozumiesz? Myślałem, że jesteś poetą.

Mahler zarechotał.

– Rozumiem. Ale czy to nie zdarzenia szukasz?

Van Veeteren chwycił białego gońca i na kilka sekund zamarł.

– Zdarzenia? – zapytał i odstawił gońca na pole C4. – Niegłupie pytanie. Problem tylko w tym, że za dużo się dzieje.

– Zawsze tak jest.

Z trzech osób, które przypadły w udziale Münsterowi, jedna mieszkała w centrum Maardam, jedna w oddalonym o niecałe trzydzieści kilometrów Linzhuisen, a trzecia – dwieście kilometrów dalej, w Groenstadt. W sobotnie popołudnie Münster telefonicznie przesłuchał tę ostatnią, niejakiego Wenera Samijna, który pracował jako elektryk i który nie miał zbyt dużo do powiedzenia o Maliku i Maasleitnerze. Mieszkał w jednej sali z Malikiem i zapamiętał go jako przyzwoitego, nieco wycofanego młodego faceta. Za to Maasleitner, jak mu się wydawało, był raczej skurczysynem (tu prosił o wybaczenie policję i wdowę). Jednak Samijn z żadnym się bliżej nie kolegował i nie spędzał z nimi czasu wolnego.

Numer dwa na liście, Erich Molder z Guyderstraat, nie odpowiadał na telefony, mimo że Münster próbował parokrotnie. Natomiast z numerem trzy, Joenem Fassleuchtem, umówił się na wizytę w jego domu w Linzhuisen późnym popołudniem w niedzielę.

Sprzeciwił się temu przede wszystkim jego syn Bart, lat siedem i pół, i po dłuższych negocjacjach ustalili, że chłopak pojedzie z ojcem, o ile obieca, że kiedy Münster będzie wykonywał swoje obowiązki, on poczeka na tylnym siedzeniu z pisemkiem dla dzieci.

Münster po raz pierwszy zastosował takie rozwiązanie i kiedy siedział w salonie Fassleuchta, zjadając ciasteczka, zrozumiał, że nie najlepiej wpływa ono na jego zdolność koncentracji.

Może tym razem nie ma to większego znaczenia. Nie chodzi przecież o jakieś ważne przesłuchanie, przekonywał sam siebie. Fassleucht, jak się okazało, zadawał się z Malikiem podczas służby. Nale-

żeli chyba do jednej średnio zgranej paczki złożonej z czterech, pięciu osób, które spotykały się od czasu do czasu. Szli do kina, grali w karty albo po prostu przesiadywali przy jednym stole w kantynie i oglądali telewizję. Jednak po przejściu do cywila kontakt się urwał. A o Masleitnerze Fassleucht mógł powiedzieć mniej więcej to samo, co poprzedniego dnia Samijn.

Trochę zarozumiały, lubił mieć przewagę.

Wychodząc od Fassleuchta po półgodzinnej rozmowie, Münster przeczuwał, że coś jest nie tak. Kiedy doszedł do samochodu, okazało się, że Barta w nim nie ma.

Na chwilę padł na niego blady strach. Przystanął na chodniku i zastanawiał się, co ma, do cholery, zrobić. A oczywiście małemu dokładnie o to chodziło. Nagle w tylnej szybie pojawiła się jego głowa. Okazało się, że leżał na podłodze schowany pod kocem. Jego szeroki uśmiech nie pozostawiał żadnych wątpliwości – Bart uważał, że to niezwykle udany żart.

– A niech mnie! Ależ miałeś wystraszoną minę! – stwierdził rozbawiony.

– Ty gówniarzu! – odparł Münster. – Chcesz hamburgera?

– Tak. Colę też.

Münster ruszył w stronę centrum, żeby znaleźć jakiś bar serwujący tego typu specjały. Postanowił, że jego syn musi jeszcze trochę podrośnąć, zanim będzie go można zabrać na kolejną wyprawę.

– Dziś w „Allgemejne” był wnikliwy artykuł o waszej sprawie – powiedziała Winnifred Lynch. – Czytałeś?

– Nie – odparł Reinhart. – Niby po co miałbym czytać?

– Próbowali naszkicować profil zabójcy.

Reinhart prychnął.

– Przecież o profilach można mówić tylko w przypadku seryjnych zabójców. A nawet wtedy jest to dość wątpliwa metoda. Chociaż oczywiście dobrze sprzedaje się w prasie. Mogą sobie wymyślać, co im się żywnie podoba. To o wiele zabawniejsze niż rzeczywistość.

Winnifred Lynch złożyła gazetę.

– Czyli to nie jest seryjny zabójca?

Reinhart spojrział na nią sponad książki.

– Jeśli pójdziesz się ze mną wykapać, powiem ci coś więcej na ten temat.

– Cudownie, że masz tak dużą wannę – stwierdziła Winnifred dziesięć minut później. – Jeśli z tobą zostanę, to przez wzgląd na nią. Mówię, żebyś sobie za dużo nie wyobrażał. No więc?

– Pytasz o zabójcę?

– Tak.

– Sam nie wiem – odparł Reinhart i zanurzył się w pianie. – Oczywiście to może być seria zabójstw, ale po dwóch trudno to stwierdzić. To znaczy nie wiadomo, co to miałyby być za seria. To tak, jakby musieć zgadnąć, jaka jest następna cyfra w ciągu 1, 4... Rozwiązań może być nieskończenie wiele.

– A ci koledzy z wojska w niczym wam nie pomogą?

Reinhart pokręcił głową.

– Nie sądzę. Przynajmniej nie ci, z którymi rozmawiałem. Chociaż to może dobry trop. Jeśli ktoś chce coś ukryć, to może to z łatwością zrobić. Jeśli nie chce się czegoś wywlekać na światło dzienne, wystarczy to przemilczeć. W końcu to było trzydzieści lat temu.

Oparł głowę o kant wanny i zamyślił się na chwilę.

– W każdym razie cholernie trudno jest znaleźć to, czego się szuka. To znaczy, jeśli skończy się na tych dwóch zabójstwach. Jeśli nie, układ sił trochę się zmieni, jak mniemam.

– Co masz na myśli?

Reinhart odchrząknął.

– Hipotetycznie rzecz biorąc, powiedzmy, że postanawiam kogoś zabić. Kogokolwiek. Wstaję o trzeciej w nocy z poniedziałku na wtorek. Ubieram się na czarno, zakrywam twarz, ustawiam się w odpowiednim miejscu i czekam. Strzelam do pierwszej osoby, która się nawinie, i wracam do domu.

– Strzelasz z tłumikiem.

– Z tłumikiem. Albo dźgam nożem. Jak myślisz, jakie są szanse na to, że mnie złapią?

– Małe.



– Cholernie małe. A nawet jeśli, ile godzin pracy będzie to kosztować policję? W porównaniu z tą jedną godziną, którą zbrodnia zajęła mnie?

Winnifred Lynch pokiwała głową. Wetknęła mu prawą stopę pod pachę i zaczęła ruszać palcami.

– Miło – powiedział Reinhart. – Jeśli zacznie się wojna, może moglibyśmy ją tu przesiedzieć?

– Chętnie. A co z motywem? Bo chyba do tego zmierzasz, prawda?

– Otóż to. Właśnie przez ten brak równowagi musimy szukać motywu. Dzięki tej jednej właściwej myśli możemy zaoszczędzić tysiące godzin pracy. Sama więc rozumiesz, czemu na komendzie uchodzę za asa.

Winnifred się zaśmiała.

– Domyślam się. Ale chyba w tym przypadku nie wpadłeś na tę właściwą myśl?

– Jeszcze nie.

Zaczął namydlać jej nogi.

– Ja myślę, że to skrzywdzona kobieta – powiedziała po chwili.

– Wiem, że tak myślisz.

Przez chwilę się zastanawiał.

– A ty oddałabyś te dwa dodatkowe strzały?

Zamyśliła się.

– Nie. Nie teraz. Ale nie wykluczam takiej możliwości. Człowieka można doprowadzić do różnych czynów. To wcale nie jest sytuacja nie do wyobrażenia, wręcz przeciwnie.

– A więc jakaś szalona kobieta odstrzeliwuje wszystkim facetom wacki? Ot tak sobie?

– Może mieć ku temu powody. I może nie każdemu odstrzeliłaby wacka.

– I może wcale nie jest szalona?

– Zależy, jak na to patrzeć. Raczej skrzywdzona, mówiłam ci już. Może znieważona... zmieńmy temat, ten mnie przygnębia.

– Mnie też. Mogę prosić drugą nogę?

– Ależ proszę.

Van Veeteren umówił się z Renate na niedzielne popołudnie, ale kiedy wstał około jedenastej, z ulgą stwierdził, że postępujące przeziębienie będzie uzasadnioną wymówką do przełożenia spotkania. Wydawało mu się, że drogi oddechowe ma szczelnie pozatykane; żeby w ogóle móc nabrać powietrza, musiał trzymać usta szeroko otwarte. Przez krótką, niemiłą chwilę przeglądał się w lustrze w przedpokoju. Zrozumiał, że to jeden z tych dni, kiedy lepiej nie dopuszczać do siebie bliźnich.

Choćby chodziło o byłą żonę.

I tak wystarczającą udręką było męczenie się z samym sobą. Dzień włókł się jak foka po pustyni. Około dziesiątej wieczorem przysiadł przy stole kuchennym, nogi zanurzył w misce z wrzącą wodą, a na głowie udrapował sobie gruby frotowy ręcznik. Miał nadzieję, że parówka z aromatycznego wywaru będzie miała kojący wpływ i oczyści zatoki. Cóż, jakiś skutek zabieg przyniósł na pewno: Van Veeterenowi ciurkiem ciekło z obu dziurek w nosie, a pot lał się z niego strumieniami.

Przekłęte przeziębienie, pomyślał.

Wtedy zadzwonił telefon.

Van Veeteren przypomniał sobie poranną rozmowę z Reinhartem sprzed paru tygodni, po czym przeprowadził dość pospieszne, ale całkiem logiczne rozumowanie.

Jeśli nie chcę odbierać telefonów, powinienem odłączyć kabel.

Nie odłączyłem kabla, zatem powinienem odebrać.

– Halo, tu Enso Faringer.

Na kilka sekund doznał zaćmienia i nie miał pojęcia, kim, do cholery, jest Enso Faringer.

– Spotkaliśmy się u Freddy’ego. Rozmawialiśmy o Maasleitnerze.

– No tak. W czym mogę pomóc?

– Mówił pan, żebym się odezwał, jeśli coś sobie przypomnę.

– Tak?

– Przypomniałem sobie jeden szczegół.

Van Veeteren kichnął.

– Słucham?

- Nic, nic. Co pan sobie przypomniał?
- Że Maasleitner mówił o tej melodii.
- Jakiej melodii?
- Ktoś dzwonił do niego raz za razem i puszczał jakąś melodię.
- Melodię?
- Tak.
- A po co?
- Tego nie wiem. On w każdym razie był wściekły.

Van Veeterenowi po głowie zaczęła się kołatać jakaś niejasna myśl.

- Chwileczkę. Co to była za melodia?
- Nie wiem. Nie mówił. Wydaje mi się, że sam nie wiedział.
- A dlaczego ten ktoś dzwonił? W jakim celu?
- Też nie wiedział. Dlatego go to denerwowało.
- Dzwonił mężczyzna czy kobieta?
- Nie powiedział mi, ale chyba w słuchawce słychać było tylko muzykę.

Van Veeteren zaczął się zastanawiać.

- Kiedy to było?

Faringer się zawahał.

– Chyba tego samego dnia, kiedy poszliśmy do Freddy’ego. Kiedy go zastrzelono. Może dzień wcześniej.

- I ten ktoś dzwonił wiele razy?
- Najwidoczniej tak.
- A Maasleitner nie próbował nic z tym zrobić?
- Nie wiem.
- I nie domyślał się, kto za tym stoi?
- Nie sądzę... Nie, najbardziej denerwowało go, że nie wie, o co w tym chodzi.

Van Veeteren znów się zamyślił.

– Panie Faringer – powiedział po chwili. – Jest pan pewien, że wszystko pan dobrze zapamiętał? Może coś pan źle zrozumiał?

W słuchawce rozległ się kaszel i kiedy chuderławy nauczyciel znów się odezwał, w jego głosie słychać było urazę.

- Wiem, że byłem trochę pijany, ale akurat to pamiętam doskonale.
- Rozumiem – odparł Van Veeteren. – Nie przypominaj pan sobie ni-

czego więcej?

– Nie, ale jeśli sobie przypomnę, odezwę się.

– Ja również będę się jeszcze z panem kontaktował – powiedział komisarz i odłożył słuchawkę.

No proszę, i co to za historia? – pomyślał, wylewając do zlewu zarówno napar z ziół, jak i wodę z miski.

I z czym mu się to kojarzyło? Kto mówił coś podobnego parę tygodni temu?

Dopiero we wtorek późnym popołudniem udało im się zakończyć sprawdzanie wszystkich trzydziestu trzech kadetów z roku 1965. Z całej grupy żyło jeszcze trzydziestu jeden, najmłodszy miał pięćdziesiąt lat, najstarszy pięćdziesiąt sześć. Okazało się, że pięciu mieszka za granicą (trzech w Europie, jeden w Stanach Zjednoczonych i jeden w Afryce Południowej), czternastu nadal żyło w Maardam, a pozostałych dwunastu w innych miastach na terenie kraju.

To Heinemann koordynował przedsięwzięcie i prowadził rejestr wszystkich delikwentów. Próbował nawet usystematyzować zebrane wyniki, choć nie udało mu się obmyślić żadnej skutecznej metody. Kiedy o wpół do siódmej wieczorem przekazał zgromadzony materiał Van Veeterenowi, dłuższą chwilę musiał wyjaśniać komisarzowi wszystkie tajemnicze znaki i skróty, w końcu jednak obaj stwierdzili, że nie ma to większego sensu.

– Streścisz nam to ustnie na jutrzejszym zebraniu – zdecydował Van Veeteren. – Chyba lepiej będzie, jeśli wszyscy poznają te informacje jednocześnie.

Po komendzie krążyła pogłoska, że szef policji chce osobiście wziąć udział w zebraniu zaplanowanym na godzinę dziesiątą w środę. Kiedy jednak przyszło co do czego, okazało się, że coś go zatrzymało. Nikt nie wiedział, czy faktycznie w grę wchodziły obowiązki, czy też na przykład przesadzanie roślin w gabinecie, jednak Reinhart kojarzył, że luty to zdecydowanie krytyczny moment w hodowli kwiatów doniczkowych.

– Osiem mądrych głów, całkiem nieźle. Gdyby Hiller przyszedł, wynik spadłby do siedmiu. Zaczynamy!

Sprawozdania Heinemanna – wraz ze wszystkimi pytaniami, dygresjami i uwagami innych – zajęło niemal godzinę, chociaż nie zawierało żadnych kluczowych wniosków czy konkretnych podejrzeń.

Wypowiedzi na temat Ryszarda Malika były w większości zgodne. Dość cichy, wycofany, przyjazny, można było na nim polegać. Inne cechy charakteru, podobnie jak jego zainteresowania, nie rzucały się w oczy – taka była powszechnie panująca opinia. Kolegował się z czterema, pięcioma osobami, ale nawet wśród nich nie znalazł się nikt, kto mógłby przekazać śledczym jakieś ciekawe wskazówki.

Rzecz jasna trudno było stwierdzić, czego takie wskazówki mogłyby dotyczyć, jednak z całym szacunkiem dla autora raportu dotyczącego Malika wyglądało na to, że całe to zestawienie zeznań ani o cal nie zbliżało ich do rozwiązania sprawy zabójstwa.

Niewykluczone, że podobnie było z Maasleitnerem. Niezbyt lubiany, nadęty egoista – właśnie taka opinia dominowała na jego temat. Należał do ośmio-, dziesięcioosobowej grupy, która często się spotykała, także w czasie wolnym. Ta paczka była nieco aktywniejsza, zdarzały jej się nawet wieczorne i nocne eskapady o dość rozpustnym charakterze, jak się wyraził Heinemann.

– Rozpustne eskapady? – Reinhart uniósł brwi. – Sam wymyśliłeś to określenie?

– Skąd. To cytat z Koranu – zaskoczył go Heinemann.

– Nie wierzę – odparł Rooth.

– Heinemann, kontynuuj – przerwał im zirytowany Van Veeteren.

– Trzeba też pokreślić – ciągnął Heinemann – że nikt z przesłuchanych nie potrafił wskazać na jakikolwiek związek między Malikiem a Maasleitnerem, co rzecz jasna w pewnym stopniu osłabia naszą hipotezę. W zasadzie musimy sobie zadać dwa pytania. Po pierwsze, czy to właśnie było tłem zbrodni? Czy Ryszarda Malika i Rickarda Maasleitnera zamordowano, ponieważ byli razem w szkole wojskowej trzydzieści lat temu?

W tym miejscu Heinemann zrobił pauzę. Van Veeteren wydmuchał nos w papierową chusteczkę, którą następnie rzucił na podłogę.

– Po drugie, jeśli na pierwsze pytanie odpowiemy tak, to na czym polegał związek między nimi? Są dwie możliwości. Albo zabójcą jest ktoś ze zdjęcia...

Heinemann postukał okularami w odbitkę.

– ...albo też jest to ktoś z zewnątrz, związany z grupą jakoś inaczej.

– Kto ma zamiar zabić całą trzydziestkę piątkę – dodał Rooth.

– Zostało już tylko trzydziestu jeden – zauważył deBries.

– No to świetnie – odparł Rooth.

Heinemann rozejrzał się w oczekiwaniu na komentarze.

– No dobra, sprawozdania już wysłuchaliśmy – powiedział Reinhart i założył ręce na kark. – Co robimy dalej?

Van Veeteren odchrząknął i pochylił się nad stołem, opierając głowę na knykciach.

– Musimy sobie odpowiedzieć na jedno cholernie ważne pytanie – powiedział przesadnie wolno. – Wiem, że to trochę takie czary-mary, ale trudno. Czy któreś z was, rozmawiając z tymi facetami, nie poczuło, że coś jest nie tak? Może kogoś coś tknęło... Wiecie, co mam na myśli. Choćby miało chodzić o najbardziej nielogiczne czy nieracjonalne przeczucie. Dawajcie, jeśli coś macie!

Rozejrzał się wokół stołu. Nikt się nie odezwał. Jung chyba chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. DeBries chyba też miał coś na końcu języka, ale milczał. Moreno pokręciła głową.

– Nie – odezwał się w końcu Reinhart. – Zazwyczaj umiem rozpoznać mordercę, ale tym razem żadnego nie spotkałem.

– No i z kilkoma rozmawialiśmy tylko przez telefon – dodał Münster. – A jak się kogoś nie widzi przed sobą, trudno o przeczucia.

Van Veeteren skinął głową.

– Może powinniśmy zrobić jeszcze jedną rundę i zająć się tymi, którzy lepiej znali Maasleitnera – powiedział. – Na pewno nie zaszkodzi. A jeśli zabójcą jest ktoś z zewnątrz – ktoś, kto mimo wszystko ma jakiś związek z tą grupą – cóż, wtedy pozostaje nam kilka możliwości. Możemy spróbować się dowiedzieć, czy przypadkiem nie wydarzyło się coś na swój sposób traumatycznego...

– Traumatycznego? – zapytał Rooth.

– Gdyby coś takiego faktycznie się stało, to taki wątek przewinąłby

się już podczas rozmów – zauważył deBries.

– Niewykluczone – zgodził się Van Veeteren. – Ale nigdy nie wiadomo. Nie zaszkodzi przeprowadzić jeszcze parę przesłuchań. Na liście mam jednego starego pułkownika i dwóch dowódców kompanii.

– Skąd?

– Jeden mieszka tutaj – odparł Van Veeteren. – Dwóch, niestety, w Schaabe.

– Znam dziewczynę z Schaabe – wtrącił Rooth.

– Dobra, w takim razie ty pojedziesz – zdecydował Van Veeteren.

– Dzięki – odpowiedział Rooth.

– A ta muzyka? – zapytał deBries.

– No właśnie – westchnął Van Veeteren. – Cholera wie, ale wygląda na to, że zarówno Malik, jak i Maasleitner tuż przed śmiercią odbierali dziwne telefony. Ktoś dzwonił, ale nie mówił ani słowa, tylko puszczał jakąś muzykę.

– Jaką? – zapytał Jung.

– Nie wiemy. Pani Malik odebrała dwa telefony, mówiła nam o tym, kiedy jeszcze była w szpitalu, ale nie potraktowaliśmy tego poważnie. Odwiedziłem ją wczoraj. Wciąż mieszka u siostry i pewnie szybko się stamtąd nie zabierze. W każdym razie podtrzymała swoje zeznanie, ale nie miała pojęcia, co to za melodia i co mogłaby oznaczać.

– Hm. A Maasleitner? – zapytał Reinhart.

– W dzień lub przeddzień zabójstwa odebrał mnóstwo takich telefonów. Opowiadał o tym temu chudemu belfrowi od niemieckiego, ale ten miał już dobrze w czubie, więc nie za wiele pamięta.

– Ale pewnie chodziło o identyczne telefony – zauważył Münster.

– Taaa – wymamrotał komisarz. – Możemy chyba wyjść z tego założenia. Ciekawe, w jakim celu ktoś dzwonił.

Wokół stołu zapadło milczenie.

– A oni sami też nie wiedzieli? – zapytał Jung.

Van Veeteren pokręcił głową.

– Wygląda na to, że nie. Przynajmniej nie Maasleitner. Co do Malika, to nie wiemy, czy on sam też nie odebrał jakiegoś telefonu. Nie



wspomniał o tym żonie, ale to chyba zrozumiało.

– Absolutnie – potwierdził Rooth.

Reinhart chwycił fajkę i przez chwilę się jej przyglądał.

– Jeśli oni sami nie wiedzieli, o co chodzi, to niby jak my mielibyśmy się domyślić? – powiedział. – Chociaż cała ta historia z telefonami udowadnia jedno. Mamy do czynienia ze szczegółowo zaplanowanymi zbrodniami, a nie z jakąś tam partanią. Cholernie szczegółowo zaplanowanymi...

Reinhart zaczął nabijać fajkę.

– Chyba tym razem trafiliśmy na godnego siebie przeciwnika, nie sądzicie?

Van Veeteren przytaknął ze skrzywioną miną.

– Nie da się zaprzeczyć. W każdym razie nie mam zamiaru wspominać prasie o tych muzycznych telefonach. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Chociaż oczywiście musimy ostrzec pozostałą trzydziestkę.

– Tych, którzy się jeszcze ostali przy życiu – dodał deBries.

– Münster, napiszesz list, który będziemy mogli im wysłać. Sformułuj to jakoś ostrożnie i pokaż mi przed wysłaniem.

– Dobrze – odparł Münster.

– Oczywiście znów trzeba będzie ograniczyć liczbę ludzi przydzielonych do sprawy – dodał komisarz i kichnął po raz dwudziesty w trakcie tej godziny. – Ale podział zadań dokończymy po przerwie na kawę.

– Jasne, nie wszystko naraz – zgodził się Rooth i wstał.

Reinhart usiadł naprzeciwko komisarza i powoli zamieszał kawę.

– Trochę to niepokojące – powiedział.

Van Veeteren przytaknął.

– Myślisz, że będzie więcej ofiar?

– Tak.

– Ja też.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Może to i lepiej – stwierdził Reinhart. – Inaczej nigdy nie rozwiążemy tej sprawy.

Komisarz się nie odezwał. Wytarł tylko nos serwetką i ciężko oddy-

chał. Rooth podszedł z wyładowaną po brzegi tacą i dosiadł się do nich.

– Co lepsze? – ciągnął Reinhart. – Dwie ofiary i zabójca na wolności? Czy trzy ofiary i schwytany zabójca?

– A może cztery? – odparł Van Veeteren. – Albo pięć? Przecież wszystko musi mieć swoje granice.

– Czasami trzeba samemu je wytyczyć, a to nie to samo – stwierdził Reinhart.

– Najlepiej, gdyby w ogóle nie było ofiar – wtrącił się Rooth. – Ani zabójców.

– Mrzonki – prychnął Reinhart. – W tej robocie musimy liczyć się z rzeczywistością.

– Ach tak, rzeczywistość – odparł Rooth.

Kiedy wieczorem usadowił się w fotelu owinięty dwoma kocami, a z głośników leciał Händel, Van Veeteren przypomniał sobie rozmowę, którą odbyli w stołówce. Uświadomił sobie, że od drugiego zabójstwa minął równo tydzień, a od pierwszego niemal trzy.

Wiedział, że jak dotąd nie mogą się niczym pochwalić. Jak właściwie można ocenić jego prowadzenie śledztwa?

Czy nie powinien był postawić wszystkich w stan gotowości? Albo jednak przeznaczyć kogoś do wytropienia broni, z której strzelano? Albo...?

Wyciągnął zdjęcie ze szkoły podoficerskiej. Odkąd Heinemann im je pokazał, oglądał je chyba z tysiąc razy. Teraz znów powoli przesunął wzrokiem po stojących na baczność młodych mężczyznach.

Trzydziestu pięciu obiecujących młodzieńców u progu dorosłego życia. Każdy z wiarą spoglądał w przyszłość.

Przyszłość? – pomyślał Van Veeteren.

Czy któryś z nich jest następny w kolejce?

Tak przypuszczał. Ale który?

VI  
8–14 lutego

Na ten telefon Karel Innings czekał sześć dni. W końcu zadzwonił.

Już wtedy, kiedy tamtego ranka przeczytał gazetę i wyciągnął przerażające wnioski, wiedział, że zadzwoni.

Coś trzeba było z tym zrobić. Dwa razy próbował się skontaktować z Biedersenem, ale tamten był za granicą. Z wiadomości na automatycznej sekretarce wynikało, że wróci przed siódmym, ale kiedy Innings zadzwonił siódmego, usłyszał to samo.

Najoczywistsze wydało mu się, że to do Biedersena należy pierwszy krok. Innings, niewiele myśląc, uznał, że tak musi być i już. Po prostu taki panował między nimi układ: między Biedersenem, Maasleitnerem, Malikiem i Inningsem. O ile teraz można było nadal nazywać to układem.

Nieco mniej oczywiste było zwierzenie się policji. Jednak z każdą kolejną godziną, z każdym kolejnym okropnym, szarym lutowym dniem Innings czuł, że coraz bliżej mu do tego rozwiązania. Ten skromny śledczy, który go odwiedził, wzbudzał zaufanie i sympatię. W innych okolicznościach Innings opowiedziałby mu wszystko bez wahania.

Chyba sam czuł, że tak zwane inne okoliczności to wymówka. Bo przecież zawsze jest się w takich okolicznościach, w jakich się jest. Zawsze trzeba liczyć się z różnymi względami, prawdziwymi lub nie, zawsze znajdują się jakieś niedogodności. Ale czy jakakolwiek sytuacja życiowa byłaby właściwa do ujawnienia takiej historii? Tego trupa, który nagle, po trzydziestu latach, wypadł z szafy?

Pewnie nie. Kiedy w nocy rozmyślał, czując obok ciepłe ciało Ulri-

ke, wiedział, że to niemożliwe.

Ona nie może się dowiedzieć.

Zresztą w grę wchodziła nie tylko Ulrike, choć oczywiście ona była najważniejsza. Chodziło o całe jego życie. Tę spokojną, harmonijną egzystencję, którą wiódł już drugi rok. On, Ulrike i trójka ich dzieci – jedno jego i dwoje jej. Owszem, pewnie znieśliby wiele przeciwności, ale nie coś takiego. Nie tę ohydną, mroczną historię.

Historię, która najwidoczniej kolejny raz postanowiła go dopaść. Która nigdy nie odpuszczała, której nie można było w pełni odpokutować.

Podczas bezsennych nocy czuł przyczajony obosieczny strach. Z jednej strony bał się wydania, z drugiej – czegoś nieporównanie gorszego. Za dnia myśli też nie dawały mu spokoju. Kiedy w redakcji próbował się skupić na rutynowych zajęciach, które od ponad piętnastu lat miał w małym palcu, w środku czuł jakby sprężynę. Lęk, nerwy i zmęczenie napinały ją mocniej i mocniej. Czy inni coś widzą? – zastanawiał się coraz częściej.

Zapewne nie. Innings wiedział, że w codziennej nerwowej bieganiu problemy osobiste musiałyby dosłownie zwalić z nóg tego czy innego współpracownika, zanim inni w ogóle by coś zauważyli. Nieraz tak bywało. Trudniej było ukryć kłopoty przed Ulrike i dziećmi. Przecież mieszkali razem i troszczyli się o siebie. Mógł zrzucić wszystko na problemy z żołądkiem i tak też zrobił. W końcu bezsenne noce nie musiały oznaczać nic poważniejszego.

Już sama przynależność do grupy była wystarczającym powodem do niepokoju. Z początku było ich trzydziestu pięciu. Bez wątplenia dla tych niewtajemniczonych sytuacja też była nieprzyjemna.

Bo wciąż łączyły ich jakieś tam więzy. Kiedy w końcu w czwartek po południu usłyszał w słuchawce zaciąganie Biedersena, poczuł, że to jest dosłownie ostatni moment. Dłużej nie dałby rady tego zdzierżyć.

Chociaż pomysł wydawał się absurdalny, to przez chwilę zastanawiał się, czy telefon może być na podsłuchu. Najwidoczniej Biedersen też, bo w ogóle się nie przedstawił. Gdyby Innings nie czekał na ten tele-

fon i gdyby nie charakterystyczne zaciągnięcie, nie poznałby głosu kolegi.

– Cześć – powiedział tylko Biedersen. – Spotkamy się na chwilę jutro wieczorem?

– Dobra – odparł Innings. – Niech będzie.

Biedersen zaproponował lokal oraz godzinę i na tym skończyli rozmowę.

Dopiero po odłożeniu słuchawki Innings uświadomił sobie, że w całej tej przeklętej grze musi sobie zadać jeszcze jedno pytanie.

Jakie konsekwencje będzie miała jego rozmowa z Biedersenem?

Kiedy później leżał w łóżku, oscylując między jawą a snem, nagle odpowiedź sama stanęła mu przed oczami.

Oto bowiem jego strach przybrał nową postać. Z obosiecznego miecza zmienił się w trójzab.

Rooth wyjechał dość wcześnie i w Schaabe znalazł się już w południe. Ponieważ pierwsze spotkanie było umówione na drugą, pozwolił sobie na długi i pożywny lunch w dworcowej restauracji. Dopiero potem ruszył do szkoły podoficerskiej.

Kapitan Falzenbucht okazał się niewysokim, szczupłym mężczyzną o wyjątkowo niskim i skrzypiącym głosie (pewnie zbyt długo zdzierał go w koszarach, domyślał się Rooth). Falzenbucht kilka lat temu przekroczył sześćdziesiątkę, zatem teraz powinien w spokoju cieszyć się emeryturą, jednak – jak nie omieszkał dwukrotnie zauważyć – jego obowiązkiem jest zostać w szkole tak długo, jak długo będą go potrzebować. Jego obowiązkiem jako żołnierza, mężczyzny i obywatela.

A jako człowieka? – zapytał w myślach Rooth.

Tak, oczywiście Falzenbucht przypominał sobie grupę z roku 1965. To był drugi rocznik, jakim opiekował się jako podporucznik. Kiedy Rooth wyciągnął zdjęcie, Falzenbucht z głowy wymienił kilku kadetów z nazwiska.

Cóż, widać facet nie jest aż taki głupi, tylko szkoła zrobiła swoje, pomyślał Rooth. Jego własna kariera wojskowa zdecydowanie nie była odpowiednim tematem na teraz. Zresztą na kiedy indziej też nie.

– No tak, przede wszystkim interesują nas Malik i Maasleitner – powiedział. – Może pan kapitan ich wskazać?

Falzenbucht wskazał.

– Wie pan, co się z nimi stało?

– No jasne – zaskrzypiał Falzenbucht. – Ktoś ich zabił. Nieciekawa historia.

– Rozmawialiśmy ze wszystkimi pozostałymi – wyjaśnił Rooth.  
– Wszyscy żyją? – zapytał Falzenbucht.  
– Nie, ale skupiliśmy się na żywych. Żaden z nich nie umiał wskazać na nic, co mogłoby łączyć Malika z Maasleitnerem. Nie wiedzieli też, jakie motywy mogły towarzyszyć zbrodni.

– Rozumiem.

– A co pan o tym sądzi?

Falzenbucht zrobił skupioną minę.

– Hmm. Nie dziwię się, że nic wam nie powiedzieli. Nie mieli o czym. Cała ta sprawa nie ma nic a nic wspólnego ze szkołą i ich pobytym tutaj. To właśnie jest moje zdanie.

– A skąd ta pewność?

– Bo gdyby było inaczej, coś byśmy wiedzieli.

Rooth przez kilka sekund rozważał ten wywód wojskowej logiki.

– Zatem to, czego nie widać, nie istnieje? – zapytał w końcu.

Falzenbucht nie odpowiedział.

– O co więc według pana może chodzić?

– Nie mam pojęcia. Ale wy powinniście tego dociec.

– Dlatego tu przyjechałem.

– Rozumiem. Hmm.

Przez chwilę Rootha kusilo, żeby wyciągnąć kajdanki, zapakować tego małego, zachrypłego sztywniaka do samochodu i zawieźć go na porządne przesłuchanie w jakiejś śmierdzącej celi na komendzie w Schaabe. Jednak rozsądek zwyciężył i Rooth odpuścił.

– Czy jest coś, cokolwiek, co mógłby nam pan powiedzieć, a co według pana mogłoby przydać się w śledztwie? – zapytał.

Falzenbucht przesunął kciukiem i palcem wskazującym po zadbanym wąsie.

– Żaden z grupy tego nie zrobił – powiedział. – To same porządne chłopaki. Zabójcą jest ktoś inny.

Może ktoś z obozu wroga? – pomyślał Rooth. Westchnął dyskretnie i spojrzał na zegarek. Do następnego spotkania zostało mu ponad pół godziny. Postanowił, że Falzenbuchtowi poświęci jeszcze pięć minut, a potem pójdzie do kantyny na kawę.



Major Straade z kolei okazał się dwa razy większy od Falzenbuchta. Do tego mówił bardziej jak cywil, jednak w kwestii śledztwa do powiedzenia miał mniej więcej tyle samo. Czyli nic. Podobnie jak kapitan, Straade skłaniał się ku teorii, że tła całej sprawy należy szukać poza szkolnymi koszarami. To znaczy poza nieczynnymi już koszarami na przedmieściach Maardam.

Może chodzić o coś, co wydarzyło się poza zajęciami. W czasie wolnym. Kiedy kadeci byli na mieście. O ile w ogóle istnieje jakiś związek ze szkołą. Bo czy to pewne? Skąd właściwie myśl, że szkoła podoficerska ma z tym coś wspólnego?

Te pytania Straade zadawał kilka razy.

Kiedy Rooth wrócił na parking i wszedł do samochodu, spróbował jakoś oszacować te domysły i opinie, jednak trudno było stwierdzić, skąd właściwie się wzięły.

Ze zwykłej, zbudowanej na doświadczeniu intuicji? Czy też raczej z podszytej lękiem i głupotą chęci bronienia renomy szkoły?

Trudno mu się było połapać w żołnierskim kodeksie honorowym i jedyne, czego był pewien, to tego, że wyprawa do Schaabe okazała się skórką niewartą wyprawki.

To znaczy w kwestii śledztwa.

Spojrzał na zegarek i na siedzeniu obok rozłożył mapę miasta.

Van Kuijperslaan, to ten adres wymieniła?

Kiedy otworzyła drzwi, od razu zauważył, że jej ciepły uśmiech nie ostygł przez te lata. Ta sama piękna Ulecza, pomyślał.

Zasześcił papierem i podał jej bukiet. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wzięła kwiaty. Wpuściła go do przedpokoju i uściskała. Rooth z chęcią odwzajemnił uścisk na tyle mocno, na ile, jak sądził, mógł sobie pozwolić na tak wczesnym etapie spotkania. Ale w tej chwili kątem oka dostrzegł jakiegoś bruneta, mniej więcej w jego wieku, który wyszedł z kuchni z butelką wina w ręku.

– A to kto, do cholery? – wyszeptał jej do ucha.

Ulecza puściła go i obróciła się w stronę bruneta.

– To Jean-Paul – powiedziała radośnie. – Mój chłopak. Tak się cieszę, że zdążył wrócić, bo od razu będziesz miał okazję go poznać.

– Och, świetnie – odparł Rooth i też spróbował się uśmiechnąć.

## 21

Innings właśnie miał wejść do Le Bistro, kiedy portier go zatrzymał, podał mu kopertę i poprosił o wyjście. Zdziwiony Innings wykonał polecenie i otworzył kopertę, w której znalazł adres innej restauracji.

Leżała trzy przecznice dalej w stronę kościoła i idąc ulicą, Innings zrozumiał, że Biedersen poważnie podszedł do sprawy. Nie miał zamiaru nic zostawić przypadkowi. Innings sam trochę o tym rozmyślał, próbując wypracować własne stanowisko, ale kiedy wszedł do lokalu i zobaczył Biedersena siedzącego przy stoliku na uboczu, poczuł przede wszystkim ulgę i nieodpartą chęć złożenia wszystkiego w cudze ręce.

Zresztą nie ulegało wątpliwości, że Biedersen chętnie przejmie inicjatywę.

– Kopę lat – powiedział. – Ty jesteś Innings, tak?

Innings przytaknął i usiadł. Przyjrzał się koledze z bliska i stwierdził, że Biedersen zmienił się mniej, niż można by się spodziewać. Ostatnio wpadli na siebie przez przypadek jakieś dziesięć lat temu, ale w zasadzie od czerwca 1976 roku się nie widzieli.

Wciąż ta sama krzepka, przysadzista sylwetka. Z gruba ciosane rysy twarzy, rudawe włosy i ten sam co zawsze błysk w oku. Zawsze czujne spojrzenie. Innings pamiętał, że byli tacy, którzy się go bali.

Może i on do nich należał.

– Próbowałem się z tobą skontaktować kilka razy – powiedział. – To znaczy, zanim zadzwoniłeś.

– Chyba się zorientowałaś, co się dzieje?

Innings się zawahał.

- Sam nie wiem.
- Tamtych dwóch zabito.
- No tak.
- Ktoś ich zabił. Jak myślisz, kto?

Innings zrozumiał, że jakimś cudem do tej pory udawało mu się odsuwać to pytanie.

- Ona – odpowiedział. – Na pewno ona...
- Ona nie żyje.

Biedersen przekazał mu tę wiadomość dokładnie w momencie, kiedy kelnerka podeszła, żeby przyjąć zamówienie. Dopiero po chwili mógł rozwinąć wątek.

– Jak mówiłem, ona nie żyje. Ktoś musi to robić za nią. Według mnie to córka.

Ku swojemu zaskoczeniu Innings wyczuł w głosie Biedersena cień strachu. Oczywiście wciąż mocno zaciągał, ale jakby w bardziej nerwowy, wymuszony sposób.

- Córka? – zapytał Innings.
- Tak. Próbowałem ją wytropić.
- I?
- Nie ma jej.
- Jak to?

– Nie wiadomo, gdzie jest. Wyniosła się z mieszkania w Stamborg w połowie stycznia i nikt nie wie, gdzie pojechała.

– Pytałeś?

– Trochę. – Biedersen pochylił się nad stołem. – Nas ta suka nie dostanie!

Innings przełknął ślinę.

– Ty też miałeś te telefony z muzyką?

Innings pokręcił głową.

– A ja tak – powiedział Biedersen. – Niech to cholera. Ale list od policji dostałeś?

– Wczoraj. W takim razie ty jesteś następny w kolejce.

Wymusknęło mu się to, zanim się zastanowił, co mówi. Uświadomił sobie jednocześnie, że ulga, którą przez chwilę odczuł, była bardzo ulotna.

Bo najpierw Biedersen, a potem on. Taki był plan.

– Może tak, ale nie bądź taki pewny. Musimy ją jakoś powstrzymać, po to się spotkaliśmy.

Innings skinął głową.

– Musimy ją dorwać, zanim ona dorwie nas. Rozumiem, że włączasz się do tej akcji?

– No...

– Nie chcesz?

– Chcę... tylko się zastanawiam, jak to przeprowadzimy?

– Już to przemyślałem.

– Ach tak. I co?

– Zastosujemy te same środki. Pod stołem stoi torba, zauważyłeś?

Innings przesunął stopą po podłodze i wyczuł, że coś stoi pod ścianą.

– Tak? – zapytał.

– W środku jest twoja broń. Należy mi się osiem stów za fatygę.

Inningsowi nagle zakręciło się w głowie.

– A... a czy w grę nie wchodzi jakieś inne rozwiązanie?

Biedersen prychnął.

– Niby jakie?

– Nie wiem.

Biedersen zapalił papierosa. Minęło kilka sekund.

– I co, sami ją znajdziemy? Czy po prostu będziemy na nią czekać?

– Do diabła! – parsknął Biedersen. – Nie wiemy nawet, jak wygląda. Ale jeśli masz ochotę wybrać się do Stamborg i wyszukać jej podobną, to proszę bardzo. Tylko skąd pewność, że ona nie używa na przykład peruki? Wiesz przecież, jak łatwo kobity potrafią zmieniać wygląd.

Innings przytaknął.

– To może się stać już dziś wieczorem. Albo jutro. Kolejną osobą, która zadzwoni do twoich drzwi, może być ona. Chyba sam rozumiesz?

Innings nie odpowiedział. Kelnerka przyniosła im dania i zaczęli jeść w milczeniu.

– A ta melodia? – zapytał Innings po chwili, ocierając kąciki ust.

Biedersen odłożył sztucce.

– Dwa razy – odpowiedział. – No i kilka razy ktoś dzwonił, ale odkładał słuchawkę, kiedy odbierała żona. To ten przeklęty kawałek. Za nic nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywał, ale puszczałyśmy to bez przerwy. No ale tobie chyba nie muszę przypominać, w końcu ty byłeś trzeźwy.

– Nie byłem – odparł Innings. – Wiesz dobrze, że nie byłem. Przecież na trzeźwo nigdy bym...

– Dobra, dobra, nie będziemy wałkować tego jeszcze raz. Jak się nazywał ten zespół?

– The Shadows?

– No tak. Pamiętasz. Ja chciałem sprawdzić, ale nie mam już tej płyty.

– A jeśli znów zadzwoni, nie można by jej nagrać?

– Chryste Panie – odpowiedział Biedersen. – Ty chyba nic nie rozumiesz. Możemy oczywiście włączyć w to policję i zapewnić sobie taką ochronę, jaką zechcemy, ale wydawało mi się, że zgodziliśmy się, żeby tego nie robić?

– Dobrze – przytaknął Innings. – Nie zrobimy tego.

Biedersen prześwidrował go wzrokiem.

– Nie wiem jak ty – powiedział – ale ja od dwudziestu pięciu lat mam rodzinę. Żonę, troje dzieci, nawet wnuka... Mam też firmę, przyjaciół, znajomości służbowe. Do diabła, mam cały świat, który może runąć jak domek z kart! Ale jeśli ty się wahasz, to powiedz, sam to załatwię i już. Po prostu pomyślałem, że korzystniej będzie współpracować. I dzielić odpowiedzialność.

– No tak...

– Więc jeśli nie chcesz się włączyć, nie ma sprawy.

Innings pokręcił głową.

– Ależ chcę. Wybacz. To co robimy?

Biedersen rozłożył ręce.

– Może po prostu zaczekajmy. Bądźmy w gotowości z bronią pod ręką. Jak przyjdzie co do czego, nie będziesz przecież musiał się za bardzo tłumaczyć, skąd masz pistolet. Wszyscy nam uwierzą. Przecież człowiek ma prawo bronić własnego życia, do cholery.

Innings chwilę myślał.

– No tak – powiedział. – To będzie obrona własna.

Biedersen skinął głową.

– Jasne, że tak. Ale musimy się ze sobą kontaktować. Nie mamy innych sojuszników, a może nadejdzie chwila, kiedy okaże się, że co dwie głowy, to nie jedna. Na przykład kiedy trzeba będzie ją zwieźtrzyć. Wychwycić, że się zbliża. Malik i Maasleitner nie mieli żadnych szans.

Innings zaczął się zastanawiać.

– Ale jak będziemy się kontaktować?

Biedersen wzruszył ramionami.

– Przez telefon – powiedział. – Tak będzie najszybciej. A jeśli będziemy mieć czas, umówimy się na spotkanie. To znaczy, jeśli, mówiąc wprost, dojdzie do najgorszego. Przecież ona musi najpierw jakoś się do nas zbliżyć i... Krótko mówiąc, jeżeli zorientujesz się, że śledzi cię kobieta, po prostu zadzwoń.

– Dojazd do ciebie zajmuje dwie godziny, tak?

– Mniej więcej. W najlepszym wypadku godzinę czterdzieści pięć. I jeśli faktycznie to ja jestem następny w kolejce, ty możesz być przygotowany na szybkie wkroczenie do akcji.

Innings skinął głową. Potem znów zaczęli jeść, nic nie mówiąc. W milczeniu wzniesli toast. Kiedy Innings wypił łyk chłodnego piwa, znów przez chwilę poczuł zawroty głowy. Ostrożnie położył stopę na torbie z twardym przedmiotem w środku i zaczął się zastanawiać, jak, na Boga, wytłumaczy coś takiego Ulrike.

Broń palna.

Jeżeli przyjdzie mu jej użyć, będzie musiał sprzedać policji tę samą historyjkę. Bo w końcu ktoś musiał jakoś powstrzymać sprawczynię, no a jego przezorność okazała się w pełni uzasadniona. Dlaczego więc ktokolwiek miałby podejrzewać coś więcej?

Ale na razie postanowił nic nie mówić o broni. To oczywiście było najprostsze rozwiązanie.

No i trzeba mieć nadzieję, że nigdy nie będzie musiał z niej skorzystać. Że Biedersen spełni swój obowiązek.

– Muszę ci zapłacić – powiedział. – Chyba nie mam przy sobie

ośmiu stów, ale...

– Nie ma sprawy – odparł Biedersen. – Jak już poradzimy sobie z tą wariatką, to się rozliczymy.

Innings przytaknął i przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Jest jedna rzecz, która mnie zastanawia i niepokoi – powiedział Biedersen, kiedy już dostali kawę i zapalili po papierosie. – Dwa razy działała identycznie. Chyba nie jest aż tak głupia, żeby to powtórzyć?

Nie, pomyślał Innings, wychodząc z restauracji pięć minut po Biedersenie. Racja. Chyba aż tak głupia nie może być.



Natrętnie przeziębienie w połączeniu z jednym piwem lub grogiem za dużo sprawiły, że gra nie poszła mu najlepiej. Może nie bez znaczenia był też chroniczny i niedający o sobie zapomnieć brak snu.

Podczas trzeciego seta przyszło mu do głowy, żeby zmienić rękę i przez chwilę grać lewą, bo zazwyczaj dobrze na tym wychodził. Wiedział jednak, że przeciwnik może uznać ten wybieg za nie fair, i zrezygnował z pomysłu.

*Summa summarum* skończyło się wynikami 15:5, 15:5, 15:3, zaś Van Veeteren wyglądał, jakby za chwilę miał wylądować pod respiratorem.

– Muszę kupić nową raketę – zarządził. – Ten grat już się do niczego nie nadaje.

Münster nie skomentował. Wolno ruszyli w stronę przebieralni.

Wykapali się i przebrali. Potem wspięli się po schodach do holu głównego i w tym miejscu Van Veeteren zrozumiał, że nie dojdzie do samochodu, jeśli najpierw nie zajdą na piwo do mieszczącej się w ośrodku kafejki.

Rzecz jasna Münster nie miał wyboru. Spojrzał na zegarek i westchnął. Poszedł zadzwonić do opiekunki, żeby poinformować ją, że wróci później, i w końcu zasiadł naprzeciwko komisarza.

– A żeby to szlag trafił – stwierdził Van Veeteren, kiedy już jego twarz odzyskała normalny kolor dzięki solidnemu łykowi piwa. – Ta sprawa mnie irytuje. Jest, za przeproszeniem, jak wrzód na tyłku. Wyrósł, gdzie wyrósł, i nic z nim nie można zrobić.

– Niewykluczone, że dalej rośnie – zauważył Münster.

– Tak, aż w końcu pęknie. Jak myślisz, kiedy?

Münster wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odpowiedział. – Rooth i deBries na nic nie trafili?

– Ani śladu. Te pajace z wojska wydają się trochę przewrażliwione na punkcie renomy szkoły, ale nie wygląda na to, żeby coś ukrywali.

– I nikt się nie odezwał w sprawie tych muzycznych telefonów?

Van Veeteren pokręcił głową.

– Parę osób poprosiło za to o ochronę policyjną.

– I co?

– Powiedzieliśmy im, że w pewnym sensie będziemy mieć na nich baczenie.

– Aha. A będziemy?

Van Veeteren się skrzywił.

– Przecież w pewnym sensie mamy baczenie na wszystkich obywateli. Nie wiesz, że to jedno z zadań policji?

Münster wypił łyk.

– Jedyne, co się dzieje w tym przeklętym śledztwie – ciągnął Van Veeteren, zapalając papierosa – to to, że Heinemann siedzi w jakiejś klitce i próbuje znaleźć wspólne ogniwo.

– Wspólne ogniwo?

– Między Malikiem a Maasleitnerem, oczywiście. Chyba zresztą Heinemann czuje się winny, że trop ze szkołą podoficerską tak niewiele wniósł do sprawy. No nic, zobaczymy.

– Zobaczymy – powtórzył Münster. – W końcu Heinemann jest dobry w natykaniu się na różne rzeczy. A co pan o tym sądzi, komisarzu?

Van Veeteren zaciągnął się i wypuścił dym nosem. Jak smok, pomyślał Münster.

– Nie wiem, co sądzę. Ale czuję się cholernie nieswojo, wiedząc, że zabójca może sobie robić, co chce. Coś się wkrótce wydarzy, to jasne jak słońce.

– Naprawdę?

– Nie rozumiesz? – Van Veeteren ze zdziwienia uniósł brwi. – Chyba sobie nie wyobrażasz, że skończy się na tych dwóch zabójstwach?

Na Maliku i Maasleitnerze. Im słabszy związek między nimi, tym oczywistsze wydaje się, że tło sprawy jest szersze. Przecież zanim się skończy układankę, wiadomo, czy jest w niej sto, czy tysiąc puzzli.

Münster przez chwilę się zastanawiał.

– Zatem co to za tło? – zapytał w końcu.

– Dobre pytanie, Münster. Dwa guldeny dla tego, kto odpowie.

Münster dopił piwo i zaczął ostentacyjnie zapinać kurtkę.

– Muszę się już zbierać. Obiecałem opiekunce, że będę za pół godziny.

– OK – westchnął komisarz. – OK, już idę.

– Co w takim razie robimy? – zapytał Münster, wjeżdżając na Klagenburg. – To znaczy poza czekaniem.

– Hmm – odparł komisarz. – Możemy jeszcze raz przesłuchać tych znajomków Maasleitnera, jak sądzę. Przynajmniej na razie nie mamy nic lepszego do roboty.

– Tym razem zadamy więcej pytań?

– Więcej. O wiele, wiele więcej. Choć pewnie nie dostaniemy ani jednej dobrej odpowiedzi.

– Nie ma co się poddawać – powiedział Münster i zaparkował.

– Taaa. – Van Veeteren zaczął wysiadać. – Niech to, chyba naciągnąłem mięśnie.

– Gdzie?

– W całym ciele.

Powoli dotarło do niego, że po raz pierwszy zobaczył ją w niedzielę podczas meczu piłki nożnej, choć wtedy nie był jeszcze tego świadomy.

Na stadion wybrał się jak zwykle z Rolvem. Ona siedziała dwa rzędy za nimi, nieco z boku. Kobieta w dużych, brązowych okularach przeciwsłonecznych i pstrokatym szalu zakrywającym prawie wszystkie włosy. Wystawało spod niego kilka pasemek, zauważył więc, że jest brunetką. Około trzydziestki, to by się zgadzało. Wyglądała trochę staro, chociaż nie widział dokładnie jej twarzy.

Kiedy później próbował sobie ją przypomnieć i zrozumieć, co sprawiło, że ją zapamiętał, skojarzył, że podczas meczu kilka razy obracał się do tyłu. Siedział tam jakiś awanturnik, który się wydzierał i wyzywał sędziego. Inni czasami reagowali śmiechem, a czasami kazali mu się zamknąć. Wprawdzie Biedersen wtedy jeszcze nie wiedział, że to ona, ale musiał ją dostrzec właśnie w tych momentach, kiedy odwracał uwagę od gry.

Zatem nieświadomie, ale jednak zarejestrował w pamięci jej wygląd.

Miała też na sobie jasny płaszcz, ten sam, co przy drugim spotkaniu.

Cała reszta była za to inna. Nie miała okularów przeciwsłonecznych ani pstrokatego szala. Włosy nosiła upięte w kok. Cud, że mimo wszystko ją skojarzył. I dopiero wtedy się domyślił. Oba obrazy – ten ze stadionu i ten nowy – nałożyły się na siebie i w końcu zrozumiał.

Było to w poniedziałek podczas lunchu. Jak zwykle siedział w Miksie z Hennesym i Vargasem, kiedy pojawiła się w drzwiach. Przez chwilę stała przy kasie i rozglądała się. Chyba udawała, że wypatruje wolnego miejsca, ale on wiedział, że to jego szuka. A kiedy go zauważyła, jakąś minutę po tym, jak on zobaczył ją – została.

Nie ruszyła się z miejsca, tylko uśmiechała się nieznacznie do siebie i dalej rozglądała się po lokalu. Od czasu do czasu zawieszala na nim wzrok na sekundę lub dwie. Nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Zapewne nie dłużej niż kilka minut, ale jemu ta chwila się wlokła, zdawała się wręcz trwać dłużej niż cały lunch. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, o czym rozmawiał z Hennesym i Vargasem.

Jeśli miał jeszcze jakieś wątpliwości, to rozwiąło je wtorkowe przedpołudnie.

Około jedenastej wybrał się na pocztę przy Lindenplejn, żeby odebrać paczkę, a przy okazji wysłać kilka ofert do potencjalnych klientów w Oostwerdingen i Aarlach. Panna Kennan od poprzedniego poniedziałku miała grypę, a niektóre sprawy nie mogły czekać w nieskończoność.

Nie zauważył, kiedy weszła. W kolejkach przed okienkami tłoczyło się tylu ludzi. Ale nagle wyczuł jej obecność, gdzieś z tyłu, zupełnie jak na meczu.

Ostrożnie odwrócił głowę i od razu ją dostrzegł. Stała w kolejce obok, jakieś trzy, cztery metry za jego plecami. Znów miała na sobie szal i okulary, ale tym razem zamiast jasnego płaszcza założyła brązową kurtkę. Nie patrzyła w jego stronę, przynajmniej nie wtedy, kiedy ją obserwował, a na jej twarzy gościł lekki, nieobecny uśmiech. Biedersen odczytał to jako swoisty tajemny sygnał.

Po chwili namysłu opuścił kolejkę i wyszedł z budynku. Przeciął ulicę i wszedł do kiosku. Chował się w nim przez chwilę, mechanicznie przeglądając programy telewizyjne, po czym wrócił na pocztę.

Kobiety już nie było. Poza tym kolejka wyglądała identycznie. Facet w czarnej skórce, który stał przed nią, wciąż był na miejscu. Podobnie jak młoda imigrantka, stojąca z tyłu. Teraz między nimi nie było nikogo.

Biedersen myślał przez kilka sekund, po czym zrezygnował z załatwiania spraw i wrócił do biura.

Dwa razy przekręcił klucz w zamku i usadowił się za biurkiem. Wyciągnął notatnik oraz długopis i zaczął rysować symetryczne wzory. Nabrał tego zwyczaju jeszcze w szkole, a potem wracał do niego, kiedy coś zaprzętało mu głowę.

I kiedy tak siedział, wypełniając kolejne strony, zastanawiał się, czy kiedykolwiek przyszło mu się zmierzyć z większym problemem. Świadomość, że kobieta faktycznie go śledzi, że to właśnie ona, sama w sobie nie załatwiała sprawy. To, że ją zauważył, oznaczało tylko, że miał szansę. Niczym asa w rękawie, którego jeszcze nie mógł wyłożyć. Przede wszystkim, przekonywał sam siebie, za nic nie mogę się przed nią zdradzić. Ona nie może się zorientować, że wiem, kim jest i o co w tym wszystkim chodzi. To akurat było jasne.

Dość szybko uświadomił sobie też, że musi ją zabić. Im dłużej o tym myślał, tym wyraźniej dostrzegał nieuniknioną tę decyzję. Choć może tak naprawdę wiedział o tym od samego początku. Zadzwoił do Inningsa, ale ten nie odbierał. Może to i lepiej. Chyba nie wiedziałby, co mu powiedzieć i co kazać mu robić.

Postanowił, że lepiej będzie, jeśli kolejny krok lub dwa zrobi w pojedynkę. Tylko absolutnie żadnego pośpiechu, sprawa jest delikatna. Trzeba myśleć trzeźwo. To, że musi ją zabić, zanim ona zabije jego, oznaczało, że nie może jej zastrzelić ot tak sobie. Na ulicy. Zrozumiał, że ma do wyboru dwie możliwości: albo robi to w obronie własnej, zaczeka do ostatniej sekundy, nie unikając przy tym całego ryzyka i niepewności, albo... albo wyeliminuje ją tak, że nikt nie będzie go podejrzewał.

Krótko mówiąc, zamorduje ją.

Bez dłuższych rozważań postanowił postawić na opcję numer dwa.

To bardziej w moim stylu, pomyślał. A sytuacja też jest taka, a nie inna.

Kiedy wreszcie doszedł do tego wniosku, poczuł, jak coś budzi się w nim do życia. Jakby zaczęło w nim bić nowe źródło energii albo nowy puls. Chyba od początku przypuszczał, że tak się to skończy.

Nie miał wyjścia. Otworzył szufladę biurka i wyciągnął płaską butelkę whisky, którą zawsze miał w rezerwie. Wypił dwa łyki i poczuł, jak determinacja rozlewa się po całym ciele.

To w moim stylu... Nowy puls?

Oczywiście podjęcie decyzji nie było trudne, pytanie tylko, co dalej. Jednak kiedy około czwartej po południu wychodził z biura, wydawało mu się, że ma już gotowy scenariusz. Przynajmniej w zarysie.

Nie wiedział na pewno, ale miał nadzieję, że spotka ją jeszcze tego wieczoru. I kiedy pojawiła się w strugach deszczu przed pubem u Kellera, Biedersen poczuł w środku jakby krótkie spięcie. Tak jakby puls mu podskoczył.

Szybko odwrócił się w drugą stronę i zakrył twarz gazetą. Miał nadzieję, że wcześniej nie widziała go przez szybę.

Po chwili weszła do środka przez wahadłowe drzwi. Rozejrzała się po lokalu, dużym i zapełnionym gośćmi, i wypatrzyła wolny stolik w głębi, niemal poza jego polem widzenia. Jednak jeśli obrócił nieco krzesło i odchylił się do tyłu, mógł bez problemu śledzić jej poczynania. Wszystko wskazywało na to, że kobieta ma zamiar zamówić coś do jedzenia. On sam wpadł tylko na piwo. Powiesiła płaszcz na oparciu krzesła, długo i dokładnie przeglądała menu, po czym dość ceremonialnie złożyła zamówienie u smagłego kelnera.

Biedersen zdążył w międzyczasie zapłacić rachunek i kiedy kobieta dostała swoje danie, skorzystał z okazji i wymknął się do toalety z torbą w rękę. Zamknął się w kabinie i zaczął zakładać na siebie to, co miał w torbie: perukę (która przeleżała w piwnicy od wieczoru kawalerskiego kolegi sprzed ponad dwudziestu lat), wojskową parkę (którą zabronił nosić Rolvovi, dopóki mieszka z nimi pod jednym dachem) oraz okrągłe okulary, które sam nie wiedział, skąd ma. A do tego pistolet, pinchman, załadowany sześcioma ostrymi nabojami.

Przeglądając się w odrapanym lustrze, stwierdził, że przemiana jest równie udana jak dwie godziny wcześniej, kiedy to wypróbował cały ekwipunek w domowej łazience.

Nic nie wskazywało na to, że ten podstarzały hippis to odnoszący sukcesy i znany w mieście przedsiębiorca W.S. Biedersen.

Nic a nic.

Na wszelki wypadek postanowił, że zaczeka na nią na rynku. Przez niemal godzinę snuł się w tę i z powrotem na wietrze i lekkim, acz dokuczliwym deszczu. Po kilku okrążeniach kupił w kiosku papierosy, po kilku następnych hamburgera. Zadzwoił z budki do Inningsa. Od razu udało mu się uzyskać połączenie, ale ograniczył się do informacji, że coś może się szykuje i że odezwie się później. Od piątkowego spotkania nie zdecydował jeszcze, czy Innings stanowi dla niego pomoc, czy może raczej jest obciążeniem i należałoby trzymać go z daleka od sprawy. W każdym razie właśnie teraz Biedersen miał zamiar tak zrobić.

Wieczór był mokry i wietrzny, tak więc na rynku nie było zbyt wielu przechodniów, zresztą Biedersen ani swoim zachowaniem, ani wyglądem nie ściągnął na siebie niczyjego spojrzenia. Najwidoczniej ludzie uznali go za jednego z włóczęgów, którzy stanowili nieodłączny, acz uciążliwy element miejskiego krajobrazu. Słowem, kamuflaż idealny. Raz zresztą zaczepił go podobny typ, śmierzący starszy facet z niewyobrażalnie brudnym bandażem na rękę, ale wystarczyło, że Biedersen kazał mu zająć się własnymi sprawami, i koleś dał mu spokój.

Zegar na kościele wybił dziewiątą, kiedy kobieta wyszła wreszcie z restauracji. Kilka razy spojrzała w prawo i w lewo, a następnie szybkim krokiem przecięła rynek, przechodząc zaledwie parę metrów od niego, i wsiadła do autobusu stojącego na pętli.

Biedersen chwilę się zastanawiał, po czym ruszył jej śladem i też wszedł do autobusu. Zobaczył, że to linia jadąca do Hengeloo, kupił więc bilet na całą trasę. Ledwo zdążył usadowić się sześć miejsc za kobietą, kiedy autobus ruszył.

Zrozumiał, jak niewiele brakowało, żeby ją zgubił. Uświadomił sobie, że w tej grze może sobie pozwolić na minimalny margines błędu, dlatego postanowił, że w przyszłości będzie się trzymał tak blisko niej, jak się da.

Jechali na zachód, przez Legenbojs i Maas. Z początku w autobusie było około tuzina pasażerów, w większości starszych kobiet piastują-



cych w objęciach foliowe torby z zakupami. A do tego paru nastolatków siedzących z tyłu. Na uszach mieli walkmany nastawione na maksymalną głośność, tak że dźwięk piskliwych dyszkantów przebijał się przez monotony pomruk silników. Na trasie kierowca zatrzymywał się od czasu do czasu, zabierając kolejnych pasażerów. Zdarzało się też, że ktoś wysiadał, ale co najwyżej pojedyncze osoby. Dopiero kiedy autobus zajechał na plac w Berkinshaam, ponad połowa podróżnych wstała z miejsc i ruszyła do drzwi.

Kilka starszych pań zaczęło się gramolić z siatami i Biedersen na chwilę stracił kobietę z oczu. Kiedy wreszcie staruszki się odsunęły, ku swemu przerażeniu stwierdził, że miejsce, na którym siedziała, jest puste.

Wstał i spojrzał na przód autobusu, ale było jasne, że kobieta wysiadła. Próbował wypatrzeć ją przez boczne szyby, ale dostrzegł tylko odbicie swojej zmienionej nie do poznania twarzy na tle wnętrza autobusu.

W panice wybiegł na dwór i stanął na kiepsko oświetlonym rynku. Miał dość szczęścia, żeby zobaczyć – tak mu się przynajmniej wydawało – jej plecy; zniknęła właśnie w wąskim przejściu między ciemnymi, wysokimi domami.

Biedersen zarzucił torbę na ramię i pospieszył za kobietą. Kiedy doszedł do wylotu uliczki, w którą weszła, zdążył jeszcze zobaczyć, jak skręca za róg jakieś dwadzieścia metrów dalej. Przełknął ślinę. Zrozumiał, że rzucenie się za nią biegiem będzie nie najlepszym pomysłem. Zdołał opanować podniecenie i zwolnił kroku. Wetknął rękę do torby i upewnił się, że pistolet jest na miejscu. Odbezpieczył go i szedł dalej, nie wyjmując ręki z torby.

Kiedy doszedł do zepsutej latarni na rogu, zobaczył, że punkt, w którym zniknęła kobieta, to zaułek zakończony ścianą ogniową. Ślepa uliczka nie dłuższa niż dwadzieścia metrów. Na lewo wznosiła się jakaś fabryka lub magazyn, we wszystkich oknach było ciemno. Po tej stronie ulicy nie zauważył żadnego wejścia. Po drugiej stronie, na prawo, dostrzegł jedno. Była to brama czteropiętrowego domu. Kiedy do niej podszedł, zobaczył, że prowadzi na tylne podwórko słabo oświetlone światłem padającym z okien.

Biedersen się zatrzymał. Zrobił kilka kroków w głąb bramy i znów przystanął. Do nozdrzy cisnął mu się jakiś niemiły zapach. Czuć było wilgocia i zgnilizną. Nastawił uszu, ale usłyszał jedynie deszcz uderzający o blaszany daszek i dźwięk telewizora stojącego przy otwartym oknie. To pewnie z któregoś z wyżej położonych mieszkań od strony ulicy. O nogi otarł mu się kot.

Jasna cholera! – pomyślał, zaciskając dłoń na pistolecie.

Uświadomił sobie, że uczucie, które go ogarnęło, to nic innego jak tylko strach.

Blady, dojmujący strach.

Kiedy Innings wrócił ze spotkania z Biedersenem, natychmiast ukrył torbę z bronią w garażu, w szafce wypełnionej kłopotami. Ryzyko, że Ulrike lub któreś z dzieci tam zajrzy, było minimalne. Miał jednak szczerą nadzieję, że pistolet będzie mógł zostać tam na dobre lub przynajmniej do czasu, kiedy będzie się go można pozbyć.

Innings miał wrażenie, że jego umysł zamienił się w pole walki pomiędzy rozbieżnymi myślami i pomysłami. Kiedy siedział z Ulrike na sofie, oglądając film Fassbindera, starał się dostrzec pozytywy związane z najbardziej prawdopodobnym zakończeniem tego koszmaru, który teraz wydawał mu się jeszcze gorszy niż wcześniej. Jego myśli, niczym trzciny na wietrze, chwiały się to w tę, to w drugą stronę. W końcu poczuł, jak bardzo chciałby móc wyłączyć umysł, choćby na chwilę, żeby złapać oddech.

Choć akurat, jeśli chodziło o to, czego chciał i na co miał nadzieję, sprawa była zdecydowanie prostsza. Oczywiście z jego punktu widzenia najlepszy możliwy obrót wydarzeń byłby taki, że Biedersen po prostu załatwiłby wszystko w pojedynkę.

Wytropiłby tę wariatkę i unieszkodliwił ją raz na zawsze. Nie mieszając w to jego.

A biorąc pod uwagę, co usłyszał wtedy w restauracji – choćby o tych telefonach – taki scenariusz nie wydawał się chyba zupełnie nieprawdopodobny?

Raz po raz Innings dochodził do takiego wniosku, ale kiedy próbował go – jak i całą resztę swoich rozważań – krytycznie ocenić, jego osąd wahał się pomiędzy nadzieją a czarną rozpaczą. Właściwie jed-

nego mógł być pewny i tylko to przynosiło mu ukojenie.

Wkrótce coś się wydarzy.

Ten rozdział musi się zakończyć.

Za kilka dni, może tydzień, będzie po wszystkim.

Innej możliwości nie ma.

Wobec tych nadziei, które zakwitły w nim, gdy w piątkowy wieczór kładł się spać, bez wątpienia niemałym ciosem było to, że nic się nie wydarzyło.

Na sobotę i pół niedzieli przyjechali do nich goście, brat Ulrike z żoną i dziećmi. Przyziemne zajęcia i rozmowy odegnały nieco niepokój Inningsa. Przynajmniej czasowo, bo o wiele gorzej było, kiedy w niedzielę po południu goście wyjechali, a w domu zapanował spokój.

A jeszcze gorzej w poniedziałek, który upłynął pod znakiem niemrawej, zastygłej grozy. W nocy z poniedziałku na wtorek Innings niemal nie zmrużył oka, a kiedy o czwartej po południu wychodził z redakcji, czuł, że niektórzy zaczęli się zastanawiać, czy wszystko z nim w porządku.

Ulrike powiedziała, że trochę zaniepokoiła go tragiczna śmierć dwóch kolegów. Chyba uznała to za wystarczające wyjaśnienie jego dziwnego zachowania.

Wreszcie we wtorek wieczorem zadzwonił Biedersen. Oznajmił, że coś się święci, ale na razie nie ma powodu, żeby Innings wkraczał do akcji.

Więcej nie powiedział, obiecał tylko, że się odezwie. I chociaż ta wiadomość w dużej mierze była spełnieniem najskrytszych nadziei Inningsa, to jednak zaowocowała jeszcze większym napięciem nerwowym, a co za tym idzie, kolejną nieprzespaną nocą.

Oczywiście zareagował na to jego wrażliwy żołądek. Dzięki temu, kiedy w środę rano Innings zadzwonił do pracy, prosząc o chorobowe, miał przynajmniej konkretne uzasadnienie.

Kiedy Ulrike i dzieci wyszły, a on przysiadł nad gazetą, ogarnęło go poczucie ulgi, które jednak szybko minęło. Zrozumiał, że zapewne

podświadomie miał nadzieję znaleźć coś w prasowych doniesieniach. Na przykład, że w Saaren znaleziono kobietę, która zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach lub coś w tym stylu. Ale, rzecz jasna, na nic takiego nie trafił. Chociaż, Bogiem a prawdą, mało prawdopodobne było, żeby poranne gazety zdążyły zamieścić taką informację. Biedersen dzwonił w pół do dziewiątej, a więc jeśli coś się wydarzyło, to na pewno później. Dziennikarze nie mieliby więc szans, żeby zdążyć z takim newsem do druku. W końcu Innings od trzydziestu lat robił w tej branży, powinien więc wiedzieć.

Jeśli już, to w grę wchodziło radio. Włączył odbiornik i przez całe przedpołudnie nie opuścił ani jednego serwisu informacyjnego. Ale nic nie usłyszał.

Coś się święci, tak się wyraził Biedersen.

Ale co?

Odezwę się.

Ale kiedy?

Mijała minuta za minutą, godzina za godziną. Wreszcie pięć po dwunastej rozległ się sygnał telefonu.

Dzwoniła policja. Przez chwilę był tak zaskoczony, że omal nie stracił panowania nad sobą. Jakże był bliski wypowiedzenia im się ze wszystkiego. W końcu jednak do niego dotarło, że jeśli coś faktycznie się wydarzyło, to właśnie w ten sposób powinien się o tym dowiedzieć.

To znaczy, jeśli rzeczywiście znaleźliby martwą kobietę w Saaren i jakoś połączyli jej śmierć z wcześniejszymi zabójstwami, to naturalnie tak by zareagowali.

Objechaliby całą trzydziestkę, żeby wypytać, czy któryś z nich coś wie.

Doszedł do tego wniosku podczas rozmowy i kiedy później, czekając na policję, analizował jej przebieg, stwierdził, że chyba jednak się przed nimi nie zdradził.

Po prostu okazał lekkie zaskoczenie. Bo czegoż policja może jeszcze od niego chcieć? Zadać parę rutynowych pytań? Ach tak, oczywiście.

Kiedy jednak tak siedział i czekał, uświadomił sobie, że przecież jest jeszcze druga ewentualność.

Bo przecież Biedersen wcale nie musiał zabić tej kobiety.

Mogło być na odwrót, to Biedersen mógł być ofiarą. A w takiej sytuacji wizyta policji również byłaby uzasadniona.

Właściwie to nawet bardziej. Czuł, jak jego wewnątrz zaczyna ogarniać niezłomna pewność.

W rzeczy samej, w takim układzie wizyta byłaby bardziej uzasadniona niż wówczas, gdyby to Biedersen z sukcesem zakończył misję. I kiedy Innings otwierał drzwi policjantce, był przekonany, że wie, dlaczego wbrew obietnicy Biedersen jednak się nie odezwał.

Muszę zachować pozory, pomyślał. Cokolwiek by się działo, muszę zachować pozory.

Miał wrażenie, że wszystko wisi na włosku. Cienkim, cieniuteńkim. Wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia, musi się tego trzymać.

Policjantka usiadła na sofie z notatnikiem w ręku. Czekwała cierpliwie, aż Innings poda herbatę i ciastka. Właściwie wcale nie wyglądała, jakby zaraz miała mu zakomunikować coś strasznego, dzięki czemu chyba zdołał się nieco uspokoić.

– Proszę bardzo.

Usiadł w fotelu naprzeciwko niej.

– Dziękuję. Zatem mamy jeszcze kilka pytań.

– A coś się stało?

– A dlaczego tak pan sądzi?

Wzruszył ramionami. Policjantka wyciągnęła z torebki dyktafon.

– Będzie pani nagrywać? – zapytał zaniepokojony. – Ostatnia rozmowa nie była nagrywana.

– Stosujemy różne metody – odpowiedziała i posłała mu szybki uśmiech.

Innings pokiwał głową.

– No to zaczynamy – powiedziała i włączyła taśmę. – Czy poznaje pan tę muzykę?

VII  
15–23 lutego

Jeśli istniało coś, czego komisarz Van Veeteren nie cierpiał, to były to konferencje prasowe.

Podczas nich czuł się jak oskarżony postawiony przed sądem, a wyjaśnienia, jakich zazwyczaj mógł udzielić, przypominały wymówki i pokrętne tłumaczenia winnego. Według niego atmosfera panująca w czasie tego rodzaju spotkań z jednej strony wyrażała ukryty (a w takich sytuacjach gwałtownie dochodzący do głosu) lęk przed wszelkimi aktami przemocy, których dopuszcza się społeczeństwo, z drugiej zaś brak wiary w to, że policja nad podobnymi aktami zapamiętuje.

Tak samo było i tym razem. Sala zebrań na pierwszym piętrze pękała w szwach od dziennikarzy i reporterów. Niektórzy stali, inni siedzieli, jeszcze inni robili zdjęcia, wszyscy zaś prześcigali się w zadawaniu tendencyjnych pytań pełnych insynuacji.

On sam wraz z Hillerem musieli się wcisnąć za długi pilśniowy stół obłożony mikrofonami, kablami i nieodłącznymi butelkami wody mineralnej, które nie wiedzieć czemu towarzyszyły każdemu nagraniu telewizyjnemu z udziałem szefostwa policji. Reinhart twierdził, że to pewnie kwestia sponsoringu, i niewykluczone, że i tym razem miał rację.

Bo Reinhart często miał rację.

Niestety Van Veeteren nie mógł liczyć na wsparcie ze strony szefa policji. Kiedy bowiem ruszyła lawina pytań, Hiller jak zwykle rozsiadł się na krześle z założonymi rękami i z miną godną Sfinksa. Wszystkie odpowiedzi lekką ręką zlecał komisarzowi, który – jak nie omieszkał



podkreślić – był odpowiedzialny za prowadzenie śledztwa. On sam zaś był jedynie administratorem i koordynatorem.

Nie odmówił sobie jednak wygłoszenia wstępu. Wyprostowany, w granatowym niczym nocne niebo garniturze, każdą wypowiedź podkreślał, stukając srebrnym piórem w blat stołu.

– Ofiara to niejaki Karl Innings – wyjaśnił. – Jak udało nam się ustalić, zastrzelono go w jego domu w Loewingen wczoraj, czyli w środę pomiędzy wpół do pierwszej a wpół do drugiej. Innings był wtedy sam w domu, przebywał akurat na zwolnieniu z racji problemów z żołądkiem. Jak dotąd nie ustalono jeszcze, kim był sprawca. Do ofiary oddano pięć strzałów, trzy w klatkę piersiową i dwa w kroczę, najprawdopodobniej z berengera 75. Wiele wskazuje na to, że to ta sama broń, co przy dwóch poprzednich zbrodniach popełnionych ostatnio, czyli przy zabójstwie Ryszarda Malika i Rickarda Maasleitnera.

Tu Hiller zamilkł, ale wiadomo było, że ma więcej do powiedzenia, dlatego nikt nie zadawał jeszcze pytań.

– Nie jest zatem wykluczone, że mamy do czynienia z tak zwanym seryjnym zabójcą, ale między mężczyznami, którzy stracili życie, jest pewien oczywisty związek. Wszyscy trzej należeli do grupy trzydziestu pięciu kadetów, którzy w latach 1964–1965 przechodzili podstawowe szkolenie wojskowe w szkole podoficerskiej w Maardam, później przeniesionej do Schaabe. Obecnie koncentrujemy się na wykryciu, jakie przełożenie miało to na zbrodnie, jak również na zapewnieniu jak najlepszej ochrony pozostałym mężczyznom z tej grupy.

– Czy macie już jakieś tropy? – w tym momencie przerwała jakaś młoda redaktorka z lokalnej stacji radiowej.

– Za chwilę na wszystkie pytania odpowie komisarz Van Veeteren siedzący obok mnie – odparł uprzejmie Hiller. – Pozwólcie państwo, że zanim oddam mu głos, zaznaczę, iż będą państwo mieli dostęp do wszystkich informacji, w których posiadaniu jesteśmy. Mam też nadzieję, że wszyscy stoimy po jednej stronie w tej pogoni za bezwzględny zabójcą, z którym mamy tutaj do czynienia. Dziękuję.

To było wszystko, co miał do powiedzenia szef policji. Van Veeteren pochylił się do przodu i z gniewną miną spojrzął na zgromadzo-

nych.

- Zaczynajcie – oznajmił.
- Czy i w tym przypadku sprawca działał tak samo? – zaczął ktoś z tłumu.
- Jak to się stało, że policja nie zapewniła ofierze żadnej ochrony, skoro wiadomo było, że należy ona do tej grupy? – dodał ktoś inny.
- Jeśli chodzi o sposób działania... – zaczął Van Veeteren.
- Czy teraz wzmocniono ochronę? – przerwał mu trzeci głos.
- Jeśli chodzi o sposób działania – ciągnął niewzruszenie Van Veeteren – to tym razem był on nieco inny. Najwyraźniej ofiara wpuściła sprawcę do domu i zaprosiła go, lub ją, na herbatę i ciastka. To oczywiście wskazuje na to...
- Na co?! – krzyknął rudowłosy reporter z trzeciego rzędu.
- Może to wskazywać na to, że Innings znał zabójcę. W każdym razie wygląda na to, że czekał na jego przyjście.
- Czy to ktoś z grupy? – dociękał ktoś z redakcji „Allgemejne”.
- Nie wiemy – odpowiedział Van Veeteren.
- Ale przesłuchaliście ich wszystkich?
- Oczywiście.
- I zrobicie to jeszcze raz?
- Tak.
- A co z ochroną? – powtórzył ktoś.
- Nie mamy tylu ludzi – wyjaśnił Van Veeteren. – Objęcie całodobową ochroną trzydziestu osób wymagałoby naprawdę dużych zasobów.
- Czy to szalenie?
- Chyba trudno nazwać zdrowym kogoś, kto zabił trzy osoby.
- Czy w domu Inningsa były ślady walki? Bronił się?
- Nie.
- Jakie macie hipotezy? Chyba musicie mieć coś więcej?
- Czy macie już podejrzanego? – udało się wtrącić rudzielcowi. Van Veeteren pokręcił głową.
- Na razie nie mamy podejrzanych.
- Czy to mężczyzna, czy kobieta?
- Nie wiadomo.
- O co chodzi z tą muzyką w telefonie?

Van Veeteren wydmuchał nos.

– Mamy podstawy, by sądzić, że morderca dzwoni do swojej ofiary niedługo przed zabójstwem... dzwoni i puszcza do słuchawki pewną melodię.

– Jaką?

– Nie wiemy.

– Ale po co? Dlaczego dzwoni?

– Nie wiemy.

– A jak sądzicie?

– Pracujemy nad kilkoma możliwościami.

– Czy Innings też odbierał takie telefony?

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– Chyba zgłosiłby to policji?

– Można tak przypuszczać.

– Ale nie zgłosił?

– Nie.

Na chwilę zapadła cisza. Van Veeteren napił się wody.

– Ilu policjantów pracuje teraz nad sprawą? – zapytał Würagner z „Neuwe Blatt”.

– Wszyscy, których mamy.

– Czyli ilu?

– Około trzydziestu. Na różnym szczeblu.

– Kiedy będziecie mogli przedstawić jakieś rezultaty?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć.

– Czy ma to coś wspólnego z wojskiem? Związek między ofiarami by na to wskazywał.

– Nie wydaje mi się – odparł Van Veeteren po namyśle.

Starszy i niespotykany łagodny redaktor z telewizyjnego magazynu kryminalnego przez chwilę wymachiwał długopisem, aż wreszcie udało mu się dobrać do głosu.

– Z czym potrzebujecie pomocy? Ze zdjęciami?

Van Veeteren przytaknął.

– Tak. Chcemy, żebyście pokazali zdjęcie tej grupy i nazwiska wszystkich jej członków i żebyście wspomnieli o telefonach. Zachęć-

cie odbiorców, żeby kontaktowali się z nami, jeśli mają coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Dlaczego wcześniej nie upubliczniliście tej informacji? Przecież musieliście wiedzieć już po drugim zabójstwie.

– To nie było nic pewnego – odpowiedział Van Veeteren i westchnął. – To był tylko trop.

– Ale teraz jesteście pewni?

– Tak.

W głębi sali jeden z dziennikarzy, o posturze olbrzymia, z bujną siwą brodą, (Van Veeteren skojarzył, że to Vejmanen z „Telegraafu”) wstał i huknął donośnym głosem.

– A co z przesłuchaniem Inningsa? Jakie przyniosło rezultaty?

– Nadal sprawdzamy – odparł Van Veeteren. – Jutro przekazemy wszystkie szczegóły.

– Piękne dzięki – ryknął Vejmanen. – A kiedy spodziewacie się kolejnej ofiary?

Van Veeteren znów wydmuchał nos.

– Mamy zamiar schwytać sprawcę, zanim znów uderzy – odpowiedział.

– To wspaniale – stwierdził Vejmanen. – Jak mniemam, nie musicie się spieszyć. Ostatnia zbrodnia będzie newsem przez jakieś cztery, pięć dni. Może nawet tydzień.

Vejmanen usiadł, a tu i ówdzie na sali rozległy się śmiechy.

– Jeśli dobrze rozumiem – powiedziała kobieta, która, sądząc po stroju i makijażu, pracowała w telewizji – macie zamiar zapewnić jakąś ochronę pozostałym osobom z grupy, chociaż jedna z nich może być zabójcą. Czy to nie jest trochę pogmatwane?

– Bynajmniej. Niniejszym przyrzekam, że przestaniemy chronić mordercę przed nim samym w chwili, kiedy dowiemy się, kto nim jest.

– Czy sporządzono już profil sprawcy?! – krzyknął ktoś z tyłu.

– Nie potwierdzam.

– Ale sporządzicie go?

– Ja zawsze sporządzam profil sprawcy – dodał już łagodniej Van Veeteren. – Ale z reguły nie publikuję go w mediach.

– A dlaczego nie?

Komisarz wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Może to przez dość staromodne przekonanie, że do mediów powinny trafiać tylko fakty. Zaś hipotezy wolę zachować dla siebie. Przynajmniej własne. Coś jeszcze?

– Kiedy ostatnio nie udało wam się rozwiązać sprawy?

– Osiem lat temu.

– Chodzi o sprawę G.?

– Tak, ale to znana historia. Jak chyba sami zauważyliście, pytania są na coraz niższym poziomie. Chyba czas kończyć.

– Że co?! – wrzasnął rudzielec.

– To, co powiedziałem. – Van Veeteren wstał.

– Przecież to nieprawdopodobne! – powiedział Reinhart, kiedy dziesięć minut później wraz z Münsterem i Van Veeterenem spotkali się w gabinecie komisarza. – Morderca dzwoni do drzwi, ofiara go wpuszcza, a on siada na kanapie i popija herbatę. A potem wyciąga pistolet i strzela. Niemożliwe!

– I odchodzi sobie jak gdyby nigdy nic – dodał Münster.

– Wnioski – zakomenderował Van Veeteren.

– Innings go znał – powiedział Münster.

– Albo ją – wtrącił Reinhart.

– Myślisz, że strzały w krocze na to wskazują?

– Tak, właśnie tak myślę.

– Nawet jeśli to kobieta, to ten scenariusz wcale nie robi się bardziej prawdopodobny.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Heinemann.

– Co robicie? – zapytał i ostrożnie usadowił się w niszy okiennej.

– Tych dwóch tutaj w kółko powtarza, że to niemożliwe – mruknął komisarz. – A ja się zastanawiam.

– Aha – odparł Heinemann.

– A czym się zajmują inni? – zapytał Reinhart.

– Rooth i deBries pojechali przesłuchać sąsiadów, tym razem nieco dokładniej – odpowiedział Heinemann. – A Moreno i Jung zajmą się miejscem pracy ofiary, tak ustaliliśmy.

– Rzeczywiście – przytaknął Van Veeteren. – Wprawdzie poszukiwanie zabójcy wśród krewnych i przyjaciół denata w tym przypadku nie wydaje się zbyt sensowne, ale i tak trzeba ich przesłuchać. Może ktoś coś zauważył. Münster, ty możesz się nimi zająć.

Podał Münsterowi listę, którą ten zaczął powoli studiować, i ruszył w stronę drzwi.

– Heinemann – ciągnął Van Veeteren. – Proponuję, żebyś dalej szukał związku. W końcu teraz doszła trzecia ofiara. Miejmy nadzieję, że nie chodzi o całą grupę i że jest jakiś mniejszy wspólny mianownik.

Heinemann skinął głową.

– Wydaje mi się, że jest – powiedział. – Mam zamiar poprosić Hille-  
ra o pomoc w uzyskaniu informacji objętych tajemnicą bankową.

– Tajemnicą bankową? A po cholere? – zapytał Reinhart.

– Nie zaszkodzi sprawdzić – odparł Heinemann. – Jeśli ta trójka miała jakieś tajemnice, to na razie nic o nich nie wiadomo. A zazwyczaj takie sekrety można wytropić w wyciągach bankowych. Rozumiem, że pan komisarz nie ma dla mnie innych zadań?

– Nie – odpowiedział Van Veeteren. – Masz wolną rękę.

Heinemann pokiwał głową. Wetknął ręce do kieszeni i wyszedł, zostawiając Van Veeterena i Reinharda samych.

– Całkiem niegłupi facet – zaważył Reinhart. – Gdyby tylko nie to jego tempo.

Van Veeteren wyciągnął wykałaczkę i przełamał ją na pół.

– Reinhart – powiedział po chwili. – Będziesz tak uprzejmy i wyjaśnisz mi jedną rzecz?

– Dawaj.

– Jeśli jest tak, jak mówi Heinemann, to znaczy, jeśli ta trójka miała jakąś wspólną przestępczą przeszłość i jeśli wiedzieli, kim jest zabójca... to po jaką cholere Innings wpuścił go do domu i zaprosił na herbatę, zanim dał się zastrzelić?

Reinhart przez chwilę myślał, grzebiąc wykałaczką w główce fajki.

– Cóż – powiedział w końcu. – Sprawca, czyli on albo ona, musiał się przebrać, jak sądzę. Albo też...

– Tak?

– Albo też wiedzieli, kim jest sprawca, ale go nie znali. A to różni-

ca. No i to było dawno temu.

Van Veeteren przytaknął.

– Nie masz przypadkiem papierosa?

Reinhart rozłożył ręce.

– Niestety.

– A niech to szlag. Jeszcze kilka pytań. Muszę się upewnić, że nie błędę. Skoro sprawca ma na celowniku mniejszą grupę, to Innings musiał wiedzieć, że może teraz jego kolej. Albo chociaż przeczuwać. Nieprawdaż?

– Owszem. Zwłaszcza gdyby był ostatni.

Komisarz przez chwilę rozważał tę myśl.

– I też wiedział, kim jest sprawca?

– Albo przynajmniej kto za tym stoi. Bo to znów pewna różnica.

– Myślisz, że to możliwe, że Innings nie rozpoznałby kogoś z grupy?

Reinhart zapalił fajkę i przez chwilę myślał.

– Nie widzieli się od trzydziestu lat. My wiemy, jak wyglądają dziś, ale oni sami nie wiedzą. Może mogą się opierać tylko na tym starym zdjęciu... no i na wspomnieniach, rzecz jasna.

– Mów dalej – powiedział Van Veeteren.

– Mimo wszystko wydaje mi się, że ja rozpoznałbym kolegów z woja. I to bez trudu.

– Ja też – odparł komisarz. – Zwłaszcza jeśli ktoś jest przygotowany na takie spotkanie. Wnioski?

Reinhart zaciągnął się kilka razy.

– Jeśli faktycznie chodzi o mniejszą grupę, to zabójcą jest ktoś z zewnątrz – powiedział. – Albo ktoś go wynajął, ale to mało prawdopodobne.

Van Veeteren przytaknął.

– Więc uważasz, że to nikt z grupy?

– Tak. Jak już mówiłem, według mnie to kobieta, a o ile wiem, kobiety w grupie nie było.

– Czasami jesteś cholernie spostrzegawczy.

– Dzięki. Ale nie możemy zapominać o jednym.

– O czym?

– O tym, że może to kobieta, która ma zamiar ich wszystkich po-

zbawić życia. I może nic jej przed tym nie powstrzyma.

– Bo chyba mało co może powstrzymać kobietę – westchnął Van Veeteren. – Chyba że my. To co, rozwiążemy tę sprawę?

– Czas najwyższy – odparł Reinhart.



Loewingen, miejsce ostatniej zbrodni, leżało jakieś trzydzieści kilometrów od komendy. Wsiadając do samochodu, żałował, że w grę nie wchodzi większa odległość. Kilkugodzinna jazda dobrze by mu zrobiła. Już od rana bowiem czuł neodpartą potrzebę bycia w ruchu – najlepiej jednostajnym i długotrwałym. A do tego przydałby się szary, ciężki od deszczu krajobraz, zupełnie jak ten tutaj. I godziny na rozmyślanie.

Na razie musiał zadowolić się minutami, które jednak udało mu się wydłużyć do pół godziny, ponieważ pojechał objazdem przez Borsens i Penderdixte. Jako sześć-, siedmiolatek spędzał tam wakacje.

Wizytę przełożył na piątek z dwóch powodów. Po pierwsze, Münster i Rooth rozmawiali z Ulrike Fremdli oraz trójką nastoletnich dzieci Inningsa już w środę wieczorem, a lepiej, żeby policja nie nachodziła ich codziennie. Po drugie wczoraj i tak miał co robić.

I to całkiem sporo. Po południu wraz z Reinhartem zabrali się do karkołomnego zadania, jakim było zapewnienie ochrony osobom jeszcze niezamordowanym (przy którym to określeniu upierał się Reinhart).

Bez wątpienia piątka zamieszkała za granicą stanowiła najwrdziejczniejszą grupę. Po krótkiej dyskusji postanowili ich na razie pominąć. W komunikacie, który rozesłali do wszystkich, powiadomili ich o tej decyzji, zaznaczając przy tym, że gdyby czuli się w jakikolwiek sposób zagrożeni, powinni zwrócić się do najbliższego komisariatu policji w swoim kraju.

Bo, jak zauważył Reinhart, są pewne granice.

Podobnie postąpili z osobami zamieszkałymi na terenie kraju, ale poza dystryktem Maardam. Reinhart spędził trzy godziny, obdzwaniając kolegów po fachu z innych regionów i po prostu nakazując im chronić tego lub innego delikwenta przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

Nie było to bynajmniej przyjemne zadanie, tak więc po jego wykonaniu Reinhart wszedł do gabinetu Van Veeterena i poprosił o przeniesienie do drogówki. Komisarz odrzucił tę prośbę, ale zaznaczył, że gdyby był zmuszony to zrobić, to chyba zwymiotowałby do kosza na śmieci.

To był właśnie taki dzień.

W samym dystrykcie Maardam znajdowało się obecnie trzynaście potencjalnych ofiar. Specjalnie dla nich komisarz zebrał oddział złożony z wszelkiej maści stażystów i konstabli, zwierzchnictwo nad nim powierzając niestrudzonemu Widmarowi Krause.

Kiedy już wszystko było gotowe, Van Veeteren rozparł się w krzesło i spróbował oszacować, na ile skuteczna będzie ta skądinąd kosztowna ochrona. Doszedł do wniosku, że to w sumie jak z prezerwatywą – można z, można i bez.

Ale przecież, przekonywał sam siebie, fikcyjna czy też raczej symulowana ochrona i tak jest lepsza niż żadna. Choćby dlatego, że dzięki niej on sam będzie kryty.

Resztę popołudnia i wieczoru Van Veeteren, Reinhart i Münster spędzili na dalszych rozważaniach o charakterze i tożsamości sprawcy oraz na opracowywaniu systemu, według którego po raz kolejny mieli przesłuchać dwudziestu pięciu jeszcze niezamordowanych (także w tym przypadku postanowili wykluczyć tych z zagranicy, przynajmniej na razie). Dodatkowo co chwilę przerywał im któryś z dyżurnych lub panna Katz, przynosząc informacje od obywateli, które zaczęły spływać, mimo że od konferencji prasowej minęło zaledwie parę godzin.

Około ósmej Reinhart nie wytrzymał.

– Walić to! – krzyknął, rzucając kartkę, którą akurat czytał. – Nie da się myśleć, kiedy człowiek bez przerwy musi harować.

– Możesz nas zaprosić na piwo – powiedział Van Veeteren.

- Dobra. Papierosa też pewnie byś chciał?
- Co najwyżej kilka – odparł skromnie komisarz.

I właśnie to zaprzętało mu głowę przez połowę drogi do Loewingen.

Nie powinienem palić, pomyślał.

I piję za dużo piwa.

Ani jedno, ani drugie nie wychodzi mi na dobre, a już na pewno nie papierosy. Niemal rok temu, po operacji na raka jelita grubego, jakiś lekarz naiwnie oznajmił mu, że jedna, dwie szklanki piwa od czasu do czasu nie zaszkodzą. Van Veeteren natychmiast wyrzył sobie tę radę w pamięci; wiedział, że nigdy jej nie zapomni, choćby miał dożyć stu dziesięciu lat.

A co do papierosów, to przecież jak człowiek sobie czasem zapali, to chyba lepiej mu się myśli?

Tak czy inaczej, trochę częściej powinienem grać z Münsterem w badminton. No i uprawiać jogging. Niech no tylko to przekłete przeziębienie się skończy.

Dopiero kiedy minął znany sobie z dzieciństwa dom w Penderdixte, skierował myśli na inne tory i zaczął analizować śledztwo. To cholerne śledztwo.

Trzy zabójstwa.

Trzech mężczyzn zastrzelonych z zimną krwią.

W ciągu niecałego miesiąca.

Niewątpliwie to ostatnia zbrodnia wymagała największej brawury. Jakkolwiek by na to patrzeć, jakiegokolwiek założenia przyjąć, po prostu nie dawało się tego złożyć w logiczną całość.

Pytania były oczywiste.

Czy wśród ponad trzydziestu kadetów istniała jakaś mniejsza grupa? (Daj Boże! – wyrwało się poprzedniego dnia Reinhartowi nad piwem, a musiało to o czymś świadczyć, bo Reinhart nie miał w zwyczaju odwoływać się do sfery sacrum).

A jeśli nie, jeśli morderca czyhał na życie wszystkich, to musi być szaleńcem kierującym się jakimś niepojętym, irracjonalnym, może chorym motywem. Bo przecież nikt nie może mieć dobrego powodu, żeby zabić trzydzieści trzy osoby, jedną po drugiej.

Przynajmniej nie w mniemaniu komisarza Van Veeterena.

A taki wyrachowany szaleniec był ostatnim przeciwnikiem, jakiego by sobie życzyli, co do tego byli zgodni.

Ale jeśli jednak mniejsza grupa istnieje?

Van Veeteren wyłuskał z kieszeni dwie wykałaczki i włożył między zęby, ale po sekundzie rzucił je na podłogę i zapalił papierosa.

W takim razie, pomyślał po pierwszym wyostrzającym koncentrację buchu, Innings powinien być (a może musiał?) wiedzieć, że należy do grupy i że jest w niebezpieczeństwie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Mimo to wpuścił zabójcę do domu i bez mrugnięcia okiem dał się zastrzelić. Dlaczego?

Ale na tym nie koniec – teraz Van Veeteren zrozumiał, że może ciągnąć ten łańcuch hipotez – bo jest jeszcze drugie dno.

Otóż nedorzecznością było, by Innings wpuścił do domu osobę, o której wiedział, że chce go zabić. Najwidoczniej więc niczego się nie domyślał. Jeśli jednak wiedział, że jest w niebezpieczeństwie, to chyba mało prawdopodobne, żeby wpuścił do domu obcego?

Zatem, pomyślał komisarz, zwalniając, bo z przodu pojawił się traktor, Innings musiał znać osobę, którą zaprosił na herbatę i której pozwolił się zabić. Znać ją i ufać jej.

– Czyż nie? – rzucił Van Veeteren w powietrze, wyprzedzając wściekle wymachującego nań traktorzystę. – To musiał być ktoś znajomy!

Na tym jednak jego domysły się skończyły.

Westchnął i zaciągnął się głęboko niezbyt smacznym papierosem. Stwierdził, że czuje się jak idiota, który chce wyjść ze szpitala, a teraz mozoli się nad trzyklockową układanką, żeby pokazać lekarzom, że nadaje się do wypisu.

Niezbyt przyjemna wizja, ale jeśli Van Veeteren już jakieś miewał, to właśnie takie.

Niech to cholera, pomyślał. Mam nadzieję, że Reinhart rozwiąże tę sprawę.

Zabudowania Loewingen rozciągały się na sporym terenie. Znajdowało się wśród nich zaledwie kilka fabryk i zakładów, jeszcze mniej ka-

mienic i bloków, za to całe mnóstwo domków jednorodzinnych. I chociaż miasteczko miało rynek pamiętający średniowiecze, to było jednym z tych miejsc, w których się tylko mieszka. Kolejna przebrzydła monokultura typowa dla końca dwudziestego wieku, pomyślał Van Veeteren, kiedy wreszcie udało mu się znaleźć odpowiedni kwartał domków. Monotonnie i nudno, ale bezpiecznie.

To znaczy bezpiecznie jak bezpiecznie.

Ulrike Fremdli powitała go i posadziła na tej samej sofie, na której dwie doby wcześniej musiał siedzieć zabójca. Była dość postawną kobietą o brązowych, gładko zaczesanych włosach i twarzy, która kiedyś musiała być piękna. Pani Fremdli wyglądała na załamana i niewiele mówiła. Van Veeteren zastanawiał się nawet, czy nie jest na lekach uspokajających. W końcu nieraz widział ludzi w takim stanie.

– Napije się pan czegoś? – zapytała krótko.

Komisarz pokręcił głową.

– Jak się pani czuje?

Spojrzała na niego czarnymi oczami.

– Strasznie. Wysłałam dzieci do siostry. Wolę być sama.

– Radzi sobie pani jakoś?

– Tak. Ale proszę, niech pan przejdzie do zadawania pytań.

– Jak długo się państwo znali?

– Od 1986 roku. Zamieszkaliśmy razem półtora roku temu. Wcześniej jego była żona robiła problemy.

Van Veeteren przez chwilę się zastanawiał. Postanowił pominąć wszystko, co się da, i przejść do rzeczy.

– Chciałbym załatwić to jak najszybciej – powiedział. – Myślę, że się pani ze mną zgodzi. Mam zamiar złapać zabójcę pani męża i dlatego potrzebuję odpowiedzi na kilka konkretnych pytań.

Ulrike Fremdli pokiwała głową.

– To ważne, żeby odpowiadała pani zgodnie z prawdą.

– Proszę pytać.

– Dobrze. Czy według pani mąż wiedział, że jest w niebezpieczeństwie?

– Nie wiem – powiedziała po pełnej napięcia chwili. – Naprawdę nie wiem.

– Czy ostatnio nie był zaniepokojony?

– Był, ale przecież i tak miał ku temu powody, że tak powiem.

Jej niski głos nieco zadrżał.

– Powiem pani, co ja o tym sędzę – ciągnął Van Veeteren. – Myślę, że pani mąż należał do jakiejś mniejszej grupy, na której członków poluje zabójca.

– Grupy?

– Kilku osób, które coś łączyło przed trzydziestu laty, a może także i później. Na pewno istnieje jakiś związek między niektórymi z tej trzydziestki piątki. Co pani o tym sądzi?

– Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową.

– Czy mąż opowiadał o czasie spędzonym w wojsku?

– Nigdy. Oczywiście ostatnio o tym rozmawialiśmy, ale tylko trochę.

Van Veeteren przytaknął.

– Jeśli przypomni pani sobie coś, co mogłoby potwierdzić istnienie takiej grupy, to odezwie się pani?

– Oczywiście.

Podał jej wizytówkę.

– Może pani dzwonić bezpośrednio do mnie. Tak będzie prościej. Dobrze, następne pytanie. Orientuje się pani, czy mąż nawiązywał jakieś nowe kontakty w ciągu ostatniego tygodnia przed śmiercią? Spotykał się z ludźmi, których pani nie znała albo z którymi zazwyczaj się nie widywał?

Ulrike Fremdli chwilę myślała.

– Z tego co wiem, to nie.

– Proszę się dobrze zastanowić. Przemyśleć dzień po dniu, to pomaga.

– Spotykał różnych ludzi w pracy. W zasadzie widywaliśmy się tylko wieczorami.

– Nam chodzi właśnie o wieczory. Czy ostatnio nikt go nie odwiedzał?

– Nie wydaje mi się. Przynajmniej niczego takiego nie zauważyłam.

– Może któregoś wieczoru wyszedł?

– Nie... chociaż tak. W piątek. Wtedy wyszedł na kilka godzin.

– A dokąd?

– Do miasta. Do jakiejś restauracji. Spałam, kiedy wrócił.

– Z kim wyszedł?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewnie z kolegami z pracy. Może z Burgnerem.

– Nic nie mówił?

– Nie przypominam sobie. Byli u nas goście. Mój brat z rodziną przyjechali dość wcześnie w sobotę, więc chyba nie mieliśmy nawet okazji, żeby o tym porozmawiać.

– Często wychodził bez pani?

Pokręciła głową.

– Nie. Najwyżej raz w miesiącu. Zresztą razem też rzadko wychodziliśmy.

– Hm. I to tyle?

– Chodzi panu o to, czy już więcej nie wychodził?

– Tak.

– Nie, był w domu. Niech pomyślę... tak, w niedzielę, poniedziałek i wtorek był w domu.

Van Veeteren przytaknął.

– Rozumiem. A czy słyszała pani o tych telefonach?

– Czytałam o nich. Policjanci, którzy byli tu w środę, też o to pytali.

– I?

– I nic.

– Według pani nie odbierał takich telefonów?

– Nie wiem.

– No dobrze. – Van Veeteren rozparł się na sofie. – W takim razie mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy podejrzewa pani kogoś?

– Że co?! – wykrzyknęła. – Ależ o co panu chodzi?

Van Veeteren odchrząknął.

– Jednym ze szczegółów, które nas zastanawiają – wyjaśnił – jest to, że pani mąż ot tak sobie wpuścił zabójcę do domu. To oznacza, że mógł go znać. A skoro on go znał, to może także znała go i pani. W końcu byli państwo ze sobą od dziesięciu lat.

Ulrike Fremdli milczała. Van Veeteren widział, że wcześniej o tym nie pomyślała, ale też żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

wy.

– Obiecuje pani, że się pani nad tym zastanowi?

Skinęła głową.

– I nad tym, czy mąż przypadkiem czegoś nie przeczuwał. To bardzo ważne, a jakiś zwykły szczegół może nas naprowadzić na właściwy ślad.

– Rozumiem.

Van Veeteren wstał.

– Wiem, że to dla pani straszne. Spotykam się z takimi tragediami już od ponad trzydziestu lat. Może pani zadzwonić, nawet jeśli będzie pani chciała tylko porozmawiać. Jeśli nie, ja odezwę się za kilka dni.

– Byliśmy tacy szczęśliwi – powiedziała. – Powinnam była wiedzieć, że takie szczęście nie może trwać zbyt długo.

– Tak. Sam też tak czasami myślę.

I kiedy stał już na ulicy, próbując zrekonstruować trasę, jaką nadzedł zabójca, uświadomił sobie, że polubił Ulrike Fremdli.

Ot tak, najzwyczajniej w świecie.

– Po wszystkim łatwo jest połączyć fakty. Dopiero teraz człowiek uświadamia sobie różne sprawy – powiedział redaktor naczelny Cannelli.

– Na przykład jakie? – zapytał Jung.

– Na przykład to, że ostatnio coś go niepokoiło.

– Było to po nim widać?

Cannelli westchnął i wyjrzał przez okno.

– Kilka razy rozmawialiśmy dłużej. O rozmieszczeniu nagłówek, o materiale zdjęciowym i tym podobnych. Często nam się to zdarzało, nawet kilka razy w tygodniu. I przyznaję, że Innings miał problemy z koncentracją. Jakby myślał o czymś innym.

– Jak długo pan go znał?

– Pięć lat. Odkąd przejąłem redakcję od Windemeera. Innings był zdolny.

Jung pokiwał głową.

– Czy ostatnio nie spotykał się z jakimiś obcymi osobami? Czy w redakcji nie pojawił się nikt, kto mógł mieć związek z jego niepokojem?



A może wydarzyło się tu coś niezwykłego?

Kiedy skończył, uświadomił sobie, że to dość głupie pytanie. Posłał więc Cannellemu przepaszający uśmiech, na który ten odpowiedział wzruszeniem ramion.

– Panie inspektorze, to redakcja gazety. Całymi dniami ludzie wbiegają tu i stąd wybiegają. Obawiam się, że w tej kwestii panu nie pomogę.

– No cóż – powiedział Jung po chwili namysłu i zamknął notatnik.

– Jeśli coś pan sobie przypomni, i tak dalej...

– Oczywiście.

Moreno czekała na niego w samochodzie.

– Jak poszło? – zapytała.

– Nic z tego – odparł Jung.

– U mnie to samo. Z iloma osobami rozmawiałeś?

– Z trzema.

– Ja z czterema. Chociaż jak dla mnie jedno jest pewne – powiedziała Moreno.

– Co?

– Facet wiedział, że jest w niebezpieczeństwie. Dziwnie się zachowywał, wszyscy to powtarzali.

Jung przytaknął i odpalił silnik.

– Przynajmniej po fakcie się zorientowali – stwierdził. – Szkoda, że ludzie nigdy nie reagują na czas.

– Niby tak. Chociaż gdyby się chciało zająć każdym, kto sprawia wrażenie lekko zaniepokojonego, to nie starczyłoby już czasu na nic innego.

– Racja. Jedziemy na kawę? Dobrze nam zrobi na nerwy.

– Jasne.

Przez półtora dnia się wahała.

Pierwszy raz przeczytała o tym w czwartek wieczorem, kiedy w autobusie przeglądała gazetę. Jednak dopiero późno w nocy zrodziło się w niej podejrzenie. I to podczas snu, który nagle rozpląnął się, znikając w mrokach nieświadomości, a ona się obudziła i cała scena stanęła jej przed oczami.

Zajęta kabina telefoniczna na korytarzu. Czyjeś plecy za szarą szymbą. I magnetofon przystawiony do słuchawki.

Widziała to tylko jeden jedyny raz, i to trzy tygodnie temu. A jednak wciąż miała ten obraz w głowie. To było we wtorek wieczorem. Chciała akurat zadzwonić do kolegi z kursu, ale od razu się zorientowała, że telefon jest zajęty. Wszystko trwało nie dłużej niż parę sekund. Otworzyła tylko drzwi, wyjrzała na korytarz i cofnęła się do pokoju.

Pięć minut później telefon był już wolny i udało jej się zadzwonić, gdzie chciała.

Niesamowite, że ta krótka, nieistotna scena zapadła jej w pamięć. Kiedy teraz się obudziła, stwierdziła, że jak dotąd ani razu nie zdarzyło jej się o tym pomyśleć.

I to właśnie przez to – przez tę niejasność całej sytuacji – zaczęła się wahać.

W piątek po południu spotkała ją na schodach. To spotkanie też nie było w żaden sposób niezwykle. Zwykła codzienność, a jednak kiedy w sobotę wczesnym rankiem kolejny raz obudziło ją gwałtowne

wzdrygnięcie, zrozumiała, że te dwa z pozoru nieistotne obrazy nałożyły się na siebie.

Złąły się w całość, składając się na przeraźliwe podejrzenie.

Właściwie najpierw powinna była poradzić się Natalie, ale nie zastała jej w pokoju, bo Natalie wyjechała na weekend do rodziców. Po porannej przebieżce w parku (którą z racji deszczu musiała nieco skrócić), prysznicu i śniadaniu podjęła decyzję.

Coś (może strach? – zastanawiała się później) powstrzymało ją przed użyciem telefonu na korytarzu. Na policję zadzwoniła z budki przy poczcie.

Była godzina 9.34, a jej zgłoszenie przyjął stażysta Willock, który obiecał przekazać je dalej kolegom z wydziału śledczego i odezwać się do niej później.

Wróciła więc do siebie, żeby się pouczyć.

Poczuła ulgę, ale jednocześnie cała sprawa wydawała się jej nierealna.

Reinhart westchnął. Przez ostatnie dziesięć minut bohatercko próbował wytrzymać w pozycji półleżącej na zwykłym krześle biurowym, ale jedynym odczuwalnym skutkiem okazał się ból pleców. I to zarówno w łądźwiach, jak i na górze, między łopatkami. Van Veeteren siedział naprzeciwko, ciężko zwieszony nad biurkiem zawalonym stertą papierów, teczek, kubkami z resztkami kawy i połamanymi wykałaczkami.

– Nic nie mów – powiedział Reinhart.

Van Veeteren wymamrotał coś pod nosem i zaczął czytać kolejną kartkę.

– Bzdury – stwierdził po minucie i zgniótł papier. – Tu też nie ma żadnych faktów. Loewingen to, gdybyś nie wiedział, przedmieście dla klasy średniej. Wszystkie żony pracują, a dzieci chodzą do przedszkola. Najbliższa sąsiadka, która była w domu w czasie zbrodni, mieszka sześć domów dalej, zresztą akurat wtedy spała. Wszystko idzie jak po grudzie.

– Spała? – zapytał Reinhart nieco tęsknym tonem. – Przecież, do

cholery, była pierwsza po południu.

– To pielęgniarka, pracuje na noc w Gemejnte – wyjaśnił Van Veeteren.

– Słowem, próbujesz mi powiedzieć, że nie mamy świadków?

– Otóż to – potwierdził komisarz i zaczął dalej kartkować papiery. – Nawet kota.

– W każdym razie inni potwierdzili, że był zaniepokojony – powiedział Reinhart po chwili. – Wszyscy byli zgodni. Musiał wiedzieć, że jest w tarapatkach.

– Oczywiście. Możemy więc obstawić, że jest jakaś mniejsza grupa.

Reinhart westchnął jeszcze raz i wstał. Stał przy oknie i zaczął przez nie wyglądać.

– Cholerny deszcz – powiedział. – Że też człowiek nie może być jak bagno. Czyli nie trafiłeś na nic, czego można by się ucześcić?

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Münster. Skinął głową i usiadł na krześle, które zwolnił Reinhart.

– Wyszedł do miasta w piątek wieczorem.

– Innings? – zapytał Münster.

– Tak. Może uda się sprawdzić, gdzie był. Pewnie się okaże, że poszedł na piwo z kolegami, ale nigdy nie wiadomo.

– To co robimy? – zapytał Reinhart.

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Zlecimy to Moreno i Jungowi. Odwiedzą jeszcze raz jego miejsce pracy. Zobaczymy, czy znajdą kogoś, kto z nim wtedy był. I tyle. Ale zastanawiam się jeszcze...

– Nad czym?

– Żona mówiła chyba coś o mieście. Według niej był w restauracji w mieście. Ale czy chodziło jej o Loewingen, czy o Maardam?

– Loewingen to dziura, a nie miasto – stwierdził Reinhart.

– Możliwe – przyznał Münster. – Ale mają tam jakieś puby.

– Taaa – westchnął komisarz. – Ale to już zmartwienie Moreno i Junga. A gdzie oni w ogóle są?

– Pewnie w domu – odpowiedział mu Reinhart. – Podobno dzisiaj sobota.

– Idź do siebie, zadzwoń i obudź ich. Powiedz, że do poniedziałku

wieczorem muszę wiedzieć, gdzie i z kim był Innings. Niech dadzą z siebie wszystko.

– Z przyjemnością – odparł Reinhart i zniknął w drzwiach. W tej samej chwili do pokoju weszła panna Katz z dwoma grubymi plikami papierów.

– Doniesienia obywateli – powiedziała. – Od wczoraj wieczorem dostaliśmy sto dwadzieścia sztuk. Aspirant Krause już je posegregował.

– W jaki sposób? – zapytał Münster.

– Pewnie te same kategorie co zawsze – prychnął Van Veeteren. – Niedorzeczne i trochę mniej niedorzeczne. Münster, może je przejrzysz i przyjdiesz z tym do mnie za godzinę?

– Oczywiście – westchnął Münster i przechwycił papiery od panny Katz.

No dobra, pomyślał komisarz, kiedy już został sam. Machina pracuje. A czym to ja się miałem, do cholery, zająć?

Ach tak, godzinka w saunie, taki był plan.

– Wyjeżdżam na jakiś czas – powiedział Biedersen.

– Ach tak? – zdziwiła się jego żona. – Dlaczego?

– W interesach. Co najmniej na dwa, trzy tygodnie.

Żona spojrzała na niego znad płyty kuchennej. Właśnie miała ją wyczyścić nowym środkiem, który kupiła poprzedniego dnia, a który ponoć był bardziej skuteczny niż produkty innych znanych marek.

– Ach tak? – powtórzyła. – A dokąd?

– W różne miejsca. Między innymi do Hamburga. Muszę ponawiać trochę nowych kontaktów.

– Rozumiem – odpowiedziała i zaczęła szorować płytę, myśląc sobie, że w rzeczywistości to wcale tego nie rozumie. No ale co za różnica. Nigdy nie wtrącała się do interesów męża. Prowadzenie firmy importowej (a może już dwóch?) nie było łatwe i średnio ją ciekawiło. To nie dla takich kobiet jak ona. Odkąd wzięli ślub, byli bowiem zgodni co do jednego: każde zajmie się swoją działką. On zarabianiem, a ona domem i dziećmi.

Dzieci zresztą już się wyprowadziły i pozakładały własne rodziny, oparte na tym samym wzorcu.

A to oznaczało, że mogła poświęcić się innym zajęciom. Na przykład szorowaniu płyty kuchennej.

– A jak ci idzie? – zapytała.

– Ale co?

– No, interesy. Ostatnio wyglądasz na zdenerwowanego.

– Bzdura.

– Jesteś pewien?

– Jasne, że tak.

– To świetnie. Będziesz się odzywał z podróży?

– Oczywiście.

Kiedy jednak wyjechał, zastanowiła się, czy aby na pewno wszystko jest w porządku. Już od... – zaczęła wyliczać w myślach – wtorku wieczorem, kiedy to wrócił do domu dość poruszony, chodził rozdrażniony i poirytowany.

To właśnie tego dnia znaleziono ciało kolejnego z jego kolegów z wojska, a cała ta historia go przybiła. Oczywiście nie przyznał się do tego, ale ona i tak wiedziała swoje.

Może więc wyjazd dobrze mu zrobi. Zresztą jej też taka rozłąka nie zaszkodzi. Bo i ona nie o wszystkim mu mówiła, jak na przykład o tym, że bynajmniej nie zmartwił jej fakt, że będzie miała całą wille tylko dla siebie.

Nie mam nic, ale to nic przeciwko temu, pomyślała i zaczęła mocniej trzeć kuchenkę.

Kiedy komisarz wrócił z sauny, Münster już na niego czekał. I to chyba od jakiegoś czasu, bo zdążył się zaopatrzyć w kawę i poranną gazetę.

– No, to zamieniam się w słuch – powitał go komisarz i zasiadł za biurkiem.

Münster złożył gazetę i wyciągnął trzy żółte kartki.

– Dobrze by było, żeby przejrzał to ktoś jeszcze – powiedział. – Jak się czyta tyle bzdur, trudno zachować koncentrację. Na przykład jakiś facet dzwonił trzy razy, twierdząc, że to jego matka zabija.

– Serio? – zapytał Van Veeteren. – I jesteś pewien, że to nieprawda?

– Raczej tak. Facet przekroczył siedemdziesiątkę, a matka zmarła w 1955 roku. Dalej mamy kogoś, kto twierdzi, że był na miejscu, czyli w willi Inningsa, i wszystko widział. Sprawcą był jakiś olbrzymi cudzoziemiec z zagiętą szablą i w czarnej przepasce na oku.

– No proszę. I nie znalazłeś nic bardziej przydatnego?

– Ależ oczywiście, całą serię doniesień, które trzeba sprawdzić. Te trzy wydają się najciekawsze.

Podał kartki komisarzowi, który przestudiował je, przekładając przy

tym wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

– Ja zajmę się tym, ty weź te dwa. A inne interesujące doniesienia przekaż Reinhartowi, niech zleci komuś ich zbadanie.

Münster dopił kawę i wyszedł.

Van Veeteren zaczekał, aż zamkną się za nim drzwi. Potem spojrzał na kartkę i wykręcił numer.

– Katrine Kroeller?

– Chwileczkę.

Po minucie w słuchawce odezwał się dźwięczny dziewczęcy głos. Na pewno nie ma więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia lat, ocenił Van Veeteren.

– Słucham, tu Katrine Kroeller.

– Tu komisarz Van Veeteren. Złożyła pani doniesienie w związku ze śledztwem, które prowadzimy. Czy mógłbym do pani przyjechać i chwilę porozmawiać?

– Tak, oczywiście. Kiedy chce pan przyjechać?

– Teraz. – Van Veeteren spojrzał na zegarek. – To znaczy za dwadzieścia minut. Pani adres to Parkvej 31?

– Tak.

– W takim razie widzimy się za chwilę.

– Będę czekać. Mam nadzieję...

– Słucham?

– Mam nadzieję, że to nie będzie dla pana strata czasu.

– Zobaczymy. – Van Veeteren odłożył słuchawkę.

Powinna wiedzieć, ile z tego, co robimy, okazuje się stratą czasu, pomyślał. Potem zarzucił na siebie marynarkę i wyszedł.

Czekała na niego przy furtce. Tak jak się spodziewał, okazała się dwudziestolatką o skandynawskiej urodzie: długa szyja i jasne blond włosy związane w koński ogon. Ruszyli kamienną ścieżką do dużej, dwupiętrowej willi. Dziewczyna eskortowała Van Veeterena do jednego z wejść, trzymając parasol i uważając przy tym, żeby nie zepchnąć go na podmokły trawnik.

– Łatwo pomylić drzwi – wyjaśniła. – Pokoje wynajmują tu cztery osoby, a pani Klausner, właścicielka, mieszka na parterze.



Van Veeteren pokiwał głową. Zarówno po domu, jak i po ogrodzie było widać, że należą do majątnych przedstawicieli klasy wyższej, ale najwidoczniej i w tej grupie społecznej znajdują się tacy, których sytuacja przypiera do muru. Żeby się utrzymać, muszą podnajmować pokoje i robić tym podobne rzeczy.

– Proszę opowiedzieć, jak to było – poprosił, kiedy już usiedli w jej pokoju ze skośnym sufitem i niebieskimi tapetami. – Widziała pani kobietę, która przystawiała magnetofon do słuchawki. Dobrze zrozumiałem?

Przytaknęła.

– Tak, na korytarzu. Telefon jest dla lokatorów. Widziałam, jak przy nim stoi i trzyma magnetofon przy słuchawce. Taki malutki.

– Kto to był?

– Pani Adler, mieszka obok.

– Adler?

– Tak. Maria Adler. Jest nas tu cztery. Ale w zasadzie jej nie znam. Trzyma się z boku.

– Kiedy to się wydarzyło?

– Mniej więcej trzy tygodnie temu.

– Widziała ją pani tylko raz?

– Tak.

– A dlaczego zapamiętała pani tę scenę?

Zawahała się.

– Sama nie wiem. Wcześniej w ogóle o tym nie myślałam. Przypomniałam sobie, kiedy przeczytałam w gazecie o tych zabójstwach.

Van Veeteren zaczął się zastanawiać. Nie mógł zaprzeczyć, że Katri-  
ne Kroeller wygląda na wiarygodną dziewczynę. Spokojną, wyważo-  
ną, nieskłoną do przesady i hysterii.

Powoli, bardzo powoli w głowie zaczęła mu kiełkować myśl. Myśl, że może tym razem to właściwy trop. Może to już czas. Jeśli ta blade-  
lica dziewczyna wie, co mówi, a nic temu nie przeczy, to niewykluczone, że morderca jest właśnie tutaj. Że zabójca Ryszarda Malika,  
Rickarda Maasleitnera i Karela Inningsa jest za ścianą. Van Veeteren od razu poczuł krew pulsującą w skroniach.

W tej zacisznej willi, na eleganckim osiedlu. Między tymi wszystki-

mi lekarzami, adwokatami, przedsiębiorcami i Bóg wie kim jeszcze.

Więc jednak kobieta, tak jak twierdził Reinhart. No tak, sporo na to wskazywało. A już na pewno ten dreszcz, który Van Veeteren czuł zawsze, kiedy coś było na rzeczy. Ten sygnał, który oznaczał, że oto teraz, po wszystkich dniach umartwień i mozołu, sprawy przyjmują poważny obrót.

A właśnie teraz w głowie zapaliła mu się lampka alarmowa.

Migała na czerwono.

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że można znaleźć sto powodów, dla których ktoś przykłada magnetofon do słuchawki. I to sto lepszych powodów. Jednak nie miał ochoty ich teraz uwzględniać. Chciał, żeby wreszcie doszło do przełomu.

– Mieszka tam? – zapytał, ruchem głowy wskazując na ścianę.

Przytaknęła.

– Maria Alder, mówi pani?

– Tak.

– Nie wie pani, czy jest teraz w domu?

Katrine Kroeller pokręciła głową. Koński ogon aż się zakołysał.

– Nie. Nie widziałam jej dzisiaj. Ale ona raczej nie rzuca się w oczy, więc możliwe, że jest u siebie.

Van Veeteren wstał i zrobił w myślach szybką kalkulację. Zgodnie z wytycznymi w takiej sytuacji należało zadzwonić po posiłki. Powinno mu towarzyszyć co najmniej kilka osób. Bo może w pokoju obok siedzi osoba, która w ciągu miesiąca z zimną krwią zastrzeliła trzech ludzi. Miała broń, prawdopodobnie amunicję też, a co więcej, z reguły nie pudłowała.

On natomiast – właśnie to sobie uświadomił – nie miał nawet przy sobie pistoletu służbowego. Szczerze mówiąc, nigdy go nie nosił.

Zatem powinien zadzwonić. Ściągnięcie na miejsce czterech osób nie zajęłoby dużo czasu.

Rozejrzał się.

– Mógłbym to pożyczyć? – zapytał i chwycił podłużną drewnianą figurkę z regału. Chyba afrykańską. Była całkiem poręczna. Ważyła niecały kilogram.

– A po co to panu?

Nie odpowiedział, tylko wyszedł na korytarz. Katrine Kroeller ostrożnie ruszyła za nim.

– To te drzwi?

Przytaknęła.

– Niech pani wróci do siebie.

Dziewczyna wycofała się niechętnie.

Lewą ręką Van Veeteren powoli nacisnął klamkę, w prawej dzierzył figurkę. Zauważył, że trochę się spocił, zapewne przez poranną saunę.

Drzwi się uchyliły i wpadł do środka.

Po dwóch sekundach zorientował się, że pokój jest pusty.

To znaczy nie tyle pusty, co opuszczony. Lokatorka najwyraźniej nie miała zamiaru do niego wracać.

Wyprowadziła się.

– Niech to cholera!

Jeszcze chwilę tak stał, rozglądając się po chłodnym pokoju.

Żadnych osobistych drobiazgów. Żadnych ubrań. Żadnych naczyń w aneksie kuchennym. Łóżko zasłane, ale bez pościeli. Leżały na nim tylko poduszka, koc i narzuta.

– Niech to cholera – powtórzył i wycofał się do korytarza. Katrine Kroeller wytknęła głowę z pokoju.

– Wyniosła się – wyjaśnił Van Veeteren. – Niech pani pójdzie poszukać pani... jak się nazywa właścicielka?

– Pani Klausner.

– No właśnie. Proszę jej przekazać, że chcę z nią natychmiast porozmawiać. A swoją drogą, kiedy ostatnio widziała pani panią Adler?

Katrine Kroeller chwilę się zastanawiała.

– Chyba wczoraj... Tak, wczoraj po południu.

– Tutaj?

– Tak, na schodach. Minęłyśmy się.

Van Veeterenowi coś przyszło do głowy.

– Dobrze, proszę sprowadzić panią Klausner – powiedział. – A czy można stąd zadzwonić?

Katrine Kroeller otworzyła szklane drzwi, za którymi stał telefon i wykręciła jakiś specjalny kod.

– Proszę. – Podała mu słuchawkę.

- Dziękuję. – Van Veeteren zadzwonił na komendę.  
Po dwóch minutach dyżurnemu udało się złapać Reinharta.
- Chyba ją znalazłem – powiedział Van Veeteren. – Ale zwiąła.
- Ożeż! Gdzie?
- Deijkstraa. Parkvej 31. Przyjedź z kilkoma technikami. Trzeba ogarnąć odciski palców i całą resztę. I weź Münstera. Widzimy się za dwadzieścia sekund.
- Ależ będziemy za dziesięć – odparł Reinhart i odłożył słuchawkę.

– Która godzina? – zapytał Van Veeteren.

– Wpół do szóstej – odpowiedział Reinhart.

– Dobrze. Münster, podsumuj. A ci, którzy w tym czasie byczyli się w domach, niech słuchają uważnie.

Już jakieś pół godziny temu wszyscy stawili się w komplecie. Wszyscy z wyjątkiem Moreno i Junga, którzy mieli to szczęście, że nikomu nie udało się ich złapać przez całe popołudnie. Nadal była sobota, czternasty lutego, i oto w śledztwie nastąpił przełom.

Chyba.

Münster przekartkował notatnik.

– Zatem ta kobieta – zaczął – która przedstawiła się jako Maria Adler, wprowadziła się do pani Klausner, to znaczy do jednego z czterech wynajmowanych pokoi, czternastego stycznia. Czyli dokładnie miesiąc temu. Miała uczyć na trzymiesięczny kurs dla menedżerów w Elizabethinstitutet. Szkoła faktycznie oferuje taki kurs. I wprawdzie ruszył piętnastego stycznia, ale trwa tylko sześć tygodni, no i nie słyszeli tam o Marii Adler. Wprowadzając się, zapłaciła za półtora miesiąca z góry, nigdy nie wdawała się w rozmowy z innymi lokatorkami. Wygląda na to, że opuściła pokój na dobre wczoraj po południu albo wieczorem. Wpadliśmy na jej trop, ponieważ Katrine Kroeller, jedna z lokatorek, widziała, jak kobieta przystawia magnetofon do słuchawki telefonicznej. Kiedy przeczytała w gazetach o tych telefonach z muzyką, powiadomiła nas o tym zdarzeniu. I to na razie tyle.

– To wszystko, co mamy? – zapytał po chwili deBries. – Nie za wie-

le tego.

– Na razie nie mamy nic więcej – odparł Reinhart. – Ale to ona, czuję to.

– Do tej pory znaleźliśmy w kraju cztery Marie Adler – ciągnął Münster. – Ale to żadna z nich. Pewnie trafimy na jeszcze inne, ale możemy chyba wyjść z założenia, że kobieta występowała pod fałszywym nazwiskiem.

– A właścicielka nie sprawdziła, kogo przyjmuje do domu? – zapytał Rooth.

– Pani Klausner wierzy w dobrą naturę człowieka – wyjaśnił Reinhart. – Nie wie, ile lat miała kobieta, skąd pochodziła... nic. Dobra natura polega więc na tym, że płaci się czynsz z góry.

– Nasi technicy przeczesali pokój – dodał Münster. – Więc wkrótce możemy liczyć przynajmniej na to, że będziemy mieć jej odciski palców. Jeśli jest w rejestrze, to ją zidentyfikujemy.

– I tak po prostu związała? – zapytał Heinemann i podniósł okulary pod światło, żeby sprawdzić, czy wystarczająco je wytarł.

– Tak – odpowiedział komisarz. – To na to się wściekam. Gdyby ta dziewczyna zadzwoniła choćby wczoraj, a nie dziś, to już byśmy ją mieli.

– Typowe – stwierdził Rooth. – To jak ona wygląda?  
Reinhart westchnął.

– Ten nieszczęsny portrecista siedzi teraz u mnie z panią Klausner, dziewczyną, która dzwoniła, i jeszcze jedną lokatorką. Tkwi tam już od ponad godziny, ale twierdzi, że jeszcze trochę mu zejdzie.

– Czyli mamy tylko wymyślony portret? – zapytał deBries. – Nie mamy zdjęcia?

– Nie – odpowiedział Münster. – Ale trudno tu mówić o wymyślonym portrecie. Przecież one widywały ją średnio co drugi dzień, i to przez miesiąc. Portret będzie równie wierny, jak zdjęcie.

– No i jutro rano znajdzie się we wszystkich szmatławcach – dodał Reinhart.

– Hmm – wtrącił się Heinemann. – A jeśli to nie ona? Niewykluczone, że to jakaś kobieta, która uciekła od męża albo coś w tym stylu. Bo, jak rozumiem, na razie nie mamy żadnych dowodów.

Van Veeteren wydymuchał nos. Głośno i przeciągle.

– Cholerne przeziębienie – powiedział. – Tak, oczywiście masz rację. Ale zaryzykujemy. Ja też mam przeczucie, że to ona.

– Jeśli jest niewinna, to się do nas odezwie – stwierdził Reinhart.

– To działa w obie strony – zauważył deBries. – Jeśli nikt się do nas nie zgłosi, to możemy uznać, że to ona.

– Może wystarczy, że nieco zmieni wygląd – dodał Münster.

– Może tak – przyznał Van Veeteren.

Na chwilę zapadła cisza.

– Ciekawe, dokąd się wyniosła – powiedział w końcu Rooth.

– I dlaczego? – zastanawiał się Reinhart. – To zdecydowanie ważniejsze pytanie. Dlaczego zniknęła właśnie teraz?

– Na dzień przed tym, jak dostaliśmy powiadomienie – sprecyzował Münster.

– Niesamowite – powiedział Rooth. – Chociaż może po prostu skończyła swoją misję.

– Niewykluczone – odparł Van Veeteren, wpatrując się w nadgryzioną wykałaczkę. – Miała zamiar zabić tę trójkę i to zrobiła.

– Sprawdzaliście jej alibi? – zapytał Rooth. – To znaczy, czy nie ma żadnego? Jeśli faktycznie nie było jej w domu w czasie, gdy dokonywano zbrodni, to...

– Zaczęliśmy sprawdzać – wyjaśnił Van Veeteren. – Najpierw czekamy, aż portrecista skończy, a potem przesłuchamy jeszcze raz te kobiety. Chociaż podejrzewam, że niewiele jej pomogą. W tym domu nikt o nikim nic nie wie. Właścicielka czyta dwie powieści na dzień, a Maria Adler nie zadawała się z pozostałymi. Chyba że przez przypadek wpadły na nią o właściwej porze. Czy też może raczej niewłaściwej.

– Rozumiem – odpowiedział Rooth.

– A ten portrecista nie powinien już kończyć? – zapytał Reinhart. – Chyba narysowanie twarzy nie zajmuje pół dnia. Jest jeszcze kawa?

– Rooth – zakomenderował Van Veeteren. – Idź i sprawdź, jak im idzie. Powiedz mu, że zaraz musi kończyć, jeśli mamy z tym zdążyć do gazet.

– Dobra. – Rooth się podniósł. – Poszukiwana. Żywa lub martwa.

– Żywa – stwierdził komisarz.

– To już wszystkie – powiedział Jung, spoglądając na listę. – I co?

– W takim razie cała nadzieja w restauracji u Klummsa – stwierdziła Moreno. – Jeśli nie, to znaczy, że był w Maardam.

– A niech to. Ile restauracji jest w całym Maardam? Dwieście?

– Licząc z pubami i kawiarniami, pewnie dwa razy tyle. Superzadanie. Zwłaszcza że dostaliśmy je po tym, jak już przepytaliśmy jego kolegów z pracy. Dlaczego zostałeś policjantem?

– Bo jak się nie ma szans na bycie kimś, zostaje się policjantem. To co, zaglądamy do tej restauracji? Teoretycznie szansa jest. A potem podzwoimy i popytamy, czy ktoś z nim był. To znaczy, zanim zaczniemy sprawdzać bary w Maardam. Jak myślisz?

Moreno przytaknęła i zajrzała do notatnika.

– Ibrahim Jebardahaddan – odczytała. – Erwinstraat 16. To chyba w stronę tego kompleksu sportowego.

Piętnaście minut później Jung zadzwonił do mieszkania na pierwszym piętrze podniszczonego, dwupiętrowego bloku. Budynek wyglądał na lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte. Do tego charakteryzowały go odpadające tynki i w większości cudzoziemskie nazwiska na liście lokatorów. Otworzyła im śniada kobieta w średnim wieku.

– Tak, kogo państwo szukają? – zapytała z ostrożnym uśmiechem i mocnym akcentem.

– Ibrahima Jebardahaddana – powiedział Jung, który zarówno w samochodzie, jak i na klatce schodowej ćwiczył wymowę nazwiska.

– Proszę. – Kobieta zaprosiła ich do środka, do dużego pokoju, w którym siedział jakiś tuzin osób w różnym wieku. Na podłodze bawiły się dzieci. Z niewidocznych głośników dobiegała cicha muzyka instrumentów strunowych w tonacji moll. Na niskim, kwadratowym stoliku stał rząd barwnych potraw nałożonych do misek. W powietrzu wisiał ciepły, aromatyczny zapach.

– Ładnie pachnie – powiedział Jung.

– Dodam tylko, że jesteśmy z policji – wtrąciła Moreno.

– Policja? – zapytała kobieta, ale w jej głosie nie było słyhać przestachu, tylko zdziwienie. – Dlaczego?



– To rutynowa wizyta – wyjaśnił Jung. – Chcemy się czegoś dowiedzieć o jednej osobie. Możliwe, że była w restauracji, gdzie pracuje pan Jebardahaddan.

Jakiś młody mężczyzna wstał i przysłuchiwał się ich rozmowie.

– To ja – powiedział. – Pracuję u Klummsa. O co chodzi? Może przejdziemy do mojego pokoju?

Nie miał tak mocnego akcentu jak kobieta. Zaprowadził ich do małego pokoju, w którym w zasadzie nie było nic poza łóżkiem, niską komodą i kilkoma dużymi poduszkami. Jung wyciągnął zdjęcie Inningsa.

– Może nam pan powiedzieć, czy ten mężczyzna był u was w restauracji w piątek wieczorem w zeszłym tygodniu?

Jebardahaddan rzucił okiem na zdjęcie.

– Czy to Innings?

– Tak.

– Tak, zgadza się. Był u nas w zeszły piątek. Widziałem w telewizji, że go zastrzelono. No i w gazetach też. Poznaję go.

– Jest pan pewien? – zapytała Moreno.

– Na sto procent. Nawet mówiłem znajomym, że go wtedy widziałem i obsługiwałem. Kilka dni przed tym, jak go zabili. Tak, to było w piątek.

– Dobrze – ciągnęła Moreno. – A wie pan, z kim on tam był?

Ibrahim Jebardahaddan pokręcił głową.

– Nie, aż tak dobrze go nie widziałem. To był mężczyzna, siedział do mnie tyłem. Nie wiem, czybym go poznał.

Jung pokiwał głową.

– Nie szkodzi. To zapewne był jeden z jego kolegów. Możemy to sprawdzić inaczej. W takim razie dziękujemy.

Kobieta, która ich wpuściła, pojawiła się w progu. Na twarzy wciąż miała dyskretny uśmiech.

– Skończyli państwo? Jeśli tak, to musicie z nami zjeść. Zapraszamy.

Moreno spojrzała na zegarek, potem na Junga.

– Dlaczego nie. Będzie nam bardzo miło.

– Istotnie – dodał Jung.

Van Veeteren wpatrywał się w portret. Za nim tłoczyli się Reinhart, Münster i deBries.

– I to ona? – zapytał komisarz.

Bez wątpienia portret był dobrze zrobiony. Przedstawiał kobietę pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym rokiem życia. Miała krótko obcięte, proste włosy. Wąskie wargi, nieco zacięty wyraz ust. Okrągłe okulary, wzrok jakby nieobecny. Nos prosty. Całkiem sporo zmarszczek.

– Mówił, że oczy były najtrudniejsze – powiedział Rooth. – To zależy od chwili. Włosy w kolorze popielaty blond.

– Wygląda mizernie – zauważył Reinhart. – Mamy ją jakimś cudem w rejestrze?

– I czy już skończyli sprawdzać odciski palców? – zapytał Heine-  
mann.

– Tak sędę – odparł Münster. – Powinno ich tam być całe mnóstwo. W końcu mieszkała w tym pokoju przez miesiąc. Chyba najlepiej będzie, jeśli jak zwykle zajmie się tym deBries?

DeBries pokiwał głową. Komisarz wziął portret i spojrzał na niego z bliska.

– Tak się zastanawiam... – zaczął. – *Manon u źródeł...* w zasadzie czemu nie?

– Że co? – nie zrozumiał Reinhart.

– Nic – odparł Van Veeteren. – Myślę na głos. Dobra, Münster, dopilnuj, żeby ten portret trafił do każdej gazety w kraju.

Przez chwilę grzebał w papierach na biurku.

– Dołącz do tego ten komunikat – dodał. – A poza tym najlepiej zrobimy, jak pójdziemy teraz do domu się przespać. Jutro chcę was tu widzieć o dziewiątej. Zaleje nas fala informacji i spekulacji. Przy odrobinie szczęścia jutro będziemy ją mieć.

– Nie sędę – stwierdził Reinhart.

– A ja tak – odciął się Van Veeteren. – Staram się wlać w was trochę optymizmu i wiary w jutro. Dobranoc, panowie.

Niedziela osiemnastego lutego przyniosła ze sobą delikatny wiatr i pierwsze oznaki wiosny. To znaczy przyniosła je tym, którzy mieli czas, żeby je dostrzec.

Van Veeteren wstał o szóstej, mimo że do późna słuchał Sibeliusa i Kuryakina. Wyciągnął „Allgemejne” ze skrzynki na listy i stwierdził, że zdjęcie Marii Adler znalazło się na pierwszej stronie. Później poszedł do łazienki i wziął długi prysznic, podczas którego, polewając się coraz zimniejszą wodą, próbował wyobrazić sobie nadchodzący dzień.

Nie miał wątpliwości, że będzie równie długi jak poprzednie, ale wiedział też, że jest pewna szansa. Że może okaże się ostatnim dniem tego śledztwa. Mówiąc dokładniej, ostatnim, jeśli chodzi o ujęcie zabójcy... zabójczyni, bo inne sprawy będą się toczyć dalej: przesłuchania, areszt i wszystkie inne zawiłości maszyny prawnej. Ale to już coś zupełnie innego. Ważne, że polowanie dobiegnie końca. Nie znaczyło to, że na tym skończy się jego rola, niemniej jednak w takim momencie odpowiedzialność przejmą inni. Osoby na innych stanowiskach, lepiej dobrane do tego typu gry. Czy rzeczywiście ja tylko do tego się nadaję? – zastanowił się. Czy moja rola ogranicza się do wbicia zębów w zwierzynę i przyniesienia jej do stóp łowczego tudzież sędziego w czerwonej tudzież czarnej szacie? Czy kieruje mną tylko instynkt psa gończego?

Nonsens! – stwierdził i rozpoczął ostatni, już tylko zimny natrysk. Bzdurne porównania i tyle.

Wyszedł spod prysznic i ruszył na śniadanie. Świeżo parzona

kawa, jogurt i cztery tosty z masłem i serem. Rzadko kiedy rano był naprawdę głodny, ale dzisiaj przymusił się do jedzenia. Wiedział, że takiego dnia nie można zacząć od kawy i papierosa, którymi już od lat każdego poranka witał się ze światem.

W gruncie rzeczy jednak, pomyślał, wpatrując się w portret w gazecie, szansa na to, że będzie to dzień zwieńczony sukcesem, jest nikła. Może to tylko jego wymysł, płonna nadzieja, której potrzebował, żeby zmusić się do pójścia do pracy w niedzielę, i to w lutym.

Bo kto by nie potrzebował takiego wsparcia?

W każdym razie kobieta, którą dotychczas znał jako Marię Adler, wzbudzała w nim respekt (choć może respekt to nie najwłaściwsze słowo w tym kontekście).

Na pewno jednak w jakimś sensie mu imponowała. Ale i przerażała, rzecz jasna. Miał nieodparte poczucie, że ta kobieta ma pełną kontrolę nad tym, co robi. Po prostu uderzała, a potem się wycofywała, raz za razem, co świadczyło zarówno o zimnej krwi, jak i determinacji. Przez miesiąc mieszkała w willi pani Klausner i z drobiazgową precyzją przeprowadzała swoje akcje. A teraz zniknęła.

Wpatrując się w jej przeciętną, nieco zagadkową twarz, Van Veeteren próbował zrozumieć, co właściwie mogło oznaczać jej zniknięcie.

Może – jak ktoś już wcześniej zauważył – najzwyczajniej w świecie kobieta spełniła już swoją misję. Z jakiegoś powodu, o którym policja wciąż nie miała bladego pojęcia, chciała zabić właśnie te trzy osoby, a ponieważ jej się udało, zeszła ze sceny.

Albo, pomyślał, dosypując do jogurtu solidną porcję musli, zrozumiała, że niebezpiecznie będzie zostać w willi. Wiedziała (tylko skąd?), że pora zmienić kryjówkę.

Albo też – bo i takiej możliwości nie należało pomijać – postanowiła się przenieść bliżej kolejnej ofiary. Tak, żeby łatwiej móc uderzyć. Malik, Maasleitner i Innings mieszkali przecież w dogodnej odległości od osiedla Deijkstraa – dwóch w Maardam, a jeden o jakąś milę stąd. Jeśli więc na liście pani Adler było więcej osób, w tym także te, które mieszkały w innych miastach (a może i za granicą), to faktycznie kobieta miała dobre powody, żeby znaleźć sobie nową bazę wypadową.

Van Veeteren wgrzył się w tost. Jeśli poza tymi trzema możliwo-

ściami są i inne, stwierdził, to ja w każdym razie nie umiem teraz na nie wpaść. Wiedział dobrze, że numer dwa nie wyklucza numeru trzy i jeden, nie umiał jednak oszacować, która opcja jest bardziej prawdopodobna.

Może skończyła zabijać.

Może zwęszyła pogoń.

Może była na tropie ofiary numer cztery.

Kwadrans po ósmej komisarz był już po śniadaniu i po lekturze gazety. Kiedy spojrzął przez drzwi balkonowe na blade i niezbyt złowieszcze niebo, postanowił, że tym razem na komendę pójdzie pieszo.

Wyglądało na to, że przeziębienie już całkowicie odpuściło, postanowił więc miło zakończyć ten dobry początek niedzieli, której – jak wiedział – dziś nie będzie mu dane świętować.

Sprawy potoczyły się jednak jeszcze gorzej, niż sądził.

Do południa portret poszukiwanej Marii Adler zdołał już obieć wszystkie zakątki kraju. Nie widzieli go chyba jedynie niewidomi i ci, którzy odsypiali sobotnie imprezy.

Tak przynajmniej stwierdził Reinhart.

Już około jedenastej liczba powiadomień przekroczyła pięćset, a godzinę później było ich dwa razy tyle. Na komendzie cztery osoby zostały wyznaczone do odbierania telefonów, kilka kolejnych wstępnie przeglądało doniesienia, sortując je na dwie (później trzy) grupy pod względem ważności, a następnie materiał wędrował na czwarte piętro, gdzie Van Veeteren i inni starali się go ostatecznie oszacować i zdecydować, czy powezmą jakieś kroki, czy też nie.

Zgłosiły się do nich kolejne trzy Marie Adler (dołączając tym samym do czterech, które wcześniej znalazł Münster). Wszystko wskazywało na to, że żadna z nich nie miała nic wspólnego z zabójstwami. Zapewne tego dnia nieszczęśliwie cieszyły się z takiego nazwiska. Do tego jakaś nieszczęsna żona burmistrza z Frigge, choć nazywała się inaczej, była łudząco podobna do kobiety z portretu, w związku z czym doniosły na nią cztery osoby z miasteczka, a i ona sama zadzwoniła z płaczem zarówno do lokalnej policji, jak i na komendę w Maardam. Burmistrz zresztą też miał zamiar się do nich zgłosić.

Jednak przeważająca część powiadomień pochodziła od mieszkań-

ców osiedla Deijkstraa. Wszyscy donosili, zapewne zgodnie z prawdą, że w czasie ostatniego miesiąca, kiedy to poszukiwana Maria Adler mieszkała u pani Klausner, widzieli ją w różnych miejscach. W sklepi-ku, na poczcie, na ulicy, na przystanku i tak dalej, i tak dalej. I cho-ciaż te doniesienia były prawdziwe, to rzecz jasna na tym etapie nie-wiele wносиły do śledztwa.

Teraz liczyły się bowiem dwa typy zgłoszeń, co zresztą zaznaczono z naciskiem w komunikatach prasowych, telewizyjnych i radiowych.

Po pierwsze, takie, które pozwalałyby (bezpośrednio lub pośrednio) powiązać poszukiwaną z miejscami zbrodni.

A po drugie, takie, które mówiłyby, dokąd Maria Adler wyniosła się po opuszczeniu willi pani Klausner w piątek po południu.

Niestety, ze zgłoszeń, które wpłynęły do godziny dwunastej, zaled-wie parę dało się podciągnąć pod jedną z tych kategorii. Dwa mogły wskazywać na to, że około szóstej wieczorem Maria Adler wsiadła do pociągu jadącego na północ. Jeden świadek widział ją na stacji, drugi – na peronie, na którym akurat czekał na przyjaciela. Wprawdzie ko-bieta, którą zauważyli, nie do końca odpowiadała wizerunkowi z ga-zet, ale niewykluczone, że była to właśnie ona.

Jeśli oba zgłoszenia były prawdziwe, w grę mógł wchodzić pociąg o 18.30. Wpół do pierwszej Van Veeteren zdecydował się na przeka-zanie mediom dodatkowego komunikatu skierowanego do wszystkich podróżujących tym pociągiem.

W ciągu paru godzin kilkoro pasażerów skontaktowało się z policją, ale ich zgłoszenia nie okazały się zbyt przydatne. Były to raczej nie-istotne szczegóły i domysły, w związku z czym istniały przesłanki ku temu, by uznać trop pociągowy (jak nazwał go Reinhart) za niezbyt trafiony.

O trzeciej w grupie dowódczej dało się odczuć pewne zmęczenie. Wszyscy od rana siedzieli w dwóch sąsiadujących ze sobą pokojach – u Van Veeterena i Münstera, a papierów i kubków z resztkami kawy przybywało nieprzerwanie już od sześciu godzin.

– Cholera jasna – powiedział Reinhart. – Znów ta baba. Ta, co to widziała Adler na Bossingen, Linzhuisen i Oosterbrügge. Tym razem twierdzi, że spotkała poszukiwaną także w kościele w Loewingen.

– Powinniśmy sobie sprawić lepszą mapę – stwierdził deBries. – Taką z pinezkami, czy coś. Bo na przykład z Aarlach mamy sporo zgłoszeń. Chyba łatwiej by było...

– To weź Rootha i skombinujcie coś – zakomenderował Van Veeteren. – I idźcie z tym do ciebie, żebyście mieli spokój.

DeBries przełknął resztkę drożdżówki i poszedł poszukać Rootha.

– Beznadziejnie gówniana robota – powiedział Reinhart.

– Wiem, nie musisz mi przypominać – odparł Van Veeteren.

– Zaczynam wierzyć, że to najczujniej obserwowana kobieta w kraju. Bo już wszędzie ją widzieli, do cholery. W restauracjach, na meczach, na parkingach, na cmentarzach, w taksówkach, autobusach, sklepach i kolejkach do kasy w kinie.

Van Veeteren popatrzył na niego.

– Poczekaj... Powtórz, co powiedziałeś!

– Ale co?

– To co przed chwilą bełkotałeś.

– A niby po co?

Van Veeteren machnął ręką.

– Nieważne. Cmentarze.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do dyżurnego.

– Klempje? Natychmiast znajdź mi konstabla Klaarentofta! Czekam u siebie.

– O co ci chodzi? – nie zrozumiał Reinhart.

Tym razem wyjątkowo wszystko poszło jak trzeba i pół godziny później Klaarentoft dyskretnie zapukał do drzwi i wetknął głowę do pokoju.

– Pan komisarz chciał ze mną rozmawiać?

– Zdjęcia! – zawołał Van Veeteren.

– Jakie zdjęcia? – nie zrozumiał Klaarentoft, który robił średnio tysiąc zdjęć na tydzień.

– Z cmentarza oczywiście! Z pogrzebu Ryszarda Malika. Chcę je obejrzeć.

– Wszystkie?

– Jasne. Każde jedno.

Klaarentoft nieco się stropił.

– Chyba nadal je masz?

– Tak, ale dopiero zacząłem wywoływać. Nie mam jeszcze gotowych zdjęć.

– Klaarentoft. – Van Veeteren zrobił groźną minę i wymierzył w niego wykałaczkę. – W takim razie idź do laboratorium i się tym zajmij. I to już! Chcę je mieć za godzinę.

– Tak jest. Się robi – wydukał Klaarentoft i zniknął.

– A jak skończysz wcześniej, to też nic się nie stanie! – krzyknął jeszcze za nim Van Veeteren.

Reinhart wstał i zapalił fajkę.

– To się nazywa wydawanie rozkazu. Myślisz, że tam była, czy chodzi ci o coś innego?

Van Veeteren pokiwał głową.

– Mam przecucie i tyle.

– Czasami lepiej ich słuchać – stwierdził Reinhart i wypuścił z ust obłok dymu. – A jak idzie Jungowi i Moreno? Dowiedzieli się czegoś o piątkowym wieczorze Inningsa?

– Nie wiem. Na razie wiedzą, gdzie był, ale nie wiedzą z kim.

– A czym się zajmuje Heinemann?

– Siedzi u siebie nad wyciągami bankowymi. No i dobrze, bo całe to zamieszanie to dla niego trochę za dużo.

– Dla mnie chyba też, jeśli mam być szczery. – Reinhart znów usiadł na krześle. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ta Adler sama się do nas zgłosiła. Nie możemy o to poprosić w kolejnym komunikacie prasowym?

Rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem był to Münster. Wszedł i przysiadł na skraju biurka.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedział. – Ta kobieta nie może mieć więcej niż czterdzieści lat. A to znaczy, że miała najwyżej dziesięć, kiedy oni chodzili do szkoły wojskowej.

– Wiem – westchnął komisarz.

Reinhart podrapał się cybuchem w czoło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No nie wiem, myślałem, że sam wyciągniesz wnioski.



Klaarentoftowi przygotowanie zdjęć zajęło mniej niż czterdzieści minut. Kiedy już złożył je na biurku Van Veeterena, jeszcze przez chwilę stał w progu, jakby czekając na nagrodę. Monetę, coś do zjedzenia albo przynajmniej parę słów pochwały. Komisarz chciwie rzucił się na zdjęcia i nic nie widział, ale Reinhart zauważył pozę, którą przybrał skonfundowany konstabl, i głośno odchrząknął.

Van Veeteren podniósł wzrok.

– Dzięki, Klaarentoft – powiedział. – Świetna robota. To wszystko na dzisiaj.

– Dziękuję, komisarzu – odparł Klaarentoft i wyszedł.

Van Veeteren przeglądał połyskujące odbitki.

– Jest! – wrzasnął nagle. – I tu też! A niech mnie!

Szybko przejrzał resztę zdjęć.

– Reinhart, chodź tu! Spójrz! Mamy ją.

Reinhart pochylił się nad biurkiem i wpatrzył się w zdjęcia kobiety w ciemnym berecie i jasnym płaszczu. Na jednym było ją widać z profilu, na drugim *en face*. Chyba zrobiono je tuż po sobie, ale z różnych miejsc. Kobieta stała przy jednym z grobów i chyba czytała napis na omszałej płycie. Lekko się pochylała i wyciągała jedną rękę, żeby odchylić jakąś gałąź.

– No... – odparł Reinhart. – To na pewno ona.

Van Veeteren sięgnął po słuchawkę i połączył się z dyżurnym.

– Czy Klaarentoft już wyszedł?

– Nie.

– To zatrzymaj go, jak się tam u ciebie pojawi, i przyślij do mnie – rozkazał i się rozłączył.

Dwie minuty później Klaarentoft znów stanął na baczność w progu.

– Dobrze, że jesteś – powiedział Van Veeteren. – Załatwisz mi powiększenia tych dwóch zdjęć?

Klaarentoft wziął odbitki i rzucił na nie okiem.

– Jasne. Czy to...

– Tak?

– Czy to ona? Maria Adler?

– Nad tym chyba nie musisz się zastanawiać, Klaarentoft, po prostu weź się do roboty – wtrącił Reinhart.

- Wiedziałem, że z nią coś było nie tak.
- Chłopak ma nosa – powiedział Reinhart, kiedy Klaarentoft już wyszedł.
- Taaa – odparł Van Veeteren. – Pastorowi też zrobił dwanaście zdjęć, więc może i jego lepiej od razu aresztować.
- No wreszcie – westchnął Reinhart, kiedy zanurzył się w wannie za Winnifred Lynch. – Okropny dzień. A ty co porabiałaś?
  - Czytałam książkę.
  - Książka? A co to takiego?  
Winnifred się zaśmiała.
  - I jak wam idzie? Pewnie jeszcze jej nie złapaliście, co?
  - Nie. Dostaliśmy ponad tysiąc trzysta powiadomień, ale nie wiemy, gdzie jest i kim jest. Cholera, a już myślałem, że dzisiaj skończymy.
  - Hmm. – Winnifred Lynch odchyliła się do tyłu i oparła o jego klatkę piersiową. – Wystarczy, że założy perukę, i już jej nikt nie pozna. Ale nie macie żadnych śladów?
    - Może pojechała na północ. Niewykluczone, że wsiadła do pociągu. Jutro pogadamy z chłopakiem, któremu wydaje się, że siedział z nią w przedziale. Zadzwoił do nas tuż przed moim wyjściem.
    - Czyli będzie więcej ofiar?  
Reinhart wzruszył ramionami.
    - Nie wiem. Nie doszliśmy jeszcze do motywu.  
Winnifred Lynch przez chwilę myślała.
    - Pamiętasz, jak ci mówiłam, że to kobieta?
    - Pamiętam, pamiętam – odparł Reinhart z nutką irytacji w głosie.
    - Skrzywdzona kobieta.
    - Tak.
    - Kobietę można skrzywdzić na wiele sposobów, ale na jeden na pewno.
    - Gwałt?
    - Tak.
    - Ale ona miała najwyżej dziesięć lat, kiedy oni kończyli szkołę wojskową. Teraz ma maksymalnie czterdzieści, chyba się zgodzisz?

– Według mnie trochę mniej. Tak czy inaczej, kryje się za tym podobna historia.

– Bardzo możliwe. A nie mogłabyś zajrzeć nieco głębiej do swojej kryształowej kuli i powiedzieć nam, gdzie teraz jest Maria Adler? Zresztą, nie mówmy już o tym. Jaką książkę czytałaś?

– *Życie przed sobą.*

– Émile’a Ajara?

– Tak.

– I?

– Chyba chcę mieć dziecko.

Reinhart oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Nagle dwa zupełnie nieprzystające do siebie obrazy mignęły mu przed oczami. Tak szybko, że nawet nie zdążył zrozumieć, co znaczą.

O ile w ogóle coś znaczyły.

– A mogę ci je zrobić? – zapytał.

– Jeśli naprawdę chcesz.

– Zatem możliwe, że jechała tym pociągiem – powiedział Münster. – Chłopak wydaje się wiarygodny.

– To dobrze – stwierdził Van Veeteren. – Dokąd jechała?

Münster pokręcił głową.

– Niestety chłopak wysiadł w Rheinau, a ona została w pociągu. Czyli wiemy, że jechała dalej niż do Rheinau.

– Ale chyba widział ją ktoś jeszcze? – zapytał Reinhart.

– W każdym razie powinien. W przedziale siedziała jeszcze jedna osoba, tak twierdzi ten Pfeffenholtz.

– Pfeffenholtz?

– Tak się nazywa. No więc był tam jeszcze ktoś, też jechał z Maar-dam. Jakiś skinhead. I on też jechał dalej niż Rheinau.

– No proszę – powiedział Reinhart.

– Ciemne okulary, walkman, jakiś magazyn – sprecyzował Münster.

– Osiemnaście, góra dwadzieścia lat. Cały czas jadł słodycze i miał krzyż wytatuowany nad prawym okiem.

– Swastykę? – zapytał Reinhart.

– Na to wygląda – westchnął Münster. – To co robimy? Szukamy go?

Van Veeteren się skrzywił.

– Swastyka i słodycze? No nie. Niech ktoś inny zajmie się łapaniem młodocianych nazistów. Ale ten Pfeffenberg...

– ...holtz – poprawił go Münster.

– Tak, Pfeffenholtz. Rozumiem, że sprawia wrażenie wiarygodnego?

Münster przytaknął.

– No dobra – podsumował Van Veeteren. – To idź teraz do siebie i wybierz z tej grupy kadetów tych, którzy wchodzą w grę... To znaczy tych, którzy mieszkają na północ od Rheinau. Wrócisz, jak będziesz gotowy.

Münster wstał i wyszedł z pokoju.

– Zastanawiałeś się nad motywem? – zapytał Reinhart.

– Od miesiąca się nad nim zastanawiam – odburknął Van Veeteren.

– Tak, i co mi o nim powiesz? Ja zaczynam się skłaniać w stronę gwałtu.

Van Veeteren podniósł wzrok znad biurka.

– Wyjaśnij.

– Tutaj musi chodzić o kobietę, która się za coś mści.

– Możliwe.

– Tak więc gwałt wydaje się prawdopodobny.

– Możliwe – powtórzył komisarz.

– Tylko że jej wiek trochę komplikuje sprawę. Musiała wtedy być bardzo młoda, była zaledwie dzieckiem.

Van Veeteren prychnął.

– Młodsza, niż sądzisz, Reinhart.

Reinhart zamilkł i przez kilka sekund wpatrywał się przed siebie.

– No tak – powiedział w końcu. – To jest jakaś możliwość. Mam nadzieję, że wybaczysz mi brak domyślności.

– Ależ oczywiście – odparł Van Veeteren i wrócił do układania papierów.

DeBries pojawił się w tym samym momencie co Moreno i Jung.

– Mogę pierwszy? – zapytał deBries. – To nie zajmie długo.

Van Veeteren skinął głową.

– Nie mamy jej w rejestrze.

– Szkoda – wtrącił Reinhart. – No, ale w obecnej sytuacji niewiele by nam pomogło, gdybyśmy znali jej tożsamość. Choć miło byłoby wiedzieć.

– Co z Inningsem? – zapytał Van Veeteren, kiedy deBries wyszedł.

– No więc tak – zaczęła Moreno. – Miejsce już namierzyliśmy. Był w restauracji u Klummsa w Loewingen, ale nie udało nam się jeszcze ustalić z kim.

– OK – odparł Van Veeteren. – To właśnie jest najważniejsze. Jak dokładnie sprawdziliście?

– Cholernie dokładnie – wtrącił Jung. – Przepytaliśmy wszystkich kolegów z pracy, przyjaciół i krewnych w linii prostej i pobocznej. Tamtego wieczoru nikt się z Inningsem nie spotykał.

Van Veeteren przełamał wykałaczkę. Wyglądał na dość zadowolonego. To znaczy na tyle, na ile mógł sobie teraz na to pozwolić, a za bardzo nie mógł. Mimo to Reinhart zauważył jego minę.

– Co z tobą? – zapytał. – Źle się czujesz?

– Hmm – odpowiedział Van Veeteren. – W każdym razie mamy świadków z restauracji?

– Tylko jednego kelnera – wyjaśniła Moreno. – A on nie widział zbyt dobrze towarzysza Inningsa. Powiedział nam tylko, że był to mężczyzna pomiędzy pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Siedział tyłem.

– Wyobrażam sobie – stwierdził Van Veeteren. – Weźcie te zdjęcia kadetów, oczywiście te nowe, i zapytajcie świadka, czy któregoś z nich rozpoznaje.

Jung pokiwał głową.

– Myśli pan, komisarzu, że Innings rozmawiał z jednym z nich?

Twarz Van Veeterena przybrała nieprzenikniony wyraz.

– Jeszcze coś – dodał. – Prosząc go o zidentyfikowanie tego mężczyzny, nie bądźcie zbyt szczegółowi. Jeśli będzie niepewny, niech poda trzy, cztery najbardziej prawdopodobne typy.

Jung znów przytaknął... Moreno spojrzała na zegarek.

– Dzisiaj? – zapytała z nadzieją w głosie. Było wpół do piątej.

– Teraz – odpowiedział Van Veeteren.

Kiedy wrócił do domu, zadzwonił Heinemann.

– Znalazłem powiązanie.

– Między czym a czym?

– Między Malikiem, Maasleitnerem i Inningsem. Mam mówić przez telefon?

– Zamieniam się w słuch.

– No dobrze. Przejrzałem wyciągi bankowe całej trójki i sprawa jest bardziej podejrzana, niżby się mogło wydawać. Niektóre banki, na przykład Spaarkasse, mają swoje, delikatnie mówiąc, dziwne rutyny. Dzięki nim przestępstwa finansowe to żadna zabawa. No ale chyba o to chodzi.

– Co takiego znalazłeś? – zapytał Van Veeteren.

– Hm, dostrzegłem pewne analogie.

– Jakie?

– Czerwiec 1976 roku – wyjaśnił Heinemann. – Ósmego czerwca Malik pobrał dziesięć tysięcy guldenów z konta głównego w Cuyverbank. Dziesiątego Maasleitner pobrał identyczną sumę ze Spaarkasse, a tego samego dnia Landtbank przyznał Inningsowi pożyczkę na dwaście tysięcy.

Van Veeteren chwilę myślał.

– Dobra robota, Heinemann – powiedział. – Myślisz, że na co to wskazuje?

– Nigdy nie wiadomo, ale niewykluczone, że w grę wchodził jakiś szantaż.

Van Veeteren znów się zamyślił.

– Wiesz, co to oznacza?

Heinemann westchnął.

– Tak, wiem.

– Musisz sprawdzić, czy inni z tej grupy też dokonywali podobnych transakcji w tym czasie.

– Otóż to – zgodził się Heinemann. – Ruszę z tym jutro.

– Głowa do góry. Zaczynij od tych, którzy mieszkają na północy, i może to wystarczy. Pogadaj z Münsterem, to jutro da ci listę.

– Tak jest. Ale teraz muszę się zająć małymi.

– Małymi? – zdziwił się Van Veeteren. – Twoje dzieci są już chyba dorosłe.

– Wnukami – westchnął znów Heinemann.

Proszę, proszę, pomyślał Van Veeteren, kiedy już odłożył słuchawkę. Grupa się kurczy, pętla się zacieśnia.

Wyciągnął piwo z lodówki. Nastawił *Wariacje Goldbergowskie* i usadowił się w fotelu. Na kolanach rozłożył zdjęcia i zaczął je studiować z pewnym zdziwieniem.

Trzydziestu pięciu młodych mężczyzn.

Pięciu nie żyje.

Trzech za sprawą tej kobiety.

Tej nieznacznie uśmiechającej się kobiety w ciemnym berecie i jasnym płaszczu. Lekko pochylonej nad grobem. Na lewym policzku miała niewielkie znamię. Van Veeteren nie przypominał sobie, żeby było je widać na portrecie z gazety, ale z drugiej strony było ono nie większe niż paznokieć na małym palcu.

Klaarentoft zrobił świetne powiększenie i kiedy Van Veeteren tak wpatrywał się w zdjęcie, w pewnej chwili miał wrażenie, że kobieta uniosła wzrok. Że popatrzyła na niego sponad nagrobka.

Spojrzeniem pełnym zawziętości. Nieco zwodniczym, ale przy tym poważnym.

W oczach widać było prawdziwą determinację.

Ile właściwie masz lat? – zastanawiał się Van Veeteren.

I ile osób jest na twojej liście?



Potem jednak nastąpił zastój.

Przecucie, że śledztwo, które właśnie wkraczało w drugi miesiąc, zmierza w dobrym kierunku, między innymi dzięki temu, że w weekend dowiedzieli się o niejkiej Marii Adler z willi na Deijkstraa oraz o wizycie Inningsa w restauracji – otóż to przecucie okazało się nieco przedwczesne. Zamiast prowadzić do namierzenia i schwytania sprawczyni trzech zabójstw, ich zbiorowe wysiłki zdawały się powoli, acz nieubłaganie gdzieś rozptywać.

– Coraz głębiej wchodzimy w mgłę – stwierdził Reinhart w czwartek rano.

Chcąc nie chcąc, komisarz musiał się z nim zgodzić. Tak zwanego tropu pociągowego, sugerującego, że Maria Adler wsiadła do pociągu ruszającego o 18.30 z Maardam na północ, nie dało się ani potwierdzić, ani wykluczyć. Zeznanie Pfeffenholtza, choć całkiem wiarygodne, niczego nie zmieniło. Opychający się słodyczami skinhead jak dotąd się do nich nie zgłosił. Żaden inny podróżny też nie. Może więc Maria Adler udała się do jakiegoś miasta na północ od Rheinau, a może nie.

Ale nawet jeśli tak było, to – jak zauważył Reinhart – co niby wskazywało na to, że Adler nadal tam przebywa? I na to, że jej podróży faktycznie przyświecał taki cel, jaki podejrzewali?

Nic a nic, jak Reinhart sam sobie odpowiedział na to retoryczne pytanie.

We wtorek po południu Jung i Moreno zgodnie z wytycznymi Van Veeterena kolejny raz przesłuchali Ibrahima Jebardahaddana z Lo-

ewingen. Z początku ten młody Irańczyk nie czuł się na siłach, żeby wskazać kogoś ze zdjęcia, ale kiedy Moreno przekonała go, że nie ma to większego znaczenia, wybrał pięć osób, które jego zdaniem mogły siedzieć z Inningsem tamtego wieczoru.

Kiedy komisarz zobaczył listę nazwisk, nie wydawał się szczególnie zadowolony, dlatego też w czwartek Jebardahaddan miał się stawić na kolejną rozmowę na komendzie.

Tym razem zdjęcia tej piątki wymieszano z podobiznami innych kadetów oraz trzydziestu zupełnie przypadkowych osób. Okazało się, że świadek wybrał dwie z pięciu wcześniej wskazanych twarzy. Jednakże obaj mężczyźni przebywali na południe od Maardam, jeden nawet w Afryce Południowej.

Kiedy Ibrahim Jebardahaddan chwiejnym krokiem wychodził z komendy, Moreno zauważyła, że po raz pierwszy założył okulary, w związku z czym wszyscy zgodnie stwierdzili, że także trop restauracyjny, przynajmniej na razie, okazał się ślepym zaułkiem.

Jeśli zaś chodzi o rozmowy z jeszcze niezamordowanymi (określenie Reinharta) – ich grupa liczyła obecnie dwadzieścia pięć osób (tych z zagranicy wykluczyli) – to w środę udało im się podsumować wyniki najnowszych przesłuchań. Większość była zgodna co do tego, że za czasów ich służby wojskowej Innings, jeśli chodzi o charakter, plasował się gdzieś pomiędzy Malikiem a Maasleitnerem. Był lubianym, kontaktowym i sympatycznym facetem, tak go zapamiętano. Ale ani z Malikiem, ani z Maasleitnerem nie łączyły go jakieś specjalne więzi.

Tyle zapamiętali koledzy.

Kilka osób odmówiło odpowiedzi, zdaniem lokalnej policji – z niejasnych powodów. Niektórzy podziękowali też za jakąkolwiek formę ochrony, z trzema zaś nie udało się w ogóle skontaktować, ponieważ akurat gdzieś wyjechali.

Jedyny związek między trzema ofiarami, jaki znaleźli, ograniczał się zatem do wykrytych przez Heinemanna operacji bankowych z czerwca 1976 roku. Jak dotąd jednak nie udało im się ustalić, czy w tym czasie jeszcze ktoś z grupy pobierał podobną sumę.

– To bardziej skomplikowane, niżby się mogło wydawać – wyjaśnił Heinemann, składając sprawozdanie na piątkowym zebraniu. – Wła-

ściwie za każdym razem, żeby mieć wgląd w konto, trzeba dostać nowe pozwolenie.

– Jasne – westchnął komisarz. – Wiemy przecież, czyich interesów strzegą. Czyli na czym stoimy? Reinhart?

– Utknęliśmy w martwym punkcie. Od zabójstwa Inningsa minęło dziesięć dni. Od zniknięcia Adler z Deijkstra – tydzień. Miała sporo czasu, żeby się ukryć.

– Według mnie ona już skończyła zabijać – powiedział Rooth.

– Według mnie nie – odparł Reinhart.

– Moglibyśmy mieć szczególne badanie na tych facetów z listy Münstera – stwierdził deBries. – To znaczy tych z północy.

– Myślisz, że gra jest warta świeczki? – zapytał Van Veeteren.

– Skądże – stwierdził Reinhart. – Jedyne, o co powinniśmy się teraz zatroszczyć, to o długi, wolny weekend.

– Czy ktoś ma coś przeciwko propozycji Reinharta? – zapytał Van Veeteren zmęczonym głosem, na co w pokoju zapadła martwa cisza.

– W takim razie, jeśli nie zdarzy się nic wyjątkowego, widzimy się w poniedziałek o dziewiątej rano. Nie zapominajcie, że mamy ponad dwa tysiące powiadomień do sprawdzenia.

Kiedy kilka godzin później komisarz wybrał się do klubu przy Styc-kargränd, w drzwiach wpadł na dozorcę Urwita targającego nieby-wale pijanego lekarza, specjalistę od infekcji.

– Muszę go stąd usunąć – wyjaśnił Van Veeterenowi. – Śpiewa, płacze i naprzykrza się paniom.

Van Veeteren pokiwał głową i pomógł mu znieść lekarza po schodach do taksówki. Zawsze coś, pomyślał z rezygnacją. Położyli pijanego na tylnym siedzeniu.

Urwitz obrócił się do Van Veeterena.

– Kojarzy go pan?

– Tak sobie. – Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Twierdził, że jego żona właśnie przyjmuje kochankę i dlatego nie może wrócić do domu. Myśli pan, że to prawda?

– Nie mam pojęcia. Ale skoro ma żonę, to tak czy inaczej dobrze, że go pan odsyła do domu.

Dozorca pokiwał głową, co jeszcze bardziej zaniepokoiło kierowcę taksówki.

– Panowie, albo się decydujecie, albo go stąd zabierajcie – powiedział.

– Niech go pan zawiezie na posterunek przy Zwille – postanowił Van Veeteren. – Proszę przekazać pozdrowienia od V.V. i powiedzieć im, żeby go miło podjęli i przenocowali.

– V.V.? – upewnił się kierowca.

– Właśnie tak – potwierdził Van Veeteren i taksówka odjechała.

– O tempora, o mores! – westchnął Urwitz i ruszył z Van Veeterenem do wejścia.

– Wyglądasz na umartwionego – stwierdził Mahler, kiedy już komisarz usiadł przy stoliku. – Zaczęłeś pościć?

– Post nie post, ja cały rok żyję jak asceta – odparł Van Veeteren. – Partyjka?

– Jasne. – Mahler zaczął ustawiać pionki. – O ile się orientuję, wasza nieuchwytna dama wciąż jest na wolności?

Van Veeteren nie odpowiedział. Duszką wypił piwo do połowy.

– A co do tego zdarzenia, o którym wtedy mówiliśmy, już wiesz, o co chodziło?

Komisarz skinął głową i wyrównał swoje pionki.

– Tak sędzę – powiedział. – Ale dopóki nie będę wiedział, kiedy dokładnie do niego doszło, tkwię w miejscu.

– Rozumiem – odparł Mahler. – Chociaż w sumie to nie – dodał po chwili.

– Nie szkodzi. I tak postanowiłem się wstrzymać i zaczekać kilka dni. Teraz jej ruch.

– Ma zastrzelić kolejną osobę?

– Miejmy nadzieję, że nie – westchnął Van Veeteren. – *À propos* ruchu...

– Dobra. – Mahler pochylił się nad szachownicą i zaczął się namyślać.

Kiedy Van Veeteren wyszedł z klubu wpół do pierwszej w nocy, miał

na swoim koncie dwa remisy i jedną wygraną, a ponieważ nie padało, poczuł – i to mimo wszelkich trudności toczącego się śledztwa – że mimo wszystko życie nie jest takie złe.

Kiedy jednak mijał Kongers Plejn, okazało się, że to pochopne założenie. Ledwo zdążył skrócić za róg, kiedy wpadł na bandę rozwrzeszczanych wyrostków, którzy najwidoczniej czekali na odpowiednią ofiarę.

– Ej, dziadu – warknął barczysty rudy chłopak obcięty na zapalkę, przypierając Van Veeterena do ściany. – Wyskakuj z kasy albo...

Wybieram albo, zdążył pomyśleć Van Veeteren, kiedy inny wymierzył mu cios w twarz. Van Veeteren od razu poczuł smak krwi w ustach.

– Jestem z policji – powiedział.

W odpowiedzi rozległ się rechot.

– Takich lubimy najbardziej – powiedział ten, który trzymał Van Veeterena w uścisku, a inni zgodnie zachichotali.

Ten drugi wymierzył mu kolejny już cios, ale Van Veeteren go sparował, jednocześnie kopiąc rudzielca w krok.

Rudy zwinął się wpół i jęknął.

– O ty dziadu – powtórzył ktoś z grupy i wyskoczył do przodu.

Van Veeteren potraktował go prawym sierpowym, trafiając w okolice nosa. W każdym razie usłyszał, jak coś chrzęści, niewykluczone, że chrząstka, a w tej chwili nie był w stanie stwierdzić, czy to nie jego knykcie.

Chłopak się wycofał, ale rzecz jasna na tym skończyły się sukcesy Van Veeterena. Pozostała, do tej pory nieposzkodowana trójka powaliła go na ziemię i zaczęła okładać.

Van Veeteren zwinął się jak jeź i pomiędzy ciosami i kopniakami, które na niego spadały, powtarzał w głowie:

Cholerni gówniarze! Jak was ojcowie pilnują?

Po chwili, może po dziesięciu, piętnastu sekundach, zostawili go i szybko poszli w drugą stronę.

– A niech to... – wystękał Van Veeteren i podniósł się ostrożnie. Czuł, jak krew cieknie mu z nosa i z rozcięcia nad brwią, ale kiedy poruszył rękoma i nogami, stwierdził, że nie odniósł większych obra-

zeń.

Rozejrzał się po placu.

I gdzie, do cholery, są świadkowie? – pomyślał i ruszył dalej w stronę domu.

Kiedy chwilę później przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze, utwierdził się w przekonaniu, że zawieszenie śledztwa na weekend było trafną decyzją.

Mało prawdopodobne, żeby z taką prezencją szef tchnął w podwładnych choć trochę entuzjazmu.

Potem zadzwonił na policję (jako osoba prywatna) i złożył doniesienie o pobiciu. Nalegał (już jako komisarz), żeby pozwolili mu osobiście poprowadzić parę przesłuchań, jeśli uda się dorwać tych młodocianych rozrabiaków.

– Czy to byli imigranci? – zapytał dyżurny.

– Nie – odparł Van Veeteren. – Raczej pakerzy z siłowni. A dlaczego niby mieliby być imigrantami?

Nie dostał odpowiedzi.

Kiedy już się wykąpał i położył do łóżka, stwierdził ze zdziwieniem, że podczas całego zajścia ani trochę się nie bał.

Był poruszony i zirytowany, ale nie wystraszony.

Pewnie jestem już na to za stary, pomyślał.

Albo potrzeba więcej, żeby mnie nastraszyć.

Albo też – przyszło mu na myśl, kiedy już zasypiał – nie boję się już o siebie.

Tylko o innych.

O społeczeństwo. Postęp.

Życie?

Przypomniała mu się też głupia zagadka, którą ostatnio uraczył ich Rooth.

Jak skombinować prosty generator zdarzeń losowych?

Włąć dwa piwa w kulturystę.

Potem zasnął.

VIII

16 lutego – 9 marca

Hotel Pawlewski swoje lepsze dni miał już za sobą, to samo zresztą dotyczyło się pana Pawlewskiego.

I jego gości.

Tych lepszych Pawlewski widywał przed pięćdziesięciu laty, kiedy to musiał stawać na podniszczonym niebieskim taboreciku, żeby móc sięgnąć głową ponad ladę recepcji. Wtedy to interes prowadzili jego ojciec i dziadek. Z kolei matka i babcia sprawowały rządy nad hotelową restauracją i składzikiem z bielizną, a do tego trzymały w ryzach kucharki i wypomadowanych bojów. Ale to było w pierwszej połowie wieku.

Od tego czasu jednak upłynęło wiele wody. Taborecik stał teraz pod rachityczną palmą w jadalni Pawlewskiego przerobionej z dawnego pokoju dla młodych par na piątym piętrze. A i od dwudziestu pięciu lat w hotelu nie pojawił się żaden boj.

Wszystko ma swój czas.

Pierwsze trzy wieczory Biedersen spędził w barze w towarzystwie kilku kolejek whisky oraz różnej maści klientów, których z grubsza można było podzielić na przypadkowych gości (zostawali na całą noc) oraz na małomównych stałych bywalców (wychodzili po godzinie). Sami mężczyźni. Wszyscy z przerzedzonymi włosami i prawie wszyscy przygarbieni, z brodą lub wąsami i wyblakłymi oczami. Biedersen nie zaprzętał sobie nimi głowy, a od poniedziałkowego wieczoru zamiast schodzić do baru, zaczął pić z gwinta w swoim pokoju.

Z tego też powodu dni płynęły monotennie, jeden podobny do drugiego. Wstawał w południe. Z pokoju wychodził godzinę później i spē-



dzał popołudnie na mieście, tak żeby sprzątaczką zdążyła swoją obecnością zaznaczyć początek kolejnej doby hotelowej. On zaś pił czarną kawę w jednej z kafejek, zazwyczaj w Güntherska u stóp wzniesienia, na którym leżało centrum. Próbował czytać jedną lub więcej gazet, szedł na długi spacer, kupował papierosy i butelkę na nadchodzącą noc. Zakupy wybierał pieczołowicie, co z jednej strony wydawało mu się nieco zbędne, z drugiej zaś konieczne. Jakby chodziło o jedną z podstawowych reguł gry, w której sam nie wiedział, czy jest graczem, czy pionkiem, a poza którą w tej chwili nic się wokół nie działo. Była tylko gra, nic więcej.

Kiedy tylko zaczynał zapadać zmierzch, Biedersen okrężną drogą wracał do hotelu. A zmierzch tutaj zapadał wcześniej, towarzyszył mu kwaśny deszcz i sadza z opalanych węglem pieców.

Potem, wyciągnięty na świeżo pościelonym łóżku, wsłuchując się w dźwięki gołębi wściekle gruchających na dachu, pił pierwszą porcję whisky. Następnie brał kąpiel z kolejną porcją ustawioną w dogodnej odległości od wanny. Schodził do restauracji i zjadał kolację, zazwyczaj jako jeden z pierwszych gości. Zdarzało się, że siedział sam w ogromnej, burej sali z kiczowatymi kryształowymi żyrandolami i nie pierwszej czystości obrusami. Do posiłku wypijał piwo, po nim – kawę lub koniak, i każdego kolejnego dnia zabawiał tam chwilę dłużej.

Próbował tak zabić kilka dodatkowych minut, skracając, ile się da, te przekłete, wlokące się godziny dzielące go od snu. I właśnie kiedy wracał z posiłków, idąc do baru lub do pokoju, widywał go Pawlewski. On sam, mniej lub bardziej niewidoczny, całe dni spędzał w portierni, z której mógł wszystko obserwować, konstatując, że to już nie te czasy co kiedyś.

Pawlewski nie zastanawiał się, kim jest ten gość i co robi w ich ponurym miasteczku w lutym. Jako dżentelmen i kontemplator takie pytanie przestał sobie zadawać już jakieś czterdzieści lat temu.

Z początku upicie się i zapomnienie były celami samymi w sobie. Odpląnąć, odlecieć i poczuć dystans – to przede wszystkim na to liczył, oddając się piciu. Świadomość, że oto potem będzie musiał wkroczyć

w inny stan i wypracować lepsze strategie działania, jak dotąd jeszcze drzemała gdzieś w jego głowie. Na razie niczym się nie przejmował, nic nie musiał. Dni i tak wypełniały mu jakże ważne działania i kroki, bez których nie mógłby co wieczór dostąpić łaski zaśnięcia w stanie błogiego upojenia.

Byłe przespać kamieniem osiem godzin i nie śnić. W zupełnej nieświadomości. Ponad wszystkim i wszystkimi. Rano budził się złany potem z bólem głowy tak silnym, że wszelkie inne doznania szły w ką. I tylko konieczność łyknięcia prochów na kaca i przygotowania się do popołudniowego wyjścia do miasta sprawiały, że czas, opornie, bo opornie, ale znów ruszał. I tak oto Biedersen wygrywał kolejną dobę.

Siódmej nocy to alkoholowe katharsis dobiegło końca. Wreszcie złapał dystans, zapanował nad strachem, a planowanie i strategie znów go wezwały.

Po tygodniu picia także możliwości wroga, przesiąknięte dającą zapomnienie whisky, zostały oszacowane na nowo. Biedersen znów ją zobaczył. Niepowodzenie wyprawy jej śladami do Berkinshaam i brutalne zabójstwo Inningsa umocniły pozycje wroga – w jego oczach zabójczyni stała się fantomem, którego nie da się powstrzymać, nadczołwiekiem. Jedyne, co mógł zrobić, to ukryć się i czekać. Zniknąć. Zapasać się pod ziemię.

To dlatego wyjechał. Stał się niewidzialny. Nie tylko schował głowę w piasek, ale też cały się zakopał. Z dala od wszystkich. Z dala od niej.

Jednakże dziewiątego dnia znów dzierżył w dłoni broń i zaczął patrzeć w przyszłość.

Na początek musiał odegnąć od siebie dwie myśli.

Po pierwsze tę, żeby zaprzestać samoobrony i zgłosić się na policję. Oddać się w ich ręce i wszystko opowiedzieć. Pozwolić tej dziwce wygrać.

Żeby o tym zapomnieć, wystarczył mu jeden centylitr.

Po drugie zaś, żeby nadal się ukrywać.

Tu potrzebne było nieco więcej: cztery centylitry, może sześć. Ale

się udało.

Zatem co teraz?

I to ta myśl kosztowała go najwięcej.

Na nią potrzebował dni. Wszystkich pozostałych dni pobytu w Hotelu Pawlewski. Rzecz jasna, taki był jego początkowy zamiar, to właśnie taka myśl kiełkowała mu w głowie – znaleźć takie miejsce i tam zostać. Tkwić w tym zapyziałym, śmierdzącym hotelu, dopóki nie będzie wiedział, co robić.

Zaczekać tu na nowe siły. Na determinację i pomysły.

Bo przecież musi być jakieś wyjście.

Jakiś sposób, żeby zabić tę przeklętą sukę. I im bardziej dojrzywał do decyzji, tym mocniej sobie uświadamiał, że tu nie chodzi tylko o niego i jego skórę, ale też o innych. Jego kolegów z wojska, których zastrzeliła. Wdowy i sieroty. O ludzi, którym zniszczyła życie swoimi krwawymi atakami, i to z takiego powodu...

O tych, których unieszczęśliwiła. I to tylko dlatego, że...

To jego obowiązek. Musi ją zabić. Stanać do pojedynku na jej warunkach, a potem pokonać ją i raz na zawsze zmieść z powierzchni ziemi.

Uratować świat od tego przekleństwa.

Jego złość przerodziła się w nienawiść. Zazartą, ślepą nienawiść, która w połączeniu z poczuciem misji i obowiązku powoli wlała w niego siły, jakich potrzebował.

Siły, odwagę i determinację.

Jaką metodę powinien wybrać?

Czy ma jakiś wybór?

Dwa centylitry. Prosto w gardło, jak koniak. To samo pytanie powtarzane wielokrotnie. Każdego wieczoru. I więcej whisky. Jaką metodę wybrać? Czy jest więcej niż jedna?

Nie. Nie ma wyboru.

Musi opuścić gardę. Odślonić się.

Pozwolić, żeby to ona uderzyła pierwsza.

A potem sparować cios i zabić.

Otóż to.

Istotnie, Hotel Pawlewski miał lepszych gości...

Ale jak i gdzie?

Przede wszystkim gdzie? Gdzie, do cholery, mógł ją zwabić, nie dając jej przy tym przewagi? Nadal nie wiedział, jak wygląda. Setki razy wpatrywał się w jej portret opublikowany w gazecie, wiedział jednak, że z pewnością kiedy już dojdzie do spotkania, z jej twarzy zniknie ten dziwny spokój.

To będzie inna kobieta. Przybierze pierwszą lepszą postać. Zupełnie mu nieznaną. Zaskoczy go. Zatem gdzie? Gdzie miał zastawić pułapkę?

I jak?

Przygotowanie wstępnego planu zajęło mu całą noc. Jednak gdy wreszcie zasypiał w szarawym świetle poranka, sam nie wierzył, że za dnia ten pomysł będzie miał szansę się utrzymać.

Ale utrzymał się. We wtorek po raz pierwszy zjadł lunch w hotelowej restauracji. Analizując plan przy dwóch czarnych kawach, znalazł w nim kilka braków, jednak nie na tyle dużych, by nie dało się ich zataić, i nie na tyle poważnych, by wszystko miało się przez nie posypać.

Zatem plan już miał.

Biedersen opuścił Hotel Pawlewski około drugiej po południu w środę dwudziestego ósmego lutego. Jedynie na ułamek sekundy jego wzrok spotkał się ze wzrokiem siedzącego za ladą recepcji Pawlewskiego, ale to wystarczyło. Biedersen miał pewność, że właściciel tych dziwnych oczu, widzących wszystko i zarazem niewidzących niczego, nigdy nie przypomni sobie niejakiego Jürga Kummerlego, który mieszkał w pokoju 312 przez dwanaście nocy z rzędu.

Za te dwanaście nocy, których nie było, obdarował Pawlewskiego stuguldenowym banknotem.

Wiedział, że gdyby znalazła go właśnie w tym czasie, wygrałaby jak nic. Ale go nie znalazła, a teraz on znów był gotów stanąć do walki.

– Dziś pierwszy marca – zauważył Hiller, obrywając zeschnięty liść z jednego z hibiskusów. – Siadaj. Jak już mówiłem, liczę na jakieś podsumowanie. Choćby tyle, bo ta sprawa bardzo dużo nas kosztuje.

Van Veeteren odburknął coś i rozsiadł się w fotelu z białej, połyskliwej skóry.

– Zatem?

– A co chciałbyś wiedzieć? Przecież gdybym miał z czym do ciebie przyjść, sam dałbym ci znać.

– Skąd mogę mieć pewność?

Van Veeteren nie odpowiedział.

– Od dwóch tygodni pilnujemy dwudziestu osób. Chyba nie muszę ci mówić, ile to kosztuje?

– Nie musisz. Możesz odwołać ochronę, jeśli chcesz.

– Odwołać ochronę, dobre sobie! – prychnął Hiller i usiadł za biurkiem. – Gdybyśmy to zrobili, a ona uderzyłaby ponownie? Już widzę te nagłówki gazet. I tak już jesteśmy w złej sytuacji.

– Nagłówki nie będą bardziej pochlebne, jeśli ona uderzy mimo naszej ochrony.

Hiller znów prychnął i zaczął kręcić złotym zegarkiem wokół nadgarstka.

– Co masz na myśli? Sądzisz, że nasz nadzór nic nie daje? Może to właśnie on ją powstrzymuje?

– Nie sądzę – skwitował Van Veeteren.

– To co sądzisz? Powiedz mi w takim razie, co sądzisz?

Komisarz wyciągnął wykałaczkę i przyjrzał się jej uważnie, po czym

wetknął ją między zęby. Obrócił głowę i spróbował wyrzucić przez okno schowane za gęstwina liści.

– Sądzę, na przykład, że pada deszcz.

Hiller otworzył usta, ale po chwili je zamknął.

– Trudno cokolwiek stwierdzić – dodał Van Veeteren po krótkiej, acz dramatycznej pauzie. – Albo ona skończyła zabijać, albo poluje na kolejne osoby. Tak czy inaczej, na razie siedzi w ukryciu. Może czeka, aż opuścimy gardę albo aż zrobi to kolejna ofiara. Sprytne, ja zrobiłbym to samo.

Hiller wydał z siebie dźwięk, który komisarzowi przypominał jęk cierpiącej foki w okresie godowym.

– To co zrobicie? – wysłowił się Hiller po chwili. – Słucham? Co macie zamiar zrobić, do cholery?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Sprawdzamy powiadomienia. Nadal dostajemy ich sporo, chociaż gazety nie zamieszczają już komunikatów.

Hiller wziął głęboki wdech i spróbował przybrać optymistyczny wyraz twarzy.

– I co?

– Na razie niewiele. Zastanawiałem się, czy nie poigrać trochę z losem, ale to oczywiście wiąże się z pewnym ryzykiem. Otóż moglibyśmy skupić się na kilku bardziej prawdopodobnych kandydatach na ofiary i zostawić resztę. Może to coś da.

Hiller chwilę się zastanawiał.

– A są tacy? Bardziej prawdopodobni?

– Być może. Myślę nad tym.

Hiller wstał i znów podszedł do roślin. Zwrócony tyłem do Van Veeterena zaczął kiwać się na piętach i delikatnie ściągać palcami kurz z listków.

– To zróbcie tak – powiedział w końcu i odwrócił się. – Uruchom wreszcie tę swoją przeklętą intuicję i do czegoś dojdźcie!

Van Veeteren wstał z fotela.

– Czy to wszystko? – upewnił się.

– Na razie tak – odparł Hiller i zacisnął szczęki.

– I co powiedział? – zapytał Reinhart.

– Jest nerwowy – odrzekł Van Veeteren i nalał sobie kawy do plastikowego kubka. Podniósł go do ust, ale zawahał się.

– Kiedy parzona?

Reinhart wzruszył ramionami.

– Pewnie w lutym. W każdym razie na pewno w tym roku.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Münster.

– I co powiedział?

– Zastanawiał się, dlaczego jeszcze jej nie złapaliśmy.

– Aha.

Van Veeteren pochylił się i z grymasem na twarzy spróbował kawy.

– Styczniowa – stwierdził. – Typowa styczniowa kawa. Münster, z iloma nie udało nam się jak dotąd skontaktować? To znaczy, z tych jeszcze niezamordowanych?

– Chwileczkę. – Münster wyszedł. Wrócił po minucie z kartką w rękę.

– Z trzema.

– Dlaczego? – zapytał komisarz.

– Byli na wyjazdach. Dwóch w podróży służbowej. Jeden na urlopie u córki w Argentynie.

– Z nią chyba dało radę się skontaktować?

– Przekazaliśmy jej wiadomość, ale nie odezwała się do nas. A my, oczywiście, za bardzo nie naciskaliśmy.

Van Veeteren wyciągnął sfatygowane już zdjęcie.

– Który to?

– Nazywa się Delherbes. Mieszka w Maardam. Za pierwszym razem rozmawiał z nim deBries.

Van Veeteren pokiwał głową.

– A ci dwaj pozostali?

– Biedersen i Moussner. Moussner jest gdzieś na południu Azji. W Tajlandii, Singapurze czy gdzieś tam. Wraca za kilka dni. Chyba w niedzielę. Biedersen natomiast jest trochę bliżej.

– Czyli?

– Żona nie była pewna. Wygląda na to, że facet podróżuje to tu, to tam i nawiązuje kontakty. Prowadzi firmę importową. Ściąga towary

z Anglii i ze Skandynawii, tak się wydaje żonie.

– Ze Skandynawii? – zdziwił się Reinhart. – A co się ściąga ze Skandynawii? Bursztyn i wilcze skóry?

– Właśnie tak – odparł Van Veeteren. – Widziałeś dziś Heinemanna?

– Przed południem przez trzy minuty siedział w bufecie – wtrącił Münster. – Wyglądał na zmęczonego.

Van Veeteren przytaknął.

– To pewnie przez wnuki – stwierdził. – Ile powiadomień nam zostało?

– Około kilkuset, jak sądzę – odparł Reinhart.

Van Veeteren z widoczną niechęcią wlał w siebie resztkę kawy.

– No dobra – powiedział. – Musimy zrobić wszystko, żeby do piątku uporać się z tym towarem. Niedługo coś się wydarzy.

– Dobrze by było – zauważył Reinhart. – Byle tylko nie kolejny trup.

Dagmar Biedersen wyłączyła odkurzacz i zaczęła nasłuchiwać.

Tak, to sygnał telefonu. Z westchnieniem wyszła do przedpokoju i odebrała.

– Pani Biedersen?

– Tak.

– Nazywam się Pauline Hansen. Prowadzę wspólne interesy z pani mężem, ale my się chyba nie spotkałyśmy?

– Nie, nie przypominam sobie. Ale męża nie ma teraz w domu.

– Wiem. Dzwonię z Kopenhagi, próbowałam złapać go w biurze, ale powiedzieli mi, że wyjechał w interesach.

– Zgadza się – przytaknęła Dagmar Biedersen, ścierając przy okazji płamkę z lustra. – Nie wiem, kiedy dokładnie mąż wróci.

– A wie pani może, gdzie jest?

– Nie.

– Szkoda. Chciałam z nim omówić pewien interes, wiem, że by go zaciekawił. Można całkiem nieźle zarobić, ale skoro nie ma jak się z nim skontaktować...

– Tak?

– Cóż, w takim układzie muszę zwrócić się do kogoś innego. Więc



nie ma pani pojęcia, gdzie mogłabym znaleźć pani męża?

– Nie, niestety.

– Gdyby odezwał się do pani w najbliższym czasie, proszę mu przekazać, że dzwoniłam. Jak mówiłam, wiem, że go to zainteresuje.

– Chwileczkę – wtrąciła Dagmar Biedersen.

– Tak?

– Dzwonił ostatnio i mówił, że pewnie zatrzyma się też w naszym domku letniskowym.

– W domku?

– Tak, mamy domek w Wahrhejm. To dom rodzinny męża, chociaż oczywiście odnowiliśmy go trochę. Może tam go pani złapie, jeśli będzie pani miała szczęście.

– Jest tam telefon?

– Nie, ale można zadzwonić do miejscowej gospody i zostawić wiadomość. Chociaż naprawdę nie wiem, czy on tam teraz jest. Tak mi tylko wpadło do głowy.

– Wahrhejm, mówi pani?

– Tak, to pomiędzy Ulming i Oostwerdingen. Taka miejscina... Numer to 161621.

– Bardzo pani dziękuję. Spróbuję, ale mimo wszystko, jeśli mąż zadzwoni, będę wdzięczna, jeśli mu pani powie, że dzwoniłam.

Ależ gaduła, pomyślała Dagmar Biedersen, kiedy odłożyła słuchawkę. I zanim ponownie włączyła odkurzacz, zdążyła już zapomnieć, jak się nazwała ta kobieta.

Ale była z Kopenhagi, tyle Dagmar Biedersen zapamiętała.

Do Wahrheim dojechał, kiedy zaczynało świtać. Na jedynym skrzyżowaniu w miasteczku skręcił w prawo, minął gospodę. W jej oknach było widać czerwone papierowe abażury... te same, które wisały tam, kiedy jeszcze był dzieckiem.

Dalej był kościół, dom Heinesa, jezioro przeciwpożarowe, którego spokojne wody w gasnącym świetle wyglądały na czarniejsze niż kiedykolwiek. Dom Van Klaustera, rezydencja Kotkego, a za nimi, na lewo, pomiędzy skrzynkami na listy a ogromną sosną, wjazd na podwórko.

Wjechał przez bramę w murowanym ogrodzeniu i zaparkował za domem, jak zwykle. Żeby z drogi nie było widać samochodu, powtarzała jego matka, miał więc to zakodowane w pamięci. A akurat dzisiaj miało to sens. Wejście kuchenne też było z tyłu, zanim jednak zaczął przenosić torby z prowiantem, udał się na inspekcję. W środku i na zewnątrz. Kuchnia i trzy pokoje. Strych. Szopa. Piwnica.

Ani śladu. Nie było jej tutaj ani teraz, ani wcześniej. Jeszcze nie. Zabezpieczył pistolet i wetknął go do kieszeni marynarki.

Wiedział, że przyjdzie. Zaczął wnosić zakupy do domu. Włączył prąd i pompę. Na chwilę poodkręcał krany i spuścił wodę w toalecie. W domu nie było nikogo od października, kiedy to spotkał się tu na weekend ze znajomym, żeby obgadać interesy. Wyglądało jednak na to, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Przez zimę nic się nie zepsuło. Lodówka szumiała. Kaloryfery od razu zrobiły się letnie. Radio i telewizja też działały.

Przez chwilę radość z powrotu do domu przyćmiła cel jego wizyty.

Większość mebli, jak również obrazów i makatek oraz setek bibelotów, wyglądała tak samo jak za czasów jego dzieciństwa. Dlatego moment przyjazdu, kiedy wszystko to na nowo stawało mu przed oczami, napełniał go gwałtownym i oszałamiającym poczuciem, że oto czas się cofnął. Tak samo było i tym razem, choć oczywiście po chwili wróciła świadomość sytuacji.

Zgasił lampy. Ciemności na podwórku też wyglądały wręcz swojsko. Wiedział, że cokolwiek by się działo, nie będzie potrzebował światła. Ani na dworze, ani w domu. Znał tu każdy kąt. Drzwi i skrzyżujące schodki. Ścieżki, krzewy i wystające korzenie. Każdy kamyczek. Wszystko już od lat było na swoim miejscu, co dodawało mu wiary i pewności siebie. Zapewne tym też kierował się, układając swój plan, choć bał się za bardzo na nim polegać.

Postawił na szopę.

Zdjął haczyk z drzwi. Wciągnął oporny materac po schodkach i umieścił go przy oknie. Dach był nisko, więc musiał iść na czworakach albo zgięty wpół. Potem wrócił po poduszkę i koce. Szopa była nieogrzewana, więc było tu zimniej. Wiedział, że będzie się musiał porządnie owinać.

Poprawił materac, tak żeby jak najlepiej leżał pod skośnym dachem. Położył się i sprawdził, czy wszystko jest tak jak powinno i czy dobrze sobie wszystko wyliczył.

Prawie idealnie. Przez stare, przybrudzone szyby widział szczyt domu, w zasięgu wzroku miał zarówno wejście główne, jak i kuchenne. Od domu dzieliło go jakieś sześć, osiem metrów.

Uchylił nieco okno. Na próbę wystawił rękę z bronią na zewnątrz. Przesuwał się w tę i z powrotem, testując najlepsze ułożenie. Mierzył.

Czy trafi z takiej odległości?

Sądził, że tak. Może nie będzie to strzał śmiertelny, ale przecież na pewno zdąży strzelić jeszcze dwa, trzy razy.

A to już wystarczy. Bez wątpienia. Strzelcem był nie najgorszym, mimo że minęło już trochę lat, odkąd się udzielał w lokalnym klubie myśliwskim.

Wrócił do domu. Zabrał ze sobą jeszcze kilka koców i prowiant. Założenie było takie, że będzie leżał w szopie. Że tyle czasu, ile się da,

spędzi ułożony w odpowiedniej pozycji przy okienku.

Że będzie tam czekał, aż ona się pojawi.

Przyczajony w ukryciu odda strzał, którym ją dobije.

Z tego właśnie miejsca położy kres szaleństwu tej suki.

Ot, łut szczęścia, powie potem policji. Niewiele brakowało, a to ona by mnie ustrzeliła. Dobrze, że się przygotowałem na taką możliwość.

Obrona własna. Oczywiście, że to będzie obrona własna, nie będzie musiał kłamać.

Po prostu zatai prawdziwy powód. Zaczątek tego zła. To, dlaczego wiedział, że jest następny w kolejce.

Na razie zszedł ze stanowiska. Wyjrzał na podwórko i nastawił uszu.

Niesamowita cisza, pomyślał i przypomniał sobie, że zawsze miał takie wrażenie. Cisza, która nadchodziła z lasu i przykrywała wszelkie nawet najdrobniejsze odgłosy. Wszystko ustępowało pod jej ciężkim, bezgłośnym oddechem.

Legiony ciszy, pomyślał. Nadciągają tu i teraz.

Spojrzał na zegarek i zdecydował się na wizytę w gospodzie. Zrobi sobie mały spacer w tę i z powrotem, dobrze znaną sobie trasą.

Wypije tylko jedno piwo. I może uzyska odpowiedź na jedno pytanie.

Czy kręcili się tu ostatnio jacyś obcy?

Pojawiły się jakieś nowe twarze?

Kiedy wrócił, podwórko tonęło w gęstych ciemnościach. Zarysy domów i powyginanych drzew owocowych zlały się z lasem, nieco lepiej odznaczały się na tle miejscami jaśniejszego nieba. Wypił dwa piwa i małą whisky. Pogadał z Lippmanem i Korhonenem. Teraz to oni stali za barem. Gości nie było zbyt wielu, tyle co zwykle w tygodniu na początku marca. I nikt nie widział tu ostatnio obcych. Zdarzało się, że ktoś, przejeżdżając przez miasteczko, zajrzał do gospody, ale nikt nie pojawił się dwa razy. Kobiety? Nie, ani Lippman, ani Korhonen nie przypominali sobie żadnych kobiet. A dlaczego pyta? Ach, interesy. Ha, ha, jasne, chyba nie myśli, że ich na to nabierze? Bujać to my, ale nie nas. Ha, ha, zdrowie! Miło znów cię widzieć w mieście, stary.

Prawdziwy powrót do domu.

Na palcach przeszedł przez mokry trawnik. Cały wieczór nie padało, ale wilgoć i mgły ukradkiem nadciągnęły od strony morza nad łąki pod lasem. Kilka razy przystawał i nasłuchiwał, lecz wokół panowała wciąż ta sama, niczym niezmacona cisza. Nic słyszał nic innego. Wszedł za szopę i opróżnił pecherz. Ostrożnie otworzył drzwi. Zazwyczaj skrzypiały, ale tym razem ustąpiły cicho. W dzień będzie je musiał nasmarować, tak na wszelki wypadek.

Skulony wszedł po wąskich schodkach i po omacku dotarł do swego legowiska. Chwilę walczył z kocami, aż wreszcie ułożył się na dobre. Jeszcze tylko uniósł się na boku i wyjrzał przez okno. Wokół domu było cicho i ciemno. Nic, najmniejszego ruchu czy hałasu. Wetknął pistolet pod poduszkę i położył na nim rękę. Mógł sobie pozwolić tylko na lekki sen, ale zazwyczaj tak spał.

Budził go każdy szmer.

Teraz też tak będzie.

Koce blisko ciała. Twarz przy oknie, a dłoń na broni.

Teraz wróg może przyjść.

## 36

– Nie wiem – powiedział komisarz. – To tylko przypuszczenie. Jeśli tych trzech miało ze sobą coś wspólnego, to przecież ktoś z grupy cokolwiek by zauważył. Zatem prawdopodobnie coś wydarzyło się pod koniec kursu. Chociaż oczywiście to tylko czyste spekulacje.

– Coś w tym jest – stwierdził Münster.

– Gwałty, do których doszło wiosną 1965 roku. Ile znalazłeś?

– Dwa.

– Dwa?

– Tak, dwa zgłoszone. Oba z kwietnia. Jedna kobieta została zaatakowana w parku, druga w mieszkaniu w Pampas.

Van Veeteren pokiwał głową.

– Ilu sprawców?

– Jeden w parku, dwóch w mieszkaniu. Tych z mieszkania skazano, ten z parku się wywinął. Nigdy go nie odnaleziono.

Komisarz przez chwilę kartkował papiery.

– Wiesz, ile zgłoszeń dostaliśmy od początku roku?

Münster pokręcił głową.

– Pięćdziesiąt sześć. Możesz mi wyjaśnić, jakim cudem odsetek gwałtów tak bardzo się zwiększył?

– Nie gwałtów, tylko zgłoszeń – poprawił go Münster.

– No właśnie. Jakie zatem mamy szanse na wytropienie niezgłoszonego gwałtu sprzed trzydziestu lat? Jak sądzisz?

– Małe. Zresztą skąd wiemy, że chodziło o gwałt?

Komisarz westchnął.

– Nie wiemy. Ale przecież nie możemy siedzieć i kręcić palcami

młynka. Dlatego dostaniesz kolejne zadanie. Jeśli coś z tego wyjdzie, zapraszam na obiad u Krausa.

*Mission impossible*, pomyślał Münster. Komisarz chyba myślał to samo, bo chrząknął przepraszająco.

– Chcę listę wszystkich narodzin, przy których matka zgłosiła ojca jako nieznanego. Mniej więcej od grudnia 1965 roku do marca 1966. W mieście i w całym regionie. Imię matki i dziecka.

– Przede wszystkim dziewczynki?

– Tylko dziewczynki.

Wieczorem poszedł do kina. Czwarto, a może nawet piąty raz obejrzał *Nostalgie* Tarkowskiego. Jak zwykle czuł podziw i wdzięczność. Arcydzieło mistrza, pomyślał, siedząc w zapełnionej w połowie sali, i dał się pochłonąć fabule. Nagle przypomniały mu się słowa pastora, który przygotowywał go do konfirmacji. Był to łagodny z usposobienia kaznodzieja z dużą, siwą brodą, którego wielu członków zgromadzenia uważało za bliskiego krewnego samego Boga Ojca.

Na świecie jest zło, tłumaczył mu pastor, ale nigdy i nigdzie nie ma go tyle, by nie znalazło się miejsce na dobre uczynki.

Niezbyt odkrywczą myśl, ale zapadła mu w pamięć i przypominał sobie o niej od czasu do czasu.

Na przykład teraz. Dobre uczynki? – rozmyślał Van Veeteren, wracając po seansie do domu. Iluż z nas prowadzi takie życie, że nigdy nie dopada ich choćby nostalgia?

Czy to dlatego ona zabija tych mężczyzn? Bo nie miała wyboru?

Bo nie znalazła miejsca na dobre uczynki? Ale czy ono faktycznie zawsze jest pod ręką? I kto dzieli przestrzeń i decyduje o proporcjach? Kto rozpoczął to żmudne poszukiwanie sensu we wszystkim? We wszystkich zdarzeniach?

Czasami coś się dzieje i już, pomyślał Van Veeteren. Ludziom przytrafiają się różne rzeczy i chyba tak musi być. Ale to nie znaczy, że coś jest dobre lub złe.

Właściwie to w ogóle może nic nie znaczyć.

Ogarnęło go przygnębienie.

Jestem cholernie zmęczonym gliną, który widział już za dużo i nie chce zobaczyć więcej, pomyślał.

Nie chcę być świadkiem końca tego śledztwa, którym zajmuję się od półtora miesiąca. Chcę wysiąść z pociągu, zanim dojedziemy na stację końcową.

I cóż to za dumne rozważania o instynkcie gończym towarzyszyły mu na początku?

Nie chcę dojść do tego punktu, w którym jak na dłoni będzie widać mroczne motywy, myślał dalej. Bo wiem, że tło będzie równie ciemne, jak i same zbrodnie. Tak przynajmniej przypuszczam i wolałbym uniknąć takiej konfrontacji.

Wiedział, że to daremne nadzieje, ale czyż każda nadzieja nie jest podszyta daremnością? Bo chyba w przeciwnym razie nie byłaby nadzieją?

Skręcił na Klagenburg i przez chwilę zastanawiał się, czy zajść do kawiarni, czy nie. Zanim podjął decyzję, nogi same poniosły go dalej, tak więc minął oświetlone wejście do lokalu i poszedł w stronę domu.

Czasami coś się dzieje i już, powtórzył. Równie dobrze mogłem wejść.

Kiedy później leżał w łóżku, zaprzętały go dwie myśli, które nie pozwalały mu zasnąć.

Pierwsza, że w tej sprawie też coś się stanie samo z siebie. I to wkrótce.

Muszę się zastanowić, ile jeszcze wytrzymam.

A potem nagle przed oczami stanęła mu Ulrike Fremdli, wdowa po Karelu Inningsie. Obraz długo się utrzymywał i towarzyszył mu w przejściu z jawy do snu, a później powoli nałożył się na sceny z filmu Tarkowskiego – ruiny kościoła i Gortchakova wędrującego przez wodę z palącą się migotliwie świeczką.

Coś się stanie.



– Halo?

Słuch Jeleny Walgens nie był już tak dobry jak kiedyś. Szczególnie trudno było jej wyłapać, co ludzie mówią przez telefon. Najchętniej wszystkie sprawy załatwiałaby przy kawie. I świeżo upieczonym ciście. Ot, taka pogawędka o pogodzie, o tym i owym. Ale tym razem jej rozmówca, młody mężczyzna, od razu wiedział, czego chce, i miał miły głos. Dała więc radę porozumieć się przez telefon. A przecież spotkać i tak się spotkają.

– Jak długo, mówi pan? Tylko miesiąc? Szczerze mówiąc, wolałabym wynająć na dłużej...

– Mogę zapłacić trochę więcej – zaoferował mężczyzna. – Jestem pisarzem. Alois Mühlen, może pani o mnie słyszała?

– Nie wydaje mi się...

– Szukam właśnie jakiegoś cichego zakątka, w którym będę mógł napisać ostatni rozdział mojej najnowszej powieści. Potrzebuję najwyżej miesiąca. W mieście ci wszyscy ludzie i cały ten zgiełk mnie rozpraszają, sama pani chyba rozumie?

– Oczywiście – odparła Jelena Walgens, jednocześnie szperając w pamięci. Chyba jednak nie kojarzyła tego nazwiska. Wprawdzie i teraz, i dawniej sporo czytała, ale mężczyzna był młody, no i może źle usłyszała. Alois Mühlen? Czy tak się przedstawił?

– Zatem miesiąc – powiedziała. – Do pierwszego kwietnia, bo chyba tak pan proponował?

– Jeśli to pani odpowiada. Ale może ma pani innych chętnych na to miejsce?

– Owszem, kilkoro – skłamała. – Ale nikt się jeszcze nie zdecydował.

Prawdę mówiąc, ogłoszenie zamieściła już trzy tygodnie temu. A nie licząc pewnego antypatycznego Niemca, który nie rozumiał wszystkiego, co tylko można było nie zrozumieć, a do tego na pewno czuć go było kiełbasą, Alois Mühlen był jedynym chętnym. Nie ma więc co się wahać. Miesiąc to zawsze miesiąc.

– Zgadza się pan na pięćset guldenów? – zapytała. – Bo po tym miesiącu znów będę musiała się zająć ogłoszeniem, a to dość niedogodne, więc...

– Zgadzam się na pięćset – odparł szybko i pani Walgens uległa.

Po południu naszkicowała mapkę i wypisała wskazówki dojazdu. Kilometr za kościołem w Wahrhejm. Skręt w lewo przy ręcznie malowanym szyldzie. Dwieście metrów przez las, aż do jeziora. Trzy domy. Ten z prawej jest jej.

Klucze i instrukcja obsługi odpornej pompy oraz kuchenki i instalacji elektrycznej, jak również wytyczne co do łodzi i wiosł.

Kiedy przyszedł, była w pełni przygotowana. Okazał się dość bladym, młodym mężczyzną. Trochę za niskim i nieco wyniosłym jak na jej gust. Oczywiście zaprosiła go na kawę, nawet wcześniej ją zaparzyła, ale mężczyzna podziękował. Chciał jak najszybciej wyjechać i zacząć pisać. Całkiem zrozumiałe.

Nie był niemiły czy oschły. Wręcz przeciwnie. Był układny, jak to potem określiła w rozmowie z Beatrix Hoelder i Marcelą Augenbach. Miły i układny.

No i pisarz. Kiedy już poszedł, chwilę delektowała się tym słowem. Pisarz. Sprawiało jej to przyjemność, bo miło pomyśleć, że w jej domu nad jeziorem ktoś pisze. W głębi duszy tliła się w niej nadzieja, że może pewnego dnia przypomni sobie o niej i wyśle jej egzemplarz książki. To znaczy, kiedy już ją skończy, choć oczywiście to, jak się domyślała, musi trochę potrwać. Bo wiadomo, wydawca i te sprawy. Ale może kiedyś dostanie i dedykację? Postanowiła, że w tygodniu pójdzie do biblioteki i sprawdzi, czy mają jego książki.

Jak mu było? Mühlen? Tak, nazwisko było na umowie. Alfons Müh-

len, jeśli dobrze odczytała. Brzmi trochę kobieco, pozwoliła sobie zauważyć. Ciekawe, czy jest gejem. Wielu pisarzy jest, chociaż część może udaje, jak stwierdziła kiedyś Beatrix. No ale ona plotła czasami, byle pleść.

W każdym razie Jelena Walgens nie słyszała wcześniej tego nazwiska, tego była pewna. Beatrix i Marcela też nie, ale to pewnie dlatego, że Mühlen był dość młody.

Zapłacił gotówką, i to bez mrugnięcia okiem. Pięćset guldenów. Zadowoliliby ją i trzysta.

Zatem, jakkolwiek na to patrzeć, był to świetny interes.

Alfons Mühlen?

A może jednak obilo jej się o uszy?

Marzył.

Piąty poranek z rzędu budził się z zimna.

Piąty poranek z rzędu potrzebował mniej niż sekundy, żeby sobie przypomnieć, gdzie jest.

Piąty poranek z rzędu szukał dłonią pistoletu i wyglądał przez okno.

Widział dom pogrążony w niemrawym świetle poranka. Równie nieruchomy i opustoszały, jak wtedy, gdy zasypiał.

Nadal niezdobyty. Minęła kolejna noc, a ona nie przyszła. Ciało aż go bolało z zimna. Nie rozumiał, dlaczego w szopie, mimo nadmiaru kołder i koców, nie dawało się utrzymać choć odrobiny ciepła. Każdego ranka budził się o świcie zmarznięty na kość. Przez okno oceniał, jak się sprawy mają, i szedł do domu ogrzać się przy piecu. Zawsze na wieczór, kiedy już wrócił z gospody, rozpalał porządnie w kuchni węglowej, tak by ciepło utrzymało się do rana.

Tak samo było dzisiaj. Nasłuchiwał w napięciu, zarówno na zewnątrz, na ostrym porannym powietrzu, jak i w domu. Z bronią w ręku. Odbezpieczoną.

Potem pił kawę w kuchni. Do tego odrobina whisky, dla rozgrzewki. Wysłuchiwał porannych wiadomości w radiu, jednocześnie planując, jak spędzi dzień. Opierał się przy tym o ścianę, żeby nie było go widać przez okno.

A nie było łatwo. W lesie mógł spędzić nie więcej niż trzy, cztery godziny, a kiedy wracał wczesnym popołudniem, czujny jak zwykle, znów siadał w kuchennym kącie. Albo leżał w szopie i czekał.

Siadywał to tu, to tam i kartkował kolejne pozycje z biblioteki ojca, a księgozbiór nie był ani liczny, ani zbyt urozmaicony. Powieści przygodowe. Krzykliwe czytała, które ojciec naręczami kupował na wyprzedających i aukcjach. W sumie parę chętnie by przeczytał, ale nie mógł się skupić.

Co innego miał teraz na głowie.

Potem, kiedy zapadał zmierzch, znów szedł na godzinny spacer. Wracał po zmroku. Właśnie na to czekał, na ciemność. Była jego sprzymierzeńcem, jej mógł zaufać. Wiedział, że kiedy tylko znów robi się ciemno, zyskiwał nad nią przewagę. Jeśli to w ciemnościach przyjdzie im się ze sobą zmierzyć, to on będzie o krok do przodu. A chyba tego potrzebował.

Jadł kolację w ciemnej kuchni. Nigdy nie włączał światła, bo przecież byłby spalony, gdyby namierzyła go w rozświetlonym oknie.

Tylko raz był w miasteczku na zakupach. Starał się unikać terenów zabudowanych, przynajmniej za dnia. Z początku także wieczorami, ale szybko zrozumiał, że takie osamotnienie stanie się nie do zniesienia, jeśli nie będzie mógł choćby godzinki spędzić nad piwem w gospodzie.

Właśnie tam się wybrał trzeciego wieczora. Najpierw zrobił rozpoznanie i uświadomił sobie, że niebezpieczeństwo czekało na niego w drodze powrotnej. W tamtą stronę mógł iść skryty za krzewami, przez działki albo wzdłuż ciemnej bocznej drogi. W gospodzie był wśród ludzi, siedział przodem do drzwi. Tam nie miała okazji uderzyć, nawet gdyby go zauważyła.

Ale powrót to było coś zupełnie innego. Był zagrożeniem. Bo jeśli wiedziała, że siedzi w gospodzie, to mogła zacząć się gdzieś po drodze. Dlatego też, wracając, był potrójnie ostrożny. Unikał drogi. Szybko zniknął w mroku wokół gospody i stał tak przez chwilę. Potem powoli przemieszczał się po terenie, który od dziecka znał jak własną kieszeń. Obierał różne kierunki, szedł zygakiem i każdego wieczoru przychodził do zagrody od innej strony. Niesamowicie czujny i z bronią w ręku. Wszystkie zmysły wyczulone.

I nic się nie działo.

Mijał wieczór za wieczorem i nic.

Ani śladu. Ani znaku, że będzie.

Kiedy szedł spać, męczyły go dwie rzeczy.

Po pierwsze, ból głowy, będący skutkiem całodniowej czujności i napięcia. Żeby sobie z nim poradzić, co wieczór brał dwie tabletki, które w ciemnej kuchni popijał łykiem whisky.

Trochę pomagało, ale nie całkiem.

Po drugie, dręczyła go myśl, że ona nie przyjdzie. Że kiedy on spędza te samotne dni w pełni gotowości, ona jest zupełnie gdzieś indziej. Daleko stąd.

W jakimś mieszkaniu w Maardam. W domu w Hamburgu. Cholera wie gdzie.

Może jemu wymierzyła taką właśnie karę. Skazała go na czekanie. Czekanie na zabójcę, który nigdy się nie pojawi. Na śmierć, która zwleka z przyjściem.

I z każdym kolejnym wieczorem i ból głowy, i ta myśl napierały coraz mocniej. Co wieczór odczuwał je nieco bardziej.

A na myśl nie pomagały ani tabletki, ani whisky.

Zatrzymała się przy starszym mężczyźnie, który szedł poboczem. Pochyliła się nad pustym siedzeniem pasażera, odkręciła szybę i zapytała.

– Szukam pana Biedersena. Wie pan, gdzie mieszka?

Już drugi raz przejeżdżała przez miasteczko. Na dworze było ciemno. W samochodzie panował półmrok, spuściła kapelusz nisko na czoło i w miarę możliwości unikała kontaktu wzrokowego. Pozwalała sobie tylko na wykalkulowane ryzyko.

– Ano wiem.

Wskazał jej kierunek i wyjaśnił, jak dojechać. Dom Biedersena był blisko, jak wszystko w miasteczku. Zapamiętała wskazówki, podziękowała i ruszyła dalej.

Łatwo idzie. Na razie.

Wiedziała, że samochód zapewni jej odpowiedni kamuflaż. I to właśnie z samochodu – z wynajętego fiata, który był kolejnym wydatkiem, ale okazał się niezbędny – zauważyła go jeszcze tego samego wieczoru. W ciemnościach zaparkowała przed gospodą. Kolejne wy-

kalkulowane ryzyko, ale swoją drogą i tak nie miała wyboru. W tak małej społeczności pojawienie się obcego szybko pociągało za sobą pytania. Kto? Dlaczego?

A to niepotrzebne i niebezpieczne. Nie mogła ot tak chodzić po miasteczku i o niego rozpytywać. A jednak jakoś musiała go znaleźć. I to zanim on znajdzie ją.

Tym razem trafił jej się przeciwnik, a nie ofiara. To pewna różnica.

Widziała, jak wchodzi do środka, ale jak wychodzi, już nie.

Tak samo następnego wieczoru. Kiedy siedział w gospodzie, pojechała obejrzeć dom. Przez kilka ładnych minut oglądała go z drogi, po czym wróciła.

Zastanawiała się, jak można się tam dostać.

On na pewno wiedział.

To on ją tutaj ściągnął, od razu to zrozumiała.

Trzeciego wieczoru postąpiła o krok dalej. Pojechała do miasteczka i zostawiła samochód za kościołem. Przeszła na piechotę do gospody. Bez wahania weszła do środka i kupiła papierosy przy barze. Kątem oka zauważyła, że siedzi w rogu. Z piwem i whisky. Widać po nim było pełną napięcia czujność, ale nie zwrócił na nią uwagi. W gospodzie było więcej klientów, niż sądziła. Około dwudziestu. Połowa przy barze, połowa w części restauracyjnej.

Trzy wieczory na trzy, pomyślała.

Z dużym prawdopodobieństwem czwartego i piątego będzie tak samo.

Założenia były gotowe. Znow to do niej należała inicjatywa.

Może to już pora. Oczywiście czas i czekanie grały na jej korzyść, ale fundusze zaczynały się kurczyć. Pieniądze, które jej zostały, miała wyliczone co do guldena. Każdy dzień kosztował i nie stać jej było na przeciąganie całej sprawy.

Jest tylko jedna szansa. Więcej nie dostanie. Nie ma za bardzo miejsca na błąd. Wiedziała, że jeśli coś pójdzie nie tak, nie będzie miała możliwości, żeby to naprawić.

Zatem musi zaplanować wszystko jak najlepiej. W duchu poprzednich dokonań, ale też jako godne całości zakończenie.

Już tyle czasu minęło, odkąd zaczęła. Został tylko jeden. Tylko je-

den jeszcze żyje, pomyślała, wracając do domku nad jeziorem.

Tam, w migotliwym świetle lampy naftowej, przygotowywała scenariusz jego śmierci.

Obudziła się o świcie i już nie mogła zasnąć. Wstała więc i się ubrała. Poszła nad jezioro i stanęła na pomoście. Długo tak stała, spoglądając na ciemną taflę wody oraz na mgłę i próbowała przypomnieć sobie tę ekstazę, jaka ogarnęła ją po pierwszym razie. Porównywała ją z kamiennym spokojem, który czuła teraz.

Z tym dojmującym poczuciem władzy i wyższości.

Trudno było mówić o równowadze między tymi dwoma reakcjami, ale też nie mogła się doszukać żadnych sprzeczności. Wszystko się ze sobą łączyło. I już niedługo wszystko się skończy.

Dwa dni, postanowiła. Za dwa dni. Całkiem niegłupi pomysł, zważywszy na datę.

Potem wróciła i usiadła przy stole. Zaczęła pisać.

*Na pogrzebie mamy...*



- Melgarves? Coś mi mówi to nazwisko...
- Jung zaczął przeszukiwać papiery na biurku.
- Zaserwowałeś Maureen śniadanie do łóżka? – zapytała Moreno.
- Jung podniósł wzrok.
- Że co? A niby dlaczego miałbym to robić?
- Nie wiesz, jaki dziś dzień? – Moreno się zdziwiła.
- Nie.
- Dzień Kobiet. Ósmy marca.
- Faktycznie. Będę musiał coś kupić. Dzięki za przypomnienie. A ty dostałaś śniadanie do łóżka?
- Oczywiście. – Moreno się uśmiechnęła. – I nie tylko śniadanie.
- Jung zastanawiał się chwilę, co by to miało znaczyć. Potem wrócił do sterty powiadomień.
- Ten Melgarves – powiedział. – Nie rozumiem, czemu trafił tutaj.
- André Melgarves?
- Tak. To przecież jeden z kadetów. Dzwonił do nas z powiadomieniem, więc informacja trafiła między inne. Widocznie Krause to przeczytał.
- To do niego niepodobne.
- Moreno przeszła przez pokój, zajrzała mu przez ramię i odczytała notatkę. Zmarszczyła czoło i przygryzła długopis, który akurat trzymała w ręce. Otóż niejaki André Melgarves dzwonił z Kinsale w Irlandii i twierdził, że ma informacje, które mogą się okazać przydatne w śledztwie. Czeką zatem na kontakt. Numer telefonu i adres były szczegółowo zanotowane pod wiadomością.

- Kiedy dzwonił? – zapytała Moreno.
- Przedwczoraj – powiedział Jung. – Jak myślisz, chyba lepiej przekazać sprawę komisarzowi, co?
- Tak sadzę. Idź teraz do niego, ale nie mów, że minęły dwa dni. Rano był w nie najlepszym humorze.
- No co ty? – Jung wstał.

Chłopak miał na sobie dżinsy i T-shirt z napisem „Big is beautiful”. Był mocno opalony, a jego krótkie włosy były tak nastroszone, że przypominały łan dojrzałego zboża. Żuł coś, a wzrok miał wbity w podłogę.

- Nazwisko?
- Pieter Fuss.
- Wiek?
- Dwadzieścia jeden lat.
- Zawód?
- Poślaniec.
- Poślaniec?
- W firmie ochroniarskiej.

No proszę, prawie kolega, pomyślał Van Veeteren i stłumił narastającą frustrację.

– To nie ja zajmuję się twoją sprawą – wyjaśnił. – Ale mam w niej sporo do powiedzenia i dlatego chcę dostać odpowiedź na jedno pytanie. Tylko jedno.

Pieter Fuss podniósł wzrok, ale kiedy zobaczył spojrzenie Van Veeterena, natychmiast wlepił go z powrotem w swoje adidas.

– Piątek dwudziestego trzeciego lutego – zaczął Van Veeteren – około północy skręciłem za róg przy Rejmer Plan. Wraciałem do domu po wieczorze spędzonym z dobrymi znajomymi. Ale nagle napatoczyłeś się ty i czwórka twoich kumpli. Jeden z nich przycisnął mnie do muru. Ty uderzyłeś mnie w twarz. A potem przewróciliście mnie na chodnik, biliście i kopaliście. A przecież ty nigdy wcześniej mnie nie widziałeś. Pytanie więc: dlaczego?

Pieter Fuss stał z kamienną twarzą.

- Zrozumiałeś pytanie?

Cisza.

– Dlaczego napadłeś na obcą ci osobę? Pobiłeś ją i skopałeś? Przecież musiałeś mieć jakiś powód.

– Nie wiem.

– Możesz mówić głośniej? Nagrywam.

– Nie wiem.

– Nie rozumiem. Nie wiesz, dlaczego coś robisz?

Milczenie.

– Pięciu na jednego. Myślisz, że tak się to załatwia?

– Nie.

– Zatem robisz to, co uważasz za złe?

– Nie wiem.

– To kto ma wiedzieć, jak nie ty?

Cisza.

– Jak myślisz, jaką karę powinieneś dostać?

Pieter Fuss wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Głośniej!

– Nie wiem.

– No dobrze. To posłuchaj. Skoro nie potrafisz mi odpowiedzieć, dlaczego to zrobiłeś, to dopilnuję, żebyś dostał co najmniej sześć miesięcy.

– Sześć miesięcy?!

– Co najmniej. Nie możemy dopuścić, żeby po ulicach chodzili ludzie, którzy nie wiedzą, dlaczego napadają na bliźnich. Masz dwie doby, żeby to sobie w spokoju przemyśleć...

Van Veeteren zrobił pauzę. Przez chwilę Pieter Fuss wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale wtedy rozległo się pukanie do drzwi i Jung wetknął głowę do pokoju.

– Czy pan komisarz jest zajęty?

– Ani trochę.

– Chyba mamy powiadomienie, które może być ważne.

– Tak?

– Jeden z kadetów dzwonił z Irlandii. Pomyśleliśmy, że pan komisarz będzie chciał się tym zająć osobiście.

Jung podał mu kartkę.

– Dobra. Możesz zabrać tego obiecująco zapowiadającego się młodego człowieka do dyżurnego? Tylko uważaj, chłopak nie bardzo wie, co robi.

Pieter Fuss wstał i wyszedł za Jungiem. Komisarz przejrzał wiadomość z kartki.

André Melgarves? – Zmarszczył czoło.

Potem połączył się z centralą i kazał zadzwonić do Melgarvesa. Po dziesięciu minutach miał go na linii.

– Nazywam się Van Veeteren. To ja prowadzę śledztwo. Dzwonił pan z wiadomością, że ma pan jakieś informacje.

– Sam nie wiem, czy to ważne – powiedział Melgarves, a wśród trzasków jego wątpliwość słysząc było wyraźniej niż poszczególne słowa.

– Ależ proszę, śmiało. Tylko proszę mówić głośniej, bo połączenie jest kiepskie.

– Cała Irlandia – wyjaśnił Melgarves. – Podatki mają w porządku, całą resztę do niczego.

– Rozumiem – odparł Van Veeteren z grymasem na twarzy.

– No więc chodzi o to... bo oczywiście dostałem wasz list z instrukcjami. No i ktoś do mnie dzwonił. Nie ma mnie w kraju, ale przejąłem się trochę tym, co się dzieje. Siostra wysłała mi wycinki z gazet. No i jeśli mogę jakoś pomóc, to oczywiście chętnie. Okropna historia.

– Niewątpliwie.

– No i przyszło mi coś do głowy. To tylko drobiazg, ale dotyczy zarówno Malika, Maasleitnera, jak i Inningsa. Oczywiście to może się okazać zupełnie bez znaczenia, ale o ile zrozumiałem, mieliście problemy z połączeniem ze sobą tej trójki.

– Istotnie, mieliśmy trochę trudności – przyznał Van Veeteren.

– Chodzi o imprezę tuż przed wyjściem do cywila.

– Imprezę?

– Tak, urządziliśmy sporą imprezę pożegnalną na mieście. Wydaje mi się, że w pubie u Arnego, chyba już nie istnieje.

– Nie, zamknęli go – potwierdził Van Veeteren.

– To było dwa dni przed wyjściem z wojska. Na imprezie stawili się

wszyscy. Niektórzy z dowódców i nauczycieli też. Żadnych kobiet, sami faceci, wynajęliśmy cały lokal. No i oczywiście nieźle sobie popiliśmy.

– I jaki to ma związek?

Melgarves odchrząknął.

– Właśnie do tego zmierzam. Siedzieliśmy do późna, do drugiej, może trzeciej, i wielu się upiło. Niektórzy pozasypiali. Ja sam nie byłem trzeźwy, no ale wiadomo, taka okazja. Mogliśmy sobie na to pozwolić, bo następnego dnia służbę zaczynaliśmy dopiero po południu. No i wiadomo, dwa dni do wyjścia z woja...

– Rozumiem – odparł Van Veeteren z nutą irytacji. – Może zechciałby pan przejść do tego, co pan chciał nam powiedzieć?

– No i to było potem – ciągnął Melgarves. – Widziałem ich razem. Ci, którzy zostali do końca, wyszli później na miasto. Szliśmy grupkami i wydzieraliśmy się... i to bardzo, obawiam się. To było na drodze do Löhr, to właśnie tam ich widziałem. Wszedłem na jakieś podwórko, żeby odciążać pęcherz, i kiedy wychodziłem, wpadłem prosto na nich. Stali w bramie z tą dziewczyną. Nie miała więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat. Mocno na nią napierali.

– Napierali? Co pan chce przez to powiedzieć?

– Po prostu próbowali ją namówić.

– Na co?

– No, wie pan.

– Możliwe. I co było dalej?

– Stali tak wokół niej, jeden przy drugim. A ona chyba nie była szczególnie zainteresowana, że tak powiem. Oni gadali i się śmiali, i nie chcieli jej puścić.

– A ona chciała odejść?

Melgarves się zawahał.

– Nie wiem. Tak mi się wydaje, ale nie pamiętam. Zastanawiałem się nad tym, ale zatrzymałem się tam tylko na kilka sekund, a potem pobiegłem, żeby dogonić innych. Nie żeby w tym stanie stanowili miłe towarzystwo, no ale...

Van Veeteren chwilę myślał.

– I to nie była prostytutka?

- Może była, może nie.
- A dlaczego pan to pamięta po trzydziestu latach?
- Rozumiem, że się pan dziwi. Pewnie dlatego, że następnego dnia też coś było nie tak.
- Następnego dnia? Ale co?
- Jakby coś się wydarzyło. W zasadzie bliżej znałem tylko Inningsa, a on jakby nie był sobą przez te dwa ostatnie dni. Inaczej się zachowywał, wszystkich unikał. Chyba nawet zapytałem go, jak im wyszło z tą dziewczyną, ale nie odpowiedział.
- A co według pana się wydarzyło?
- Nie wiem. Następnego dnia wyszliśmy do cywila, więc miałem inne rzeczy na głowie.
- No tak. A może mi pan powiedzieć, kiedy dokładnie była ta impreza?
- To musiało być dwudziestego dziewiątego maja, bo kończyliśmy trzydziestego pierwszego.
- Dwudziestego dziewiątego maja 1965 roku – podsumował komisarz i nagle poczuł, jak puls mu skacze w oczekiwaniu na kolejne pytanie.
- I kolejną odpowiedź. Odchrząknął.
- Zatem był tam Malik, Maasleitner i Innings. Ktoś jeszcze?
- Tak, było ich czterech. Był z nimi ten Biedersen.
- Biedersen?
- Tak, to on i Maasleitner byli tam prowodyrami, że tak powiem. A Biedersen miał pokój na mieście.
- Pokój na mieście?
- Tak, w ostatnich miesiącach mieliśmy tak zwaną przepustkę stałą na noc. To znaczy nie musieliśmy spędzać nocy w koszarach, a Biedersen wynajmował stancję. Urządził tam parę imprez, ale ja osobiście na żadnej nie byłem.
- Na linii coś zaczęło niepokojąco trzaskać i przerywać. Żeby przebić się przez szумы, ostatnie pytania komisarz musiał zadawać, krzycząc.
- Czyli ta trójka plus Werner Biedersen. Zgadza się?!
- Tak.
- Z młodą dziewczyną?!

- Tak.
- Czy ktoś jeszcze to widział?!
- Możliwe. Nie wiem.
- Czy z kimś pan o tym rozmawiał?! Wtedy albo teraz?!
- Nie, nie przypominam sobie.

Van Veeteren myślał jeszcze kilka sekund.

– Dziękuję – powiedział w końcu. – Dziękuję za tę cenną informację, panie Melgarves. Jeszcze się z panem skontaktuję.

Odłożył słuchawkę.

Teraz, pomyślał. Teraz nadeszła pora.

– Że co, do cholery!?! – wrzasnął dziesięć minut później. – Nadal nie wiemy, gdzie jest?

Münster pokręcił głową.

– A niech to jasna cholera! – zaklął Van Veeteren. – A żona?

– Nie ma jej w domu – wyjaśnił Münster. – DeBries dzwoni bez przerwy.

– Gdzie mieszkają?

– W Saaren.

– Saaren? To na północy, no tak, wszystko się zgadza. Ile to kilometrów? Sto pięćdziesiąt, dwieście?

– Chyba tak – przytaknął Münster.

Van Veeteren chwycił cztery wykałaczki, połamał je i rozrzucił po podłodze. W drzwiach pojawił się Reinhart.

– Mamy go? – zapytał.

– Czy go mamy?! – zaryczał Van Veeteren. – A skąd, do cholery! Zniknął parę tygodni temu, a jego baba poszła na zakupy.

– A więc to Biedersen? – zapytał jeszcze Reinhart.

– Biedersen – potwierdził Münster. – To on jest następny w kolejce.

– Masz papierosa? – zapytał Van Veeteren.

Reinhart pokręcił głową.

– Nie, tylko moją starą, dobrą fajkę. To co robimy?

Komisarz zacisnął dłonie i na dwie sekundy zamknął oczy.

– Dobra. – Otworzył je z powrotem. – Robimy tak. Ja i Reinhart jedyliśmy do Saaren. Wy dalej próbujecie złapać żonę. Jeśli się uda, po-

wiedziecie jej tylko, żeby czekała na nas w domu, inaczej dostanie dożywocie. A potem się zobaczy.

Reinhart pokiwał głową.

– I zapytajcie, czy wie, gdzie jest mąż – dodał. – I informujcie nas w drodze. My oczywiście też będziemy próbowali ją znaleźć.

Münster zanotował.

– Jedziemy – zakomenderował Van Veeteren i wymierzył palec w Reinharta. – Zjedź do garażu i weź samochód. Ja za pięć minut będę przy wejściu. Tylko najpierw zdobędę prowiant.

– Jesteś pewien, że ten pośpiech jest naprawdę potrzebny? – zapytał Reinhart, kiedy komisarz usiadł na siedzeniu pasażera.

– Nie – odparł Van Veeteren i zapalił papierosa. – Ale jak się siedziało w kaftanie bezpieczeństwa przez siedem tygodni, to chyba pora się wreszcie ruszyć.



Obudził się nagle i odruchowo zaczął szukać ręką pistoletu. Wyczuł go i wyrzwał przez okno. Wszystko wyglądało tak jak przedtem, z tym wyjątkiem, że teraz świeciło słońce.

To pewnie dzięki temu szopa się nagrzała. Leżał pod kołdrą i nie czuł już tego dokuczliwego zimna co zwykle. Było mu ciepło i miło, a zegarek wskazywał za dziesięć dziesiątą.

Dziesiąta.

Z pewnym przerażeniem uświadomił sobie, że przespał bite dziewięć godzin. Poprzedniego wieczoru wczółgał się pod koce o wpół do pierwszej i nie przypominał sobie, żeby miał problemy z zaśnięciem. W nocy też się nie budził.

Zatem leży tu już od dziewięciu godzin. I po co? Jedno jest pewne, z czujnego psa zmienił się w bezbronną ofiarę. Bo czy obudziłby się, gdyby zakradła się tutaj po schodach?

Przekręcił się na bok i otworzył okno na oścież. Na dworze mocno świeciło słońce. Ptaki rozrabiały w krzewach rosnących przy kuchennym wejściu. Niebo było błękitne, sunęły po nim tylko niewielkie obłoki.

Wiosna? – pomyślał. Co ja tu robię, do licha?

Przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Do jedenastej siedział w gospodzie, potem wrócił jak gdyby nigdy nic. Po prostu wstał od stolika i wyszedł. Ruszył główną drogą, minął kościół, dom Heinesa, później Van Klaustersa, aż w końcu skręcił w wąską ścieżkę prowadzącą na podwórko.

Wprawdzie cały czas trzymał w dłoni odbezpieczony pistolet, ale

mimo wszystko...

Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie położyć się po prostu do łóżka, ale coś go powstrzymało.

Minął już tydzień. Dokładnie osiem dni. I kiedy parzył kawę i przygotowywał sobie kanapki w kuchni, postanowił, że dość już tego. To musi być ostatni dzień. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że całe to przedsięwzięcie nie jest grosza warte. Nic z tego nie będzie. Nic a nic.

W zasadzie mógłby się stąd zawinąć od razu, jeszcze przed południem, ale Korhonen obiecał, że pokaże mu zdjęcia swojej nowej dziewczyny z Tajlandii. Powiedział mu więc, że dziś wieczorem też wpadnie.

Ale potem koniec. Coraz bardziej dojrzywał do stwierdzenia, że przyjazd tutaj był błędem. Okazał się bez sensu, bo to nie tu chciała go dopaść.

Cztery dni wcześniej rozmawiał z żoną. Wspomniała mu, że szukała go kobieta z Kopenhagi. To był sygnał. Ale nie tego, że miała zamiar się tu pojawić, tylko tego, że wiedziała, gdzie jest.

To musiała być ona. Od razu się zorientował, bo nie prowadził interesów z żadną kobietą z Kopenhagi. Z żadnym mężczyzną zresztą też nie. Ale ta zwłoka... Dni wlekły się jeden za drugim, a nic się nie działo. Jak to rozumieć? Chyba tylko tak, że nie przyjęła jego zaproszenia. Nie chciała spotkać się z nim na jego warunkach.

Tchórzliwa suka, pomyślał. Przekłęta zabójczyni, i tak cię pokonam!

Mimo wszystko tego ostatniego dnia nie odpuścił, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Chociaż wiedział, że wszystkie kalkulacje wzięły w łeb, jak zwykle spędził kilka godzin w lesie. Nieco później, kiedy zmierzch zapadł, zjadł i spakował się. Powtarzał sobie, żeby nie przesadzić z odwagą.

Musi być równie czujny. Broń musi mieć cały czas pod ręką. I kryć się.

Jeszcze tylko jedna noc. Jedna jedyna.

To, jakie kroki przedsięwzięmie w przyszłości, na razie go nie zaprzątało. Teraz, po tej bezowocnej nerwówce, nie miał na to siły.

Rano pojedzie do domu.

I jutro podejmie nowe decyzje.

Po radiowych wiadomościach o ósmej wykradł się ze swojej kryjówki i ruszył w ciemność. Jak zwykle nasłuchiwał na schodach z pistoletem w rękę, dopiero potem poszedł drogą w stronę miasta i gospody. Powietrze było letnie, uświadomił sobie, że wiosna, która powitała go rano, miała zamiar tu zostać. Choćby na kilka dni.

– A nie powinniśmy powiadomić policji w Saaren? – zapytał Reinhart, kiedy po przejechaniu czterdziestu kilometrów Van Veeteren wciąż nie powiedział ani słowa.

– Zapomniałeś, kto jest u nich szefem?

– A niech to, Mergens. Rzeczywiście, lepiej go do tego nie mieszać.

Van Veeteren pokiwał głową i zapalił trzeciego papierosa w ciągu dwudziestu minut.

– No i co niby mielibyśmy mu powiedzieć? Żeby wszczął poszukiwania pani Biedersen i zamknął ją w areszcie do naszego przyjazdu?

Reinhart wzruszył ramionami.

– Na pewno by się ucieszył. Ale masz rację, sami się tym zajmiemy.

– Nie możesz trochę przyspieszyć? – zapytał Van Veeteren.

Dopiero kwadrans po ósmej deBriesowi udało się złapać Dagmar Biedersen. Wróciła właśnie do domu po długich zakupach i wizycie u fryzjerki. Sprawiała wrażenie wyczerpanej. Kiedy deBries dodzwonił się do Van Veeterena i Reinharta, okazało się, że są dziesięć minut drogi od Saaren, zatem na tym etapie ingerencja lokalnej policji tym bardziej nie wydawała się konieczna.

– Niezły timing – powiedział Reinhart. – Jedziemy prosto do niej. Przekaż jej, że chcemy dostać dwa piwa.

– Ale o co panom właściwie chodzi?! – wykrzyknęła pani Biedersen, łapiąc się niespokojnie za nowo ułożoną fryzurę.

– Czy moglibyśmy gdzieś usiąść i porozmawiać w spokoju? – zapytał Van Veeteren.

Reinhart jako pierwszy ruszył do salonu i usadowił się na czerwonej aksamitnej sofie. Komisarz poprosił panią Biedersen, żeby usiadła na

jednym z foteli, on sam wolał stać.

– Mamy powody przypuszczać, że pani mąż jest w niebezpieczeństwie – zaczął.

– W niebezpieczeństwie?

– Tak. Ma to związek z wcześniejszymi zbrodniami. Czy może nam pani powiedzieć, gdzie jest pani mąż?

– Jak to? Nie... To znaczy tak, ale to chyba nie znaczy...

– Może właśnie to znaczyć – przerwał jej Reinhart. – Gdzie on jest?

Nagle Dagmar Biedersen wybuchła płaczem. Coś w niej pękło i ciężkie piersi zaczęły się spazmatycznie unosić i opadać. Łzy polały się strumieniami.

Cholera jasna, pomyślał Van Veeteren.

– Droga pani – powiedział – jeśli tylko się dowiemy, gdzie jest pani mąż, wszystko będzie dobrze.

Dagmar Biedersen wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos.

– Proszę mi wybaczyć. Ależ ze mnie idiotka – powiedziała.

Owszem, przytaknął w myślach Van Veeteren. Ale odpowiedz, do cholery.

– Chyba jest w naszym domku letniskowym. W każdym razie dzwonił stamtąd przed kilkoma dniami.

– W domku? – zapytał Reinhart.

– Tak, mamy domek... to znaczy to jest dom po jego rodzicach. Jeździmy do niego czasami. No i on sam często tam bywa.

– Gdzie? – zapytał Van Veeteren.

– Och, przepraszam. W Wahrhejm.

– W Wahrhejm? A gdzie to jest?

– Och, przepraszam – powtórzyła. – To między Ulming i Oostwerdingen. Niewielka miejscina. To jakieś sto kilometrów stąd.

Van Veeteren się zastanawiał.

– Wie pani, że on tam jest?

– Nie, mówiłam przecież. Ale tak sędzę.

– A jest tam telefon?

– Nie, niestety. Dzwonimy z gospody. Mąż woli mieć tam spokój.

Van Veeteren westchnął.

– A niech to – powiedział. – Czy będzie pani tak miła i zostawi nas

samych na kilka minut? Ja i kolega musimy się zastanowić.

– Oczywiście – odparła i pośpieszyła do kuchni.

– Co robimy? – zapytał Reinhart, kiedy pani Biedersen już ich nie słyszała.

– Sam nie wiem. Mam przeczucie, że trzeba się spieszyć, choć oczywiście nic na to nie wskazuje.

– No nie – przyznał Reinhart. – Choć i ja mam identyczne przeczucie. Ale to ty decydujesz.

– Zdaję sobie z tego sprawę. A ty wypełniasz polecenia. Zadzwoń na policję w Ulming, do nich chyba jest stamtąd najbliżej. Powiedz, żeby tam pojechali i go zdybali.

– Zdybali?

– Aresztowali.

– Na jakiej podstawie?

– Nie obchodzi mnie to. Wymyśl, co chcesz!

– Z przyjemnością – odparł Reinhart.

Kiedy Reinhart wypełniał polecenie w gabinecie Biedersena, komisarz udał się do roztrzęsionej pani domu, żeby zadać jej jeszcze kilka pytań.

– Pozwoli pani, że będę szczery – powiedział. – Otóż ta kobieta poluje na pani męża, pani Biedersen. Oczywiście mamy zamiar ją powstrzymać.

– Dobry Boże!

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Zastanowiła się.

– Jakieś dwa tygodnie temu. Prawie trzy.

– Czy ktoś jeszcze wie, że on tam jest?

– Nie wiem.

– Czy ta kobieta mogła się tego jakoś dowiedzieć?

– Nie... Chociaż...

Widział, jak pani Biedersen uświadamia sobie prawdę. Kolory zniknęły z jej twarzy, do tego kilka razy otworzyła i zamknęła usta. Ręce powędrowały jej w stronę guzików przy ceglastej bluzce, ale nie odpięła ich.

- Ta... kobieta... – wydukała.
- Tak?
- Dzwoniła tu.
- Van Veeteren przytaknął.
- Proszę mówić dalej.
- Dzwoniła jakaś kobieta z Kopenhagi. Twierdziła, że robią z mężem interesy i...
- I co?
- I zapytała, czy wiem, gdzie jest mąż. Gdzie może go znaleźć.
- A pani jej powiedziała?
- Tak. – Dagmar Biedersen opadła na fotel. – Powiedziałam. Myśli pan...?
- Reinhart wrócił do pokoju.
- Gotowe – powiedział.
- Dobrze, w takim razie jedziemy. Odezwiemy się do pani. Mam nadzieję, że wieczorem będzie pani w domu?
- Dagmar Biedersen przytaknęła, ciężko oddychając przez usta. Komisarz zrozumiał, że teraz trudno jej będzie nawet wstać z fotela.
  
- Ile kobiet, a niech to – zauważył Biedersen, rozglądając się po lokalu.
- Nie wiesz, jaki dziś dzień?
- Nie.
- Dzień Kobiet – wyjaśnił Korhonen. – Zawsze tak jest. Co druga kobieta w mieście przychodzi do nas.
- Diabelskie wymysły – stwierdził Biedersen.
- Owszem, ale dla nas to czysty zysk. Możesz usiąść tu, w rogu, to nie będą ci siedziały na plecach. Piwo i whisky jak zwykle?
- Jasne. A masz zdjęcia tej swojej Tajki?
- Później na chwilę się do ciebie przysiadę – powiedział Korhonen.
- Tylko zrobię drinki dla pań.
- Dobra. – Biedersen chwycił swoje trunki i przysiadł przy wolnym stoliku w kącie pomiędzy barem a kuchnią.
- A niech to. Co za kamuflaż. Dzisiaj muszę być naprawdę ostrożny.
- Wsadził rękę do kieszeni.

– O co im, do cholery, chodzi? – zapytał Ackermann.

– Nie wiem – odparł Päude i uruchomił samochód. – W środku meczu i w ogóle.

– Mecz? – powtórzył Ackermann. – Mam gdzieś mecz. Już miałem jej ściągać majtki, kiedy zadzwonił. Wiesz, tej małej, słodziutkiej Nancy Fischer.

Päude westchnął i włączył radio, żeby posłuchać reszty transmisji meczu. Wolał to niż historie o miłosnych podbojach kolegi, które ten serwował mu aż nadto często.

– Byłem w połowie drogi, że tak powiem – ciągnął Ackermann.

– Co sądzisz o tym Biedersenie? – Päude próbował sprowadzić rozmowę na inne tory.

– Dziwne – odparł Ackermann. – Mamy go aresztować za włóczęgostwo i poczekać na dalsze rozkazy. Chyba nie sądzisz, że jest groźny?

– Munckel powiedział, że nie jest.

– Munckel nie potrafi odróżnić granatu od buraka.

– Dobra, to musimy podejść do tego nieco ostrożnie. Jak daleko jest Wahrhejm?

– Osiemnaście kilometrów. Będziemy tam w dziesięć minut. Dajemy na sygnale?

– Na sygnale? Nie, do cholery. Tu potrzeba dyskrecji, tak powiedział Munckel. Ale ty chyba nie wiesz, co znaczy to słowo.

– Oczywiście, że wiem – odparł Ackermann. – Dyskrecja to sprawa honoru.

– Jeszcze jedna kolejka? – spytał Korhonen.

– No pewnie, niech to szlag – odparł Biedersen. – Tylko najpierw muszę się odlać. Ale ładną pannę sobie znalazłeś. Cholernie ładną.

– Ładna, a do tego się słucha – odparł Korhonen z uśmiechem.

Biedersen wstał i zauważył, że jest trochę podпиты. Może lepiej odstawić whisky i trzymać się tylko piwa, pomyślał i ruszył obok całego zastępu kobiet, które rozsiadły się przy dwóch długich stołach i hałasowały. Śmiały się i śpiewały. Prócz niego w lokalu było jedynie dwóch mężczyzn. Stary woźny ze szkoły, który siedział przy swoim ulubionym stoliku z gazetą w ręku i karafką wina, oraz samotny facet w ciemnym garniturze, który wszedł przed kwadransem.

Resztę gości stanowiły kobiety. Mijając je, szedł plecami do ściany, a rękę zaciskał na broni.

Dzień Kobiet, pomyślał, pozwalając piwu odpłynąć naturalnym ujściem. Diabelski wymysł.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł mężczyzna w ciemnym garniturze. Skinął głową w stronę Biedersena.

– Na szczęście choć tu można odpocząć – powiedział Biedersen i kiwnął głową w kierunku hałaśliwej sali. – Kobiety. Przy całym dla nich szacunku, ale...

Przerwał i sięgnął szybko ręką do kieszeni marynarki, ale zanim zdołał ją włożyć do środka, usłyszał dwukrotne pyknięcie i zrozumiał, że jest już za późno. Oczy zalała mu czerwona fala i ostatnim, zupełnie ostatnim uczuciem, jakiego doznał, był niesamowity ból w podbrzuszu.

Päude zaparkował przed gospodą.

– Wejdz do środka i zapytaj o drogę – powiedział. – A ja tu poczekam.

– Dobra – westchnął Ackermann. – Jak mu było, Biedersen?

– Tak. Werner Biedersen. Na pewno go znają.

Ackermann wyszedł z samochodu, a Päude zapalił papierosa. Jak miło pozbyć się go przynajmniej na chwilę, pomyślał.

Ale Ackermann wrócił w okamgnieniu.

– Miałem farta – powiedział. – Napatoczył mi się koleś, który wie,



gdzie tamten mieszka. Jedziemy prosto, to tylko... sto pięćdziesiąt metrów. Mniej więcej.

– Dobra.

– W lewo, tam – wyjaśnił Ackermann.

Päude skręcił zgodnie z poleceniem i podjechali pod niski mur otaczający zagrodę.

– Ciemno – podsumował Ackermann.

– Ale jakiś dom tam jest – powiedział Päude. – Weź latarkę, idź tam i rozejrzyj się. Ja tu zostanę. Szybę mam spuszczoną. Wystarczy krzyknąć w razie czego.

– Nie lepiej, jeśli ty pójdziesz? – zapytał Ackermann.

– Nie – odparł Päude. – Idź już.

– No dobra.

Jestem w końcu siedem lat starszy, pomyślał Päude, kiedy Ackermann wychodził z samochodu. Żona, dzieci, te sprawy.

Nagle zaskrzeczało w radiu.

– Tak, tu Päude!

– Tu Munckel! Gdzie wy, do cholery, jesteście?

– W Wahrhejm, oczywiście. Przed jego domem. Ackermann poszedł do...

– Wołaj go! Biedersen leży zastrzelony w kiblu w gospodzie. Jedźcie tam i odgroźcie teren!

– Niech to jasny szlag trafi – odparł Päude.

– Dopilnujcie, żeby nikt nie opuścił tego miejsca. Będę tam za piętnaście minut.

– Zrozumiałem.

Znów zatrzeszczało i Munckel ucichł. Päude potrząsnął głową.

Niech to szlag, powtórzył w myślach, po czym wyszedł i zawołał Ackermanna.

To niemożliwe, ja śnię! – z tą myślą Van Veeteren wadził się przez ostatnie dwadzieścia minut. Od kiedy otrzymali wiadomość przez radio.

To nie dzieje się naprawdę. To musi być jakiś wymysł albo pomyłka.

– Myślałem, że to jakiś pieprzony sen – powiedział Reinhart i zahałmował. – Ale jesteśmy już na miejscu. I zdaje się, że jest tak, jak powiedzieli.

Dwa radiowozy już tam były, zaparkowane przodami do siebie w poprzek drogi, oba na sygnale. Pewnie po to, żeby ci we wsi, do których jeszcze nie dotarła wiadomość, wreszcie się dowiedzieli, pomyślał Van Veeteren, przemykając przez drzwi wejściowe. Umundurowany funkcjonariusz stał na straży przy wejściu, kilku innych znajdowało się w środku, gdzie przerażenie i niepokój wręcz wisiąły w powietrzu. Goście – prawie same kobiety, zauważył zaskoczony – siedzieli przy dwóch stołach, a ich szepty i ciche dyskusje dobiegały do uszu Van Veeterena w postaci niezrozumiałego, nieprzerwanego lamentu. Nagle wyobraził sobie stado zwierząt domowych prowadzonych na rzeź. Albo więźniów obozów koncentracyjnych w drodze pod prysznicę. Wzdrygnął się, próbując odegnać od siebie to niemiłe wrażenie.

Dajcie już spokój! – zwrócił się do swoich własnych myśli. I tak jest wystarczająco źle.

Mężczyzna w jego wieku i z rzadkimi włosami zbliżył się do niego.

– Komisarz Van Veeteren?

Skinął głową i przedstawił mu Reinharta.

– Munckel. Tak, cholerna sprawa. Leży tam. Niczego nie ruszaliśmy.

Van Veeteren i Reinhart ruszyli w kierunku męskiej toalety, gdzie stał jeden z funkcjonariuszy.

– Ackermann, wpuść tych panów – powiedział Munckel.

Van Veeteren zerknął do środka. Przez kilka sekund gapił się na martwe ciało, po czym zwrócił się do Reinharta.

– No, jak zwykle – powiedział. – Zostawiamy go do przyjazdu techników. Nie możemy mu już w niczym pomóc.

– Cholerny idiota – wymamrotał Reinhart.

– Kiedy to się stało? – spytał komisarz.

Munckel spojrział na zegarek.

– Tuż po dziewiątej – odparł. – Kwadrans po otrzymaliśmy powiadomienie, zadzwonił Korhonen. To barman.

Mężczyzna o ciemnych włosach, w wieku pięćdziesięciu lat, poszedł i się przywitał.

– Nie minęła godzina – stwierdził Van Veeteren. – Ile osób zdążyło opuścić lokal?

– Oj, nie wiem dokładnie – niepewnym głosem odparł Korhonen.

– Kto go znalazł?

– Ja – odpowiedział donośnie starszy mężczyzna w sportowej koszuli w kratkę. – Poszedłem do kibla się odlać, a tam leży on. Z odstrzelonymi jajami. Niech to szlag...

Wydawało się, jakby przez grupę kobiet przeszedł w tym momencie dreszcz.

No pewnie, do cholery! – przypomniał sobie wreszcie Van Veeteren. Dzień Kobiet, ósmy marca. Dlatego tu siedziały. Makabra – lepszego określenia na to nie ma.

– A kiedy wszedł Biedersen? – spytał Reinhart.

Korhonen chrząknął nerwowo.

– Przepraszam – powiedział. – Wydaje mi się, że wiem, kto to był. To musiał być ten drugi.

– Kto? – spytał Munckel. – Dopiero teraz pan to mówi?

– Ten drugi – powtórzył barman. – Siedział tam...

Wskazał na miejsce.

– Poszedł do toalety chwilę po Biedersenie. Teraz sobie przypominam.

– Mężczyzna? – spytał Van Veeteren.

– Tak... zgadza się.

– To gdzie jest teraz? – zapytał Reinhart.

Korhonen rozejrzył się. Mężczyzna w koszuli w kratkę też to zrobił. I wszystkie kobiety również.

– Oczywiście, nie ma go – odparł Munckel.

– Wyszedł! – krzyknęła jedna z kobiet. – Widziałam, jak wychodził.

– No ja myślę, że raczej nie został – mruknął Reinhart.

– Czy któryś z was nazywa się Van Veeteren? – spytała kobieta o ciemnej cerze, w wieku około trzydziestu pięciu lat.

– Tak, a co?

– To leżało na jego stole. Właśnie to zauważyłam.

Podeszła i pokazała białą kopertę. Van Veeteren ją wziął i przez chwilę gapił się na nią zdziwiony.

Śnię, pomyślał znów i na sekundę przymknął oczy.

– Otwórz! – powiedział Reinhart.

Van Veeteren otworzył.

– Czytaj! – krzyknął Reinhart.

Przeczytał.

– Gdzie jest telefon? – spytał po chwili, a barman Korhonen skierował go do holu. Reinhart poszedł za nim, nakazując Munckelowi, żeby zostawił funkcjonariuszy w restauracji.

– O co tu, do cholery, chodzi? – szepnął, kiedy komisarz wykręcał numer. – Daj mi ten list!

Van Veeteren podał mu i Reinhart zaczął czytać.

*Czekam na Was.*

*Od Jeleny Walgens możecie się dowiedzieć, gdzie jestem.*

Dwie linijki. Żadnego podpisu.

Co jest, do cholery! – pomyślał, a po chwili powiedział Reinhart.

Zaparkowali w bezpiecznej odległości i wysiedli z samochodu. Nie było jeszcze całkiem ciemno, więc z góry widzieli zarysy domów znajdujących się nad jeziorem. Wiatr ucichł i przypominał jedynie odległy szept dochodzący z lasu na północnym wschodzie, a powietrze wydawało się całkiem ciepłe, co zresztą nie umknęło uwadze Van Veeterena.

Wiosna? – pomyślał nieco zdziwiony. Reinhart odchrząknął.

– To musi być tam w dole, na samym końcu – powiedział. – Choć nie wydaje mi się, żeby w którymś z tych domów ktoś był.

– Zdarza się, że w nocy ludzie śpią – zauważył Van Veeteren.

Szli ostrożnie w dół po wąskiej zwirowej drodze.

– Myślisz, że jest w środku?

– Ja już nic nie myślę – powiedział Van Veeteren ściszonego głosem.

– W każdym razie musimy się tam dostać i sprawdzić. Chyba że wolisz wezwać oddział pancerny Rymana?

– W życiu! – odparł Reinhart. – Samo zorganizowanie się zajęłoby im chyba ze cztery dni. Wchodzimy. Pójdę przodem, jeśli chcesz.

– Po moim trupie! Jestem starszy. Trzymaj się z tyłu.

– Jak chcesz. Poza tym i tak nie sądzę, żeby była w domu.

Pochyleni, zachowując od siebie dość spory odstęp, zbliżyli się do rozpadającego się, szarego domu z zapadniętym ceglany dachem. Powoli, ale wytrwale skradali się po mokrych kępach trawy, a kiedy od domu dzieliło ich już tylko kilkanaście metrów, Van Veeteren rozpoczął szturm. Ruszył naprzód i przyłgnął do ściany tuż przy samych drzwiach. Reinhart podążył za nim, zginając się w pół pod jednym

z okien.

Śmieszne, pomyślał Van Veeteren, kiedy tak stał, próbując złapać oddech i ściskając służbowy pistolet. Czym my się, do cholery, zajmujemy?

Czy to się dzieje naprawdę?

Otworzył drzwi zdecydowanym kopnięciem, wbiegł do środka, rozejrzał się wkoło i kopnął następne drzwi, lecz wkrótce zrozumiał, że dom jest zupełnie pusty, tak jak przewidywał Reinhart.

Gdyby chciała nas zastrzelić, już dawno by to zrobiła, pomyślał i schował pistolet do kieszeni.

Wszedł do największego z trzech pokoi, znalazł włącznik i zapalił światło. Wkrótce przyszedł Reinhart i też się rozejrzał.

– Tam leży jakiś list do ciebie. – Wskazał na stolik.

Komisarz podszedł i podniósł list, ważąc go w dłoni.

Ta sama koperta.

Ten sam charakter pisma.

Ten sam adresat.

*Komisarz Van Veeteren, Maardam*

Wciąż miał poczucie, że to tylko sen.

Precyzja, pomyślał Van Veeteren. To ta cholerna precyzja sprawia, że wszystko wydaje się tak nierealne. Żadnych przypadków, jak mówił Reinhart, ale w gruncie rzeczy było na odwrót. Teraz to do niego dotarło. Kiedy poczucie przypadkowości nagle całkowicie znika, ciężko nam polegać na własnych zmysłach. Uwierzyć w to, co mówią nam o danych wydarzeniach i okolicznościach.

Tak, chyba właśnie tak to jest.

W pokoju znajdowały się dwa wiklinowe fotele. Reinhart zdążył już zresztą rozsiąść się w jednym i zapalić fajkę. Komisarz usiadł w drugim i zaczął czytać.

Zajął mu to zaledwie kilka minut, więc kiedy skończył, przeczytał list jeszcze raz. Następnie spojrzął na zegar i bez słowa podał list Reinhartowi.

*Na pogrzebie mojej matki w całym kondukcie znalazł się tylko jeden prawdziwy żałobnik. Ja.*

Czasu jest niewiele, więc będę się streszczać. Nie potrzebuję niczyjego zrozumienia, ale chcę, żebyście wiedzieli, kim byli mężczyźni, których zaabiłam. Matka opowiedziała mi dwa tygodnie przed swoją śmiercią, jak zostałam poczęta.

Miałam czterech ojców. Była noc trzydziestego maja 1965 roku. Mama miała siedemnaście lat i była dziewicą. Gwałcili ją przez dwie godziny w pokoju jednego z nich w Maardam. Żeby nie krzyczała, w usta wsadzili jej bokserki, a krawatem jednego z nich owinęli usta i kark. Podczas mojego poczęcia włączyli również muzykę. W kółko puszczała tę samą płytę. Matka później dowiedziała się, co to było, i ją kupiła. Mam ją zresztą do dzisiaj.

Kiedy skończyli ją gwałcić, wywlekli ją na zewnątrz i zostawili w krzakach pobliskiego parku. Jeden z moich ojców nazwał matkę dziwką i powiedział, że ją zabije, jeśli powie o tym komukolwiek.

Nie powiedziała więc nikomu, co przeszła, ale po dwóch miesiącach zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży. Po trzech była już pewna. Chodziła jeszcze do szkoły. Próbowła mnie zabić na różne sposoby, o jakich słyszała, ale się nie udało. Żałuję, że nie poszło jej lepiej.

Rozmawiała ze swoją matką, ale ta jej nie uwierzyła.

Rozmawiała z ojcem. On również nie uwierzył i na dodatek ją pobił.

Rozmawiała ze swoimi mądrymi starszymi siostrami, które też jej nie uwierzyły, ale doradziły przeprowadzenie aborcji.

Wtedy okazało się, że jest już za późno. A szkoda.

Dziadek zapłacił niewielką sumę pieniędzy, żeby się nas pozbyć i urodziłam się w dalekim Groenstadt. Tam też dorastałam. Matka dowiedziała się, jak nazywali się ci mężczyźni, i dostała od nich trochę pieniędzy, ponieważ zagroziła, że o wszystkim opowie. Kiedy skończyłam dziesięć lat, znowu ich zaszantażowała i udało jej się wyciągnąć od nich dodatkową kwotę, ale to było wszystko. Płacili, bo było ich na to stać.

Wcześniej zdałam sobie sprawę, że moja matka jest dziwką, i wiedziałam, że też nią będę. Prochy, alkohol, wszystko potoczyło się tak samo.

Ale nie wiedziałam, dlaczego tak się stało, do czasu, kiedy przed śmiercią opowiedziała mi o moich ojcach.

Miała 47 lat. Sama mam zaledwie 30, ale tak długo się puszczałam i ćpałam, że wyglądam przynajmniej na dziesięć lat więcej. Pierwszych

klientów zaczęłam przyjmować, zanim skończyłam piętnasty rok życia.

Poza tym od zawsze tkwiła we mnie ta chęć zabijania. Wiadomość od matki dostałam w październiku i kiedy trochę później sama poznałam moich ojców, od razu się zdecydowałam.

To była wspaniała decyzja.

Życie matki było męczarnią. Męczarnią i ciągiem upokorzeń.

Moje zresztą też, ale wspaniale było zrozumieć dlaczego. W końcu zrozumieć i dostrzec w tym wszystkim jakąś logikę. Bo co innego mogło się zrodzić podczas takiej miłosnej nocy jak ta, kiedy moi ojcowie dali mi życie?

Jakie życie?

Jestem dojrzałym owocem gwałtu zbiorowego. A teraz ten owoc zabija swoich ojców.

I koło się zamyka.

Oczywiście brzmi to jak jakaś mroczna poezja. W innym życiu byłabym może poetką. Pisałabym i czytała, mam do tego talent, ale nigdy nie dostałam takiej szansy.

Gdy skończę, nikt z bohaterów tamtej nocy nie pozostanie przy życiu. Wszyscy zginiemy. I będzie to logiczna całość.

Moja matka zleciła mi misję. To w jej imię zabiłam ich wszystkich. Dało mi to wielką radość, większą niż cokolwiek innego. W żadnym wypadku nie odczuwałam winy lub żalu i nikt nie będzie w stanie pociągnąć mnie do odpowiedzialności.

Cieszę się też, że matka zachowała pieniądze, które wycisnęła od moich ojców. Okazały się bardzo przydatne. Miło pomyśleć, że w pewien sposób sami zapłacili za swoją śmierć.

Powtórzę: zabicie ojców sprawiło mi dużą radość. Bardzo dużą.

Przez cały ten czas byłam bardzo ostrożna i zamierzam taka pozostać do końca. Piszę z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałam, by znane były prawdziwe motywy zbrodni. Po drugie, chcę zyskać trochę czasu i właśnie dlatego najpierw zostawiłam wiadomość w gospodzie. Mam nadzieję, że w chwili, gdy będzie Pan czytał ten list, uda mi się osiągnąć swój cel.

O 22:00 wyruszę promem z Oostwerdingen na wyspy, jednak nie będzie mnie już na pokładzie, kiedy statek będzie zawijał do portów.

To, co na mnie ciąży, pociągnie mnie na samo dno, gdzie, mam nadzie-



*ję, ryby szybko przeżują moje zepsute ciało.*

*Nie chcę już nigdy wypływać z powrotem na powierzchnię. Ani ja, ani żadna moja część.*

Reinhart złożył kartkę i włożył z powrotem do koperty. Siedział przez moment cicho, zapalając fajkę, która już przygasła.

– Co więcej można powiedzieć? – spytał po chwili.

Komisarz siedział oparty w fotelu z zamkniętymi oczami.

– Nic – odpowiedział. – Nic nie musisz mówić.

– Żadnego podpisu.

– Żadnego.

– Jest za piętnaście pierwsza.

Van Veeteren skinął głową. Wyprostował się i zapalił papierosa. Zaciągnął się kilka razy. Następnie wstał, przeszedł przez pokój i zgasił światło.

– Do którego portu na wyspach statek zawija najpierw? – zapytał, gdy ponownie usiadł w fotelu.

– Wydaje mi się, że do Arnholt – powiedział Reinhart. – Koło pierwszej.

– Tak – odparł Van Veeteren. – Zgadza się. Idź do samochodu i spróbuj nawiązać kontakt z promem. Niech przeszukają okręt. Mogła się przecież rozmyślić.

– Tak sądzisz? – zapytał Reinhart.

– Nie – odparł Van Veeteren. – Ale musimy przecież odegrać swoje role.

– Też mi się tak wydaje – powiedział Reinhart. – *The show must go on.*

Następnie wyszedł i zostawił komisarza samego w ciemności.

Zamknęła drzwi i niemal w tej samej chwili prom odbił od brzegu. Przez owalne okienko widziała, jak światła przystani odsuwają się, migając, aż w końcu znikają. To był ostatni luksus, na jaki mogła sobie pozwolić; pojedyncza kajuta na pokładzie B. Na jej wynajęcie wydała prawie wszystko, co jej zostało, ale nie była to jedynie zachcianka, ale konieczność i logiczny wybór. Musiała przecież być sama, żeby móc przygotować się po raz ostatni, inaczej nie dało się tego załatwić.

Sprawdziła godzinę. Siedem po dziesiątej. Usiadła na łóżku i przejechała ręką po świeżo wykrochmalonym prześcieradle i ciepłym, czerwonym kocu z emblematem przewoźnika. Odkręciła zakrętkę, wyrzuciła ją do kosza i wypila prosto z butelki pół litra czterogwiazdkowego koniaku. Równie dobrze zadowoliliby się słabszym, ale pieniędzy akurat starczyło. Czterogwiazdkowy koniak. Pojedyncza kajuta z kocem w kolorze czerwonego wina i wykładziną podłogową. Czyli właśnie ostatni luksus.

Dała sobie dwie godziny od momentu, gdy minął ją radiowóz. Jakkolwiek skutecznie by działali, a do tej pory nie wykazywali się szczególną efektywnością, przed dwunastą na pewno nie uda im się jej namierzyć. Najpierw muszą ogarnąć samo miejsce zbrodni – ten totalny chaos w gospodzie. Potem muszą znaleźć Jelenę Walgens i porozmawiać z nią, co nie będzie łatwe, później wrócić do Wahrhejm. Była absolutnie przekonana, że komisarz zajmie się wszystkim osobiście. Aż w końcu muszą nawiązać połączenie z promem... nie, nie mogli jej wysledzić w czasie krótszym niż dwie godziny.

Powiedzmy, wpół do dwunastej, tak dla pewności. Dziewięćdziesiąt

minut we własnej kajucie na pokładzie B powinno w zupełności wystarczyć. Cieszyło ją, że w końcu może też zaplanować własną śmierć, a nie tylko innych. Położyła walizkę na podłodze i ją otworzyła. Warto od razu się przygotować, na wypadek gdyby coś nawaliło. Wygrzebała końcówkę stalowego łańcucha. Potem podciągnęła bluzkę i odsłoniła talię. Wypiła jeszcze łyk koniaku i zapaliła papierosa, a następnie zaczęła okręcać kute żelazo wokół pasa. Powoli i pieczołowicie, pętla za pętlą, dokładnie tak, jak ćwiczyła.

Stalowy łańcuch był ciężki, ale giętki, starannie go wybrała. Miał siedem metrów długości i ważył osiemnaście kilo. Był zimny i ciężki. Po ostatniej pętli zacisnęła łańcuch trochę mocniej i zatrzasnęła kłódkę. Wstała, by sprawdzić, ile waży i czy może się w nim poruszać.

Tak, obciążenie było spore.

Wystarczająco duże, by pociągnąć ją na dół, ale nie za duże. Musi przecież jeszcze wydostać się na zewnątrz i przejść przez nadburcie.

Jeszcze jeden papieros.

Trochę koniaku.

Ciepła fala ostatniego upojenia zaczęła się rozchodzić po całym ciele. Oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Zaczęła się wsłuchiwać w ciężkie drgania okrętowego silnika. Niemal je czuła, przenikały przez kości czaszki niczym odległa i bezsensowna próba nawiązania kontaktu. Nic poza tym. Tylko alkohol i dym. I te drgania.

Jeszcze godzina, pomyślała. Za godzinę będzie po wszystkim.

Zaledwie za godzinę.

Wiatr porwał ją i omal nie rzucił na plecy. Przez chwilę się bała, że źle oceniła sytuację, ale chwyciła poręcz i odzyskała równowagę. Wyprostowała się i pchnęła drzwi.

Wokół rozciągała się czarna noc, dał silny wiatr. Powoli przedzierała się naprzód w mocnych podmuchach po wąskim, mokrym pokładzie.

Cały czas naprzód. Poręcz znajdowała się mniej więcej na wysokości klatki piersiowej. Do tego pod spodem umieszczone były barierki, których mogła się złapać. Czego chcieć więcej. Wystarczyło jedynie

wybrać odpowiednie miejsce. Przeszła jeszcze kawałek i dotarła do schodów zagrodzonych łańcuchem. Tabliczka z zakazem wstępu grzechotała miotana na wietrze, wyraźnie dając do zrozumienia, że pasażerom nie wolno wchodzić na górę.

Rozejrzała się. Wszędzie było pusto. Na ciemnym i niespokojnym morzu od czasu do czasu pojawiało się jakieś jaśniejsze pasmo. Czarna, matowa otchłań. Kiedy się wychyliła, ledwo mogła ją dostrzec.

Ciemność, wszędzie panowała ciemność.

Silniki okrętu wibrowały. Porywisty wiatr burzył słoną pianę. Śruby okrętowe rozbijały fale.

I ona, całkiem sama. Mimo rozgrzewającego koniaku odczuwała zimno.

Nikt inny nie odważył się wyjść o tej porze na pokład. Nie przy takiej pogodzie. Wszyscy byli w środku, w jednym z barów, w pomalowanej na czerwono restauracji, na dyskotecę lub w swoich ciepłych kajutach.

W środku.

Wdrapała się na barierkę. Siedziała jeszcze przez sekundę, a następnie odbiła się z całych sił i rzuciła w dół.

Skulona jak płód rozdarła powierzchnię wody, a wcześniejszy niepokój, że wciągną ją śruby okrętowe, zniknął natychmiast, kiedy błyskawicznie – dużo szybciej, niż myślała – pochłonęły ją głębiny.

Czekając na tę najważniejszą rozmowę, odebrali jeszcze dwa inne połączenia.

Pierwsze od oficera dyżurującego w Maardam. Heinemann kazał przekazać, że chyba znalazł kolejną wskazówkę w wyciągach bankowych. Oczywiście nie można było mieć pewności, jednak istniały przesłanki, by sądzić, że niejaki Werner Biedersen dokonał zagadkowego przelewu ze swojej firmy na prywatne konto (z którego ktoś następnie wybrał pieniądze) na początku czerwca 1976. Tak czy owak, Heinemann nie mógł znaleźć powodu przelania kwoty o takiej wysokości.

Chociaż równie dobrze mogło chodzić o spłatę kartanego długu czy też o zapłatę za futra dla żony lub kochanki albo cholera wie o co. W każdym razie Heinemann prosił, żeby wrócić do tej sprawy za kilka dni.

– Niezły timing – stwierdził Reinhart kolejny raz tego wieczoru, ale komisarz nawet nie westchnął.

– Powiedziałbyś coś sensownego – odparł po kilku minutach ciszy, siedząc w ciemności.

Reinhart wyjął zapalniczki i w skupieniu zaczął zapalać fajkę, po czym powiedział:

– Chyba postaramy się o dziecko.

– Dziecko? – zapytał komisarz.

– Tak.

– Ale kto?

– Ja. I moja znajoma.

- Ile ty masz w ogóle lat?
- A jakie to ma znaczenie – odparł Reinhart. – Ale ona zbliża się do czterdziestki, więc już najwyższy czas.
- Tak sędzę – odpowiedział komisarz.
- Minęła minuta.
- Chyba powinienem pogratulować – odparł w końcu komisarz. – Nawet nie wiedziałem, że kogoś masz.
- Dziękuję – odpowiedział Reinhart.

Następny telefon był od Munckla, który przekazał wyniki wstępnych oględzin lekarskich. Werner Biedersen został zastrzelony z berengera 75; trzy strzały oddane z odległości około metra przebiły klatkę piersiową. Dodatkowe dwa strzały w krocze oddano z odległości około dziesięciu centymetrów. Śmierć była prawie natychmiastowa i nastąpiła prawdopodobnie dziesięć po dziewiątej.

Van Veeteren podziękował za wiadomość i odłożył słuchawkę.

– To dziwna zbrodnia – powiedział po chwili.

Wiklinowy fotel Reinharta zaskrzypiał w ciemności.

– Wiem. Też się nad tym zastanawiałem.

Komisarz rozmyślał w milczeniu. Zegar ścienny wiszący między jasnymi framugami okien próbował wybić godzinę, ale jakby brakowało mu sił. Van Veeteren spojrzał na swój zegarek.

Wpół do drugiej. Statek już od pół godziny powinien być w porcie w Arnholt. Pewnie wkrótce zadzwonią.

– Dziwna zbrodnia – powtórzył.

Reinhart po raz dwudziesty odpalił fajkę.

– Te kobiety w gospodzie... Dzień Kobiet – ciągnął komisarz. – Mężczyzna postrzelony w krocze w toalecie... przez swoją córkę przebraną za mężczyznę... gwałt sprzed trzydziestu lat... Dzień Kobiet...

– Wystarczy – przerwał mu Reinhart. – Nie gadajmy już o tym.

– Dobra – powiedział Van Veeteren. – Tak będzie najlepiej. W każdym razie to było wyreżyserowane.

Reinhart zaciągnął się głęboko kilka razy.

– Zawsze jest...

– Tak? – spytał komisarz. – Co masz na myśli?

– Sam nie wiem – odparł Reinhart.

Ta odpowiedź rozzłościła Van Veeterena.

– Właśnie, że wiesz, nie udawaj! Co ty sobie właściwie myślisz? Siedzimy w jakiejś pieprzonej ruderze w środku lasu... w środku nocy, cholera wie gdzie, i czekamy na... no właśnie, czy mógłbyś mi łaskawie powiedzieć, na co my w ogóle czekamy!

– Na ciąg dalszy – powiedział Reinhart.

Zadzwoił telefon i Van Veeteren podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Komisarz Van Veeteren?

– Tak.

– Mówi Schmidt. Policja portowa w Arnholt. Sprawdziliśmy i...

– I?

– ...i wydaje się, że wszystko się zgadza. Brakuje jednego pasażera.

– Jesteście pewni?

– Raczej tak. Oczywiście mogła się schować gdzieś na statku, ale wydaje się to mało prawdopodobne. W każdym razie będziemy kontynuować poszukiwania, gdy tylko wyruszymy. Jeśli jest na pokładzie, znajdziemy ją, zanim dobijemy do kolejnego portu.

Przerwał na chwilę, ale komisarz milczał.

– Więc ta kobieta – ciągnął Schmidt – wynajęła jedynekę w pierwszej klasie. Weszła na pokład, odebrała klucze w informacji i najwidoczniej spędziła w kajucie jakąś godzinę.

– Wiecie, jak się nazywa?

– Oczywiście. Bilet i kajuta zostały zarezerwowane na nazwisko Biedersen.

– Biedersen?

– Tak. Ale przy płatności gotówką, a tak zapłaciła, nie wymaga się okazania dokumentu, więc dane mogą być fałszywe.

Van Veeteren wziął głęboki oddech.

– Halo, jest pan tam?

– Tak.

– Coś jeszcze, czy możemy pozwolić im odbijać? Mają ponadgodzinne opóźnienie ...

– Jasne – odparł komisarz. – Możecie odcumowywać.

W tym momencie połączenie zostało przerwane. Reinhart zdjął dodatkowe słuchawki. Wyciągnął ręce za głowę i rozparł się w fotelu, aż zatrzeszczało.

Van Veeteren położył ręce na kolanach i mozolnie wstał. Przeszedł kilka razy tam i z powrotem po skrzypiących deskach podłogi, aż w końcu stanął przed jednym z okien. Przetarł szybę rękawem marynarki, zmrużył oczy i z rękami w kieszeni wpatrywał się w ciemność.

– Jak sądzisz, jak się nazywała? – zapytał Reinhart.

– Znowu zaczęło padać – odparł Van Veeteren.



# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[I 23 grudnia–14 stycznia](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[II 18–19 stycznia](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[III 20–29 stycznia](#)

[7](#)

[8](#)

9

10

IV 30 stycznia–1 lutego

11

12

V 1–7 lutego

13

14

15

16

17

18

VI 8–14 lutego

19

20

21

22

23

24

VII 15–23 lutego

25

26

27

28

29

30

31

32

VIII 16 lutego – 9 marca

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45